



Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19

STANISŁAW KOZMIAN

# PODRÓŻE i POLITYKA

PARYŻ PODCZAS WYSTAWY.

Z WŁOCH DO ATEN.

KONSTANTYNOPOL.

ZOFIA I BELGRAD.

W KRAKOWIE  
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU”  
1905



STANISŁAW KOZMIAN

---

# PODRÓŻE i POLITYKA

PARYŻ PODCZAS WYSTAWY.

---

Z WŁOCH DO ATEN.

---

KONSTANTYNOPOL.

---

ZOFIA I BELGRAD.

---

---

W KRAKOWIE  
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU”  
1905

STANISŁAW KOŹMIAN

---

# PODRÓŻE i POLITYKA

PARYŻ PODCZAS WYSTAWY.

---

Z WŁOCH DO ATEN.

---

KONSTANTYNOPOL.

---

ZOFIA I BELGRAD.

---

---

W KRAKOWIE  
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU“  
1905

908 : 308 : 884-4



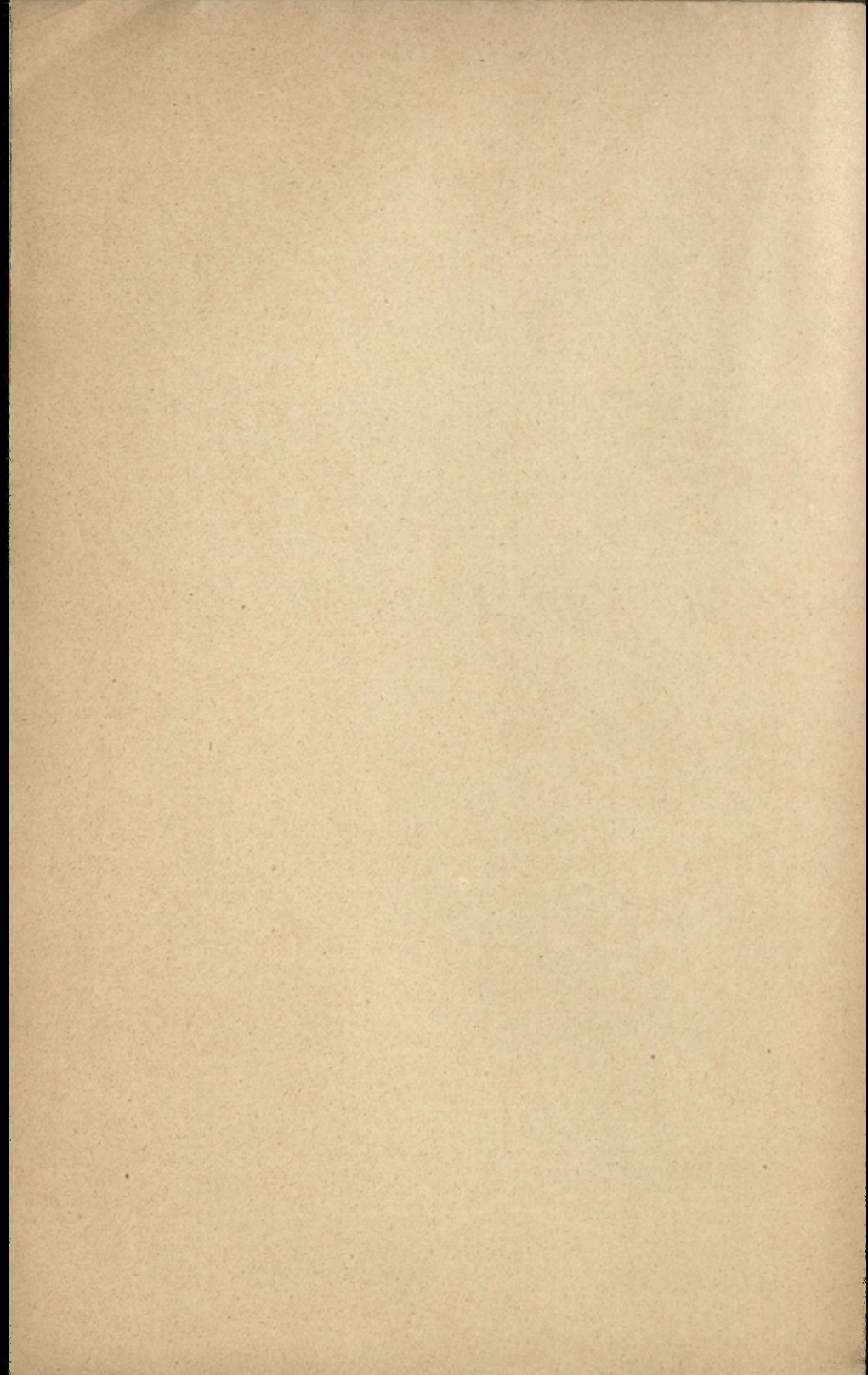
33461

2

NAKLADEM DRUKARNI „CZASU“.

PARYŻ PODCZAS WYSTAWY

W ROKU 1889.



9 czerwca.

**W** błyskawicznym pociągu wschodnim, czuć się dawała Wystawa, widoczną była wędrówka ludów; pomimo trzech ogromnych wozów nietylko czytelnia i palarnia zajęte były nieszczęśliwymi wędrowcami, którzy nie znaleźli ani osobnych umieszczeń, ani łóżek, ale nawet jadalnia przepelnioną była podróżnikami leżącymi pokotem. Prawdziwy był to tym razem pociąg wschodni, wiózł bowiem mieszaninę pierwowzorów, które Wschód zaludniają, począwszy od Armeńczyków o czarnych jak węgle oczach i krogulczych nosach, skończywszy na Rumunach, udających bardziej niż kiedykolwiek, Paryżan. Całe to towarzystwo weale wyższem ani wykwiłtnem nie było; były to po największej części, nowe warstwy, świeże warstwy, spieszące podziwiać nagrobek wystawiony w stolicy cywilizacyi nowoczesnej, dziewiętnastemu stuleciu, może i tej cywilizacyi.

A jednak pomimo tego ciągłego pociągami i parowcami napływu, Paryż jest tak wielki, iż nie czuć jeszcze przepelnienia i zaraz na wstępie ma się miłą niespodziankę. Wielki bowiem najazd cudzoziemców z Ameryki, Azji i Europy, oraz z prowincyi jeszcze nie dotarł; jeszcze Rastaquouère -- Amerykanin południowy, który przyjeżdża do Paryża, aby wydać krocie nawet miliony, nosi na drugim palcu pierścień z brylantem, białe kamasze i od rana kwiatek w dziurce

od surduta, poruszany jest siłą próżności a pod którego nieraz podszywa się Rumun — jeszcze mówię Rastaquouère pociecha i uciecha Paryża, nie zapanował wszechwładnie na tutejszym asfalcie. To też pomimo Wystawy odnajduje się dawny, zwykły, najmilszy i najprzyjemniejszy Paryż. Wszystkie wiadomości o trudności dostania mieszkania, o niesłychanym zamęciu i drożyznie są przesadne. Mniej tu zdzierają podczas Wystawy, niż gdzieindziej, gdzie nic nie mają do pokazania. Rzecz godna zastanowienia, ale niezawodna; ogromne, dotychczasowe powodzenie Wystawy zapewnił przeważnie sam Paryż.

Nadużyto już historyzofowania z powodu wieży Eiffel; ograniczę się do stwierdzenia, że jest samorodną, wysmukłą, powabną zdaleka zwłaszcza, ale i zbliżoną także — nadspodziewanie. Co to za śmiałość w ten sposób wznosić się nad Paryżem, który nie ma sobie równego! A wznosić się tak wysoko, z taką lekkością, zdoła tylko wieża zbudowana w Paryżu. Anglik byłby wystawił coś nierównie silniejszego i użyteczniejszego, Niemiec niezawodnie coś bardzo ciężkiego; tylko Paryżanin mógł stworzyć coś równie szalonego, zarazem wytwornego, zajmującego i zabawnego, jak wieża Eiffel. Widziałem ją i Wystawę dopiero wieczór. W tym świecie, który zwie się Paryżem, Wystawa jest światem w świecie, w tym świecie, który znajduje się w tamtym świecie, wieża Eiffel jest znowu światem w świecie; w tej ciągłej zabawie, która zwie się Paryżem, Wystawa jest zabawą w zabawie, w tej zabawie, która mieści się w tamtej zabawie, wieża Eiffel jest zabawą w zabawie; w tej nieustającej uroczystości, która zwie się Paryżem, Wystawa jest uroczystością w uroczystości, w tej uroczystości mieści się cały szereg uroczystości innych, nad którymi góruje wieża Eiffel. Bądź co bądź i niech co chcą mówią, jest ona i pozostanie środowiskiem głównym i główną przyciągającą siłą Wystawy; żaden inny dział, żaden inny



szczegól nie wyjmując cyklopowgo *Gmachu maszyn*, nie wytrzyma z nią współzawodnictwa i ona też jedna z całej Wystawy pozostać ma, jako latarnia morska przyświecająca wpłynięciu dziewiętnastego stulecia w dwudzieste.

Takiej ilości, rozrzutności, zbytku światła nikt jeszcze nie nagromadził nigdzie, jak naokoło i w środku Wystawy, gdy noc zapada. Wobec tego słońca z gazu i elektryczności, upośledzony księżyc, który wczoraj próbował przyświecać Wystawie, schodził wstydliwie na drugi odrys.

Wystawa jest tak ogromna, że pomimo licznej publiczności, o ścisku, wczoraj wieczór przynajmniej, mowy nie było. Gdzieniegdzie jeszcze znać niewykończenie i napotykasz na ślady robót i przyspieszonych wykończeń; podobno Algier i Tunis najbardziej pozostały w tyle i najpóźniej dopełnią swoje ustroje. — Kształty wieży Eiffel w nocy przepyszne; nie jest to może zaczarowana kraina, wedle dawnych pocziwych pojęć, ale niezawodnie ma się tu przedsmak dwudziestego stulecia i jest się oszołomionym mnogością zagadek i tajemnic, strzegących jego bram, niby nieme potwory. Po prawej stronie świetne i światlane, różnobarwne, fantastyczne wodotryski — wieża Babel barw wodnych. Ozdoby wewnętrzne bardzo urozmaicone, błyszczą wytwornością. Tu dopiero, zwłaszcza u stóp wieży Eiffel, zrozumieć można zwrot, który od kilku tygodni nastąpił w Paryżu, poniekąd i we Francyi.

Paryż, z nim Francya bawi się Wystawą, zwłaszcza wieżę Eiffel; wszystko potemu zręcznie zostało obmyślanem i istotnie jest się czem bawić. Najlepiej to udałe *coup d'état* rządów republikańskich. Zabawkę, która zwała się: Boulanger, zastąpiono inną która się zwie: Wystawą. I powodzenie tego fortelu jest zupełnem — tem większem, że tamta zabawka była kosztowną, ta zyski przynosi.

Kiedy Boulanger już zaczynał nudzić, Wystawa dopiero poczyna bawić; niemożliwem zatem jest między niemi współzawodnictwo i w ostatnich dniach bardzo jakoś spadły papiery — dzielnego generała. Ma on jeszcze gorących zwolenników, ale cały bezmyślny a potężny tłum, który ma wydoskonalony węch do wietrzenia powodzenia, zwracać się poczyna przeciw niemu i woła: nic z tego nie będzie, skończony człowiek, skończony zawód! Tłum ten wierzy, że świeżo pochwycone papiery boulangerskie w najwyższym stopniu dowodzą jego winy i że aresztowanie podintendenta wojskowego Reicherta, zaufanego i ulubieńca Boulangerera, jest złym znakiem, może ostatnim dla boulangeryzmu ciosem.

Człowiekiem dnia w zamian jest pan Constans, minister spraw wewnętrznych, któremu się dotąd wszystko wiedzie i który — rzecz nie do zaprzeczenia — odzyskał wiele gruntu, straconego przez Rzeczpospolitą. Niektórzy dodają, że większa w tem część zasługi prezydenta Carnot; wszyscy przyznają, że znaczna, a wzięcie jego rośnie. Ale Constans jest wieżą Eiffel chwilowego położenia politycznego. A wybory co przyniosą? — zapytałem. Ah! ba, odpowiedziano mi: Constans je przeprowadzi! — co znaczyło, że zaufanie w jego biegłość i szczęście jest nieograniczonem. Cała zręczność polegać będzie na tem, aby nie pozostawić zbyt wiele czasu między Wystawą i wyborami, między zabawką i zabawą. Przy wyjściu jednak z pierwszej, a przy wejściu do drugiej znajduje się sfinks — chłop francuski.

*10 czerwca.*

Prócz wielkiej uroczystości, która się zwie Wystawą, cały szereg innych odbywa i odbywać się będzie przez czas jej trwania, niby łańcuch złożony z ogniw samych zabaw; zaczarowane koło, w którym Francya

zapomnieć ma o Boulangerze, o błędach i ułomnościach Rzeczypospolitej. Rzecz dobrze obmyślana, aby odurzyć aż do wyborów, ducha publicznego; jestto może wielka dawka morfiny, która na razie ukaja wszelkie bole, wprowadza w stan najprzyjemniejszych wrażeń.

Uroczystości takich było dwie wczoraj: w Vincennes ogólny zjazd Stowarzyszeń gimnastycznych całej Francji, na który zaproszono zagraniczne, oraz słynny Wielki Steeple Chase paryski w Auteuil.

Stowarzyszenia gimnastyczne przybrały we Francji znaczne rozmiary; sieć ich okryła całą przestrzeń Rzeczypospolitej; wśród dzisiejszych stosunków stały się rodzajem potęgi, nie zatem dziwnego, że prezydent Carnot i prezes gabinetu Tirard pospieszyli na otwarcie uroczystości. Pięć tysięcy gimnastyków zebranych było na placu ćwiczeń artylerji. Stowarzyszenie alzackie z chorągwią okrytą kirem witane jest szalonymi okrzykami. Sławetny Sokół czeski wywołuje pełne zapału objawy, a na uczcie danej po południu Dr. Podlipny wnosi zdrowie po czesku, które zakończy po francusku, zdrowie młodo-czesko-postępowo-ultra-skrajno-wolnomysłne.

Nareszcie po strasznym upale spadł strumieniami wielki, obfity, błogosławiony deszcz; wszystko po nim, Wystawa przedewszystkiem, wydaje się miłszem, przyjemniejszym, ładniejszym, ma się uczucie błogiego wyzwolenia. Ale deszcz ulewny a zbawczy nie pozwala podążyć do Auteuil, gdzie się rozgrywać będą losy Francji i Anglii. A zatem na Wystawę, aby ją po raz pierwszy w dzień zobaczyć. Wrażenia ogólnego z zewnątrz niema się, jadąc na Wystawę; bo ta kraina która rozciąga się po obu stronach Sekwany, od Invalidów przez Pole Marsowe do pałacu Trocadero jest zbyt obszerną, aby ją jednym spojrzeniem i wogóle wzrokiem objąć; możliwem to jest jedynie z dachów Trocadero albo ze szczytu wieży Eiffel.

Wczoraj już tłumy spotykałem na Wystawie i to nawet w najbardziej oddalonych jej zakątkach. Przywożą je co chwila: kolej żelazna umyślnie w tym celu zbudowana, biegnąca nad Sekwaną do Pola Marsowego, dorożki, omnibusy, tramwaje, statki parowe. W obrębie Wystawy jest kolej żelazna, tak zwana *Decauville* o trzech przystankach, głównym oczywiście przy wieży Eiffel za cenę 25 centymów; są wyborne krzesła na kołach, także malownicze anamskie i nareszcie osły egipskie.

Wchodząc bramą Suffren przechodzi się przez krążganki równoległe i prostopadłe, do olbrzymiego dumnie wznoszącego się *Gmachu maszyn*. I tu znowu uderza zręczna, niemal zawsze szczęśliwie pojęta i wykonana różnaitość niesłychana ustrojenia i urządzeń, istna zwycięska walka z jednostajnością. Niezmierzony, ogromny dział francuski odznacza się tradycyjnym, dobrym smakiem, wykwintnym zwłaszcza w sprzętach. Stany Zjednoczone Ameryki północnej, zajmują przestrzeń odpowiednią poniekąd ich niezmiernym obszarom; nareszcie Rosya błyszczy, jak zawsze, futrami przepysznyimi i wcale udatnymi wyrobami ze srebra, między którymi dostrzegam zastawę z Janem Sobieskim na dzielnym, spiętym koniu z polskim napisem. Przez różne kraje i kraiki dochodzi się nareszcie do drugiego — po wieży Eiffel — cudu Wystawy, do *Gmachu maszyn*. Rzecz dziwna, ten ogrom poświęcony nowoczesnemu bożkowi nie jest pozbawiony polotu; jest tu w pomyśle śmiałość, w wykonaniu doskonałość. To św. Piotr materyi. Nikt jeszcze nie połączył ze sobą tak zgododźwięcznie tyle żelaza i szkła, zarazem tak potężnie. Budynek i to co zawiera w sobie jest ostatniem słowem stulecia, które rozpoczęte bohaterskim okresem, zapełnionym prawdziwą wielkością i wielkimi nadziejami, przemieniło się zwolna w tuzinkowy świat mieszczańsko-dyplomatyczny, aby kończyć swoje istnienie, pod znakiem maszyn, mając

w swem lonie niedojrzały plód socjalizmu, którego urodzeniu dopomagają owe maszyny oraz wynalazki, co je poruszają i w szalony wprowadzają wir. Wir ten kończy się parowemi i elektrycznemi drukarniami, które co chwila odbijają *Dziennik Wystawy*.

Deszcz nie ustał, ale zachęcająco ochłodził powietrze, a strumieniami już nie pada; więc zdążyć trzeba, przechodząc obok wieży Eiffel, do powozu, aby się dostać do Auteuil. Nic ona nie traci ze swojego dziwnego wdzięku w dzień, przeciwnie zyskuje jej misterna robota; to olbrzymia, najogromniejsza zabawka, jaką kiedykolwiek wymyślono dla starych dzieci. Bawią się też nią wysmienicie, nacieszyć się nie mogą tysiącami jej szczegółów; poczawszy od wydania *Figara* drukowanego na jej piętrze, skończywszy na windach, które jakby jakie potwory, wznoszą się dotąd dopiero na drugie piętro i spadają jakby śnieżne lawiny. Pomimo obszaru, bogactwa i różnaitości Wystawy, wieża Eiffel jest tym tworem, który ją odróżnia i wyszczególnia między wszystkiemi poprzedniemi. Ona nadaje jej cechę i wyciska na niej piętno. Ona uosabia duchowe usposobienie publiczności bieżących czasów.

Tylko w Paryżu stać się mogło, iż pomimo ulewnego, następnie rześistego deszczu, wszystkie trybuny, wszystkie łoże, cały plac wyścigowy w Auteuil był przepełniony. Paryż to jedyne miejsce na ziemi, gdzie nie stanąć nie może na przeszkodzie zabawie i zebraniu się na niej tłumów. A tłumy te, bez uwagi na psotny żywioł, ukazały się w świątecznych, wykwintnych strojach. Cały świat wesóły, błyszczący i różnobarwny, więcej powabny niż stateczny, który nigdy nie obawia się najazdu cudzoziemca, lecz dzielnie oczekuje go, nie na to wprawdzie, aby z granic wyprzeć, lecz aby w spłotach z róż uwięzić, stawił się w najlepszych, najznamienniejszych swoich okazach, uzbrojony od stóp do głowy, do walki, w której ulegając, zwycięża. Wbrew

wszelkim oczekiwaniom i przepowiedniom w wielkim biegu o sto dwadzieścia tysięcy franków, pobił wszystkie Albionu rumaki koń francuski Le Torpilleur, a zwycięstwo tego bohatera odwetu — niestety nad Anglią tylko — wywołało niekończące się patryotyczne objawy uniesienia.

Paryż pomimo Wystawy nie zmienił swoich znamion; ma on tę właściwość, że wszystko w niego wsiąka i dość spiesznie przeobraża się, że on na wszystko i na wszystkich oddziałuje, podczas gdy na niego — nie. Zresztą, jak już powiedziałem, dotąd jest wprawdzie napływ cudzoziemców, ale najazdu jeszcze nie znać. Względnie dużo Austryaków zwłaszcza Wiedeńczyków, którzy ponoszą lepiej przedstawiają Austryę, niż dział jej na Wystawie. I choćby to zgniewać miało ks. Bismarcka i jego syna, dosyć jest Niemców, których poznaje się po berlińskiej wymowie i żelaznych ruchach.

Dla znających Paryż niepojęty był zdaleka, kilka dni trwający zatarg z traktiernikami i dyrektorami teatrów, którzy tracić mieli z powodu otwarcia do późnej godziny Wystawy. Na miejscu pokazało się, o czem wątpić trudno było, że to była plotka i nieudała kabala polityczna. Jadalnie nie tracą oczywiście, ale doskonale zyskują i doskonale jak zawsze obsługują. Teatra zaś są pełne co wieczór, a wczoraj w *Gymnase* na *Belle-Maman* Sardou, granej wciąż od jesieni, granej zresztą dość miernie, lecz cieszącej się wielkiem powodzeniem, komnata była przepelnioną od góry do dołu. Sardou napisał tę wyborną, mieszczańską komedję, widocznie aby dowieść, iż potrafi stworzyć coś przyzwoitego, poczciwego i wcale nie hałaśliwego. Przedsięwzięcie — zdawałoby się mogło nie łatwe — udało się zupełnie i Sardou trafił do jakiegoś zakątka usposobienia publiczności, dotąd nieznanego, do jakiegoś świeżego uczucia, które on sam może wytworzył zbyt jaskrawymi, gorączkowymi swoimi ostatnimi utworami, zwłaszcza

swoją *Tosca. Belle-Maman* bowiem jest przeciwtrucizną tamtego wszystkiego i błogim odpoczynkiem po burzy morskiej i chorobie morskiej, na dramatycznym Oceanie.

Czego chciał dopiąć Juliusz Ferry swoją ostatnią o wychowaniu publicznem mową, trudno dociec. To pewna, że wierny oportunistowi, uczuł i zdradził, pomimo sekciarstwa, potrzebę liczenia się z katolicką publicznością francuską. I miał słusność. Paryż i Francya są dość ludnemi, dość bogatemi i żywotnemi, aby obok innych społeczności posiadać także silną, zwartą, dzielną katolicką a pomimo wszystkiego, duch Francyi, jej tradycye i jej dobre skłonności przeważają liczebnie szalę na stronę religii ojców, której tyle zawdzięczają Francuzi i której nigdy — acz nie wszyscy — nie przestali wywdzięczać się, to bohaterskimi, to wielkimi czynami i dziełami, to znowu ofiarnością wspaniałą. Taki właśnie oportunista jak Ferry, choć wolno-mularz, zgrzeszyłby ciężko przeciw swej politycznej wierze, gdyby się we Francyi nie liczył z katolicyzmem. Wczoraj w pierwszy dzień Zielonych Świąt, z bardzo małemi wyjątkami wszystkie sklepy, zwłaszcza wszystkie znaczniejsze, były od samego rana zamknięte, a u św. Magdaleny był ścisk, oczywiście inny niż w Auteuil. Tak to w Paryżu jest wszystkiego i wszystkich poddostatkiem; i takich co do Boga i takich co do ludzi i takich także co do Boga i do ludzi.

11 czerwca.

Udałem się wczoraj na Wystawę od strony pałacu Inwalidów; przy wejściu czekałem z kwadrans, zanim mogłem się dostać do okienka, w którym odbierają znaczki wejścia. Chcę podążyć do alei, w której znajduje się niezmiernie zajmująca *Historja mieszkań ludzkich*; przewodnik z wózkiem odmawia mi służby, wska-

zując rozpaczliwym ruchem ręki, iż niepodobna będzie przecisnąć się przez tłumy; zwracam się do wózka ciągniętego przez Anamitę. Anamita z głupkowskim uśmiechem na ustach bełkocze coś, co znaczyło oczywiście iż nie czuje się na siłach przepchać się przez rosnącą i zwiększającą się z każdą chwilą gęstwinę ludzką i znika ze swoim wózkiem, nad którym wznosi się zgrabny słoneochron. Pozostawiony sam sobie, próbuję wszelkimi sposobami i we wszelkich kierunkach, to przecisnąć się, to ominąć niesłychany, piętujący się, straszny, chwilami niebezpieczny tłum. Daremne wysilenia! Prąd ludzki idący naprzód i drugi powracający, uniemożliwiają każdy krok. Nie daję jednak za wygraną; poświęcam mój znak wejścia, znoszę z bohaterstwem wydatek 75 centymów i wychodzę z granic Wystawy w nadziei, że inną bramą dostanę się do dzisiejszego celu wycieczki. Otucha wstępuje we mnie, znajduję bowiem wolną dorożkę: „Do bramy *Quai d'Orsay!*“ -- wołam. Tu jednak zaczyna się nowe umartwienie, tyle jest powozów, że dorożka wcale z miejsca ruszyć nie może, po dziesięciu minutach posuwa się krok za krokiem, a po kwadransie dociera nareszcie do upragnionej bramy. Po raz drugi opłacam wejście i znajduję się w alei: *Historyi mieszkań ludzkich*. Z wielkim wysileniem, trzymając się silnie przegrody, staje przed pierwszym schronieniem ludzkim, tak zwanem kamiennem, wykutem w skale; o pięć kroków znajduje się chata ze skóry renifera, widzę ją, lecz już do niej dotrzeć niepodobna, fala ludzka staje na przeszkodzie. Raz jeszcze robię nadludzkie wysilenie, ale daremne; nie pozostaje jak poddać się losowi, dalsza walka byłaby tylko bezużytecznym wydatkiem i tak już wyczerpanych sił. Strażnik przy wejściu mówi: „Gdziekolwiek pan pójdziesz, znajdziesz dziś to samo, od czasu jak tu stoję nie było jeszcze tak olbrzymiego tłumy i takiego ścisłu. Radzę odłożyć do jutra. Dziś święto“.



Nie wiele zatem mogę dziś napisać o Wystawie; ale moja przygoda daje wyobrażenie o niej, o jej powodzeniu, o ruchu i zajęciu, jakie wywołuje, słowem o Paryżu podczas Wystawy i stwierdza to, co już powiedziałem, że dotąd sam Paryż przeważnie zasila ją, gdyż niepodobna, aby w jednym dniu owe tłumy wczorajsze przybyły z zagranicy lub z kraju.

Prawdopodobnie dzisiaj będę szczęśliwszym i zdolałam przejść przez nieprzystępną wczoraj aleję *Historji mieszkań ludzkich* i podążyć przez *Park pałacyków* do nieodmiennego celu, do wieży Eiffel.

Szczęśliwszym odemnie był wczoraj ks. Walii, który przybywszy z rodziną Paryża zwrócił pierwsze kroki, jak wszyscy śmiertelnicy, do wieży Eiffel i wraz z żoną i dziećmi, zwiedził ją szczegółowo. Pomimo iż winda trzeciego piętra nie jest jeszcze ani ostatecznie wypróbowaną ani oddaną do użytku publicznego, książę wraz z rodziną puścił się nią odważnie, a młodzi księżęta dotarli nawet schodami do ostatniego szczytu. Powracając, księstwo zwiedziło drukarnię i komnatę nadpionietrzną *Figara* na wieży.

Nietylko z jej szczytu, ale już z pierwszego piętra każdy Paryżanin z dumą, każdy cudzoziemiec z podziwem obejmuje wzrokiem dwa olbrzymy — Paryż i Wystawę. Pierwszy opasany obronnym łańcuchem twierdz potężnych i robót ziemnych, które od ostatniej wojny przybrały tak wielkie rozmiary, iż dziś, aby obleść Paryż, trzeba by siedmkroć sto tysięcy ludzi, które możeby się znalazły, lecz których wyżywić nie byłoby możliwem; tak, iż o pokonaniu ponownem Francyi marzyć zapewne jeszcze wolno, lecz o okoleniu Paryża już niepodobna ponosć. A w tym Paryżu, w ośmnaście lat po jego pogromie, tyle przecież nagromadzonych jest znowu bogactw, tyle przepychu i kosztowności, tyle życia i ruchu, że wszystko to zaostrzyć zdolne pożądrości lub obawy. Tych bogactw, przepychu, kosztowności



wności, życia i ruchu, chwilowym najświetniejszym wyrazem jest Wystawa; lecz obok niej, ileż tu publicznych i innych skarbów, ile pałaców, domów, mieszkań zawierających milionowe zbiory sztuki i starożytności! Zapewne, że nie warte one wszystkie dwóch straconych klejnotów, cō się zwią Alzacyą i Lotaryngią, o których odzyskanie pokusić się jeszcze nikt tu nie czuje na siłach, ani nikt zerwać się do tego nie chce, ale przecież to co pozostało i to co przybyło od „straszego roku“ zdaje się być dziś zasłoniętem przed napadem i nieprzystępnem dla pożądlivosti.

Nie trzeba wcale być zwolennikiem ani Rzeczypospolitej, ani obecnego porządku rzeczy, co zresztą byłoby nierozważnem — aby przyznać, że z wszystkich rządów republiki trzeciej, dzisiejszy ma najlepsze poczucie władzy, może dlatego, że obecnie niebezpieczeństwo jest największem. Dość że od zniesienia banicyi ciężącej na ks. d'Aumale, do rozproszenia ligi i do procesu Boulangerera, dowiódł ten rząd, że rządzić chce i umie. Czy potrafi do końca? To inne pytanie. Ale dziś umieć rządzić we Francyi przez kilka miesięcy, to już wiele, chociaż to nie wszystko. Laguerre, Laisant, Dérouléde, Richard i inni, którzy w Angoulême zamierzili urządzić boulangerską burdę, zostali w niedzielę bez wahania aresztowani, za stawienie na ulicy oporu wykonawcom władzy i ich zbeszczeszczenie; nie pytano się o to, że to deputowani, bo czyny karygodne spełnione zostały na miejscu publicznem, nie przeraziła władzy pewność interpelacyi w izbie i kocięj muzyki w dziennikach. Rząd obecny spełnia najważniejsze powołanie każdej we Francyi władzy, bo bawi Paryż i spełnia obowiązek każdej na świecie władzy, bo ściga spiski przeciw niemu knute. Dodajmy że przygotowuje wybory.

Spiski i to nielada wdziedzic można w *Comédie Française* na przedstawieniu wznowionego po sześćdziesięciu latach, *Henryka III i jego Dworu* Dumasa ojca. Jakich to

talentów aktorskich potrzeba, aby z powodzeniem i przy wciąż przepelnionej komnacie wskrzesić coś takiego. Niemniej przecież, pomimo przedawnionych sposobów i sposobików, użytych obficie w utworze, w którym do zawiązania działania, pisarz posługuje się alchemią, astrologią, prestidigitatorstwem i złudzeniami optycznymi, skrytymi drzwiami i narkotykami, tkwi w nim pewna siła dramatyczna i zdobi go wdzięk opisowości niezrównanej, właściwych staremu Dumasowi. Ale całą wielką zasługę powodzenia należy przypisać niezrównanemu przedstawieniu i niezrównanej grze artystów. Przepych i dokładność archeologiczna w wystawie, połączyły się, aby przenieść widza w okres ligi — nie pana Dérouléde, ale ks. Guise. Wśród tysiąca szczegółów, obok lilii błyszczą heraldycznie najdoskonalej odmalowany orzeł polski. Obyczaj i kształty okresu uchwycone wybornie przez artystów, nie pozwalają wątpić, iż się przepędziło wieczór na dworze Katarzyny Medicis. Worms tak nadzwyczajnie gra „króla Francyi i Polski“ jak się sam Henryk III nazywa w dramacie — iż niepodobna przypuścić, aby on mógł być innym. Panna Brandes ze szkoły Sary-Bernhard, nowa, jak się zdaje obiecująca siła, pierwszego w świecie teatru, ma jako księżna de Guise szczęśliwe chwile.

12 czerwca.

Niezawodnie, że są i to liczne części Wystawy, poważne, użyteczne, nauczające i naukowe — ale bystrzejszy nieco wzrok spostrzeże łatwo, że pod użytecznością i wytworczością ukrywa się myśl główna, cel główny — zabawy i zabawienia. Można napewne twierdzić, że jak wieża Eiffel, która znamionuje ją, tak i Wystawa, jest w szerokich rozmiarach pojęta, w wielkim kształcie, z sumptem niesłychanym wyko-

naną, we wspaniałe ramy objętą — największą końca stulecia zabawą! To jej cecha główna, której nie już z niej nie żetrze i która nadając całości i częściom powab i życie, sprawia przecież, iż w całości i częściach czuć pierwiastek rzeczy, że zatem czuć nieco, nieodłączną od niego powierzchowność i więcej blasku niż istotnego światła — co zresztą jest właściwością wszelkich Wystaw powszechnych, z tą różnicą, że żadna takiego jak ta, blasku nie miała.

Tę cechę odnalazłem zaraz, na wstępie onegdaj przerwanej, wczoraj ponownie rozpoczętej przechadzki w miejscu, w którym w poniedziałek, uledez musiałem przed piętrzącymi się falami ludzkiemi. Zanim puściłem się *Aleją Historji mieszkań ludzkich*, wstąpiłem do wznoszącej się po prawej ręce *Panoramy ruchomej ogólnego towarzystwa transatlantyckiego*, która odbędzie podróż naokoło świata. Co się znajduje na górze — nie wiem — gdyż znowu ścisk tu był tak wielki, że pomimo zapłaconego franka, odstąpiłem od nabytych praw, nie chcąc narażać się na stratę droższego dziś niż kiedykolwiek w Paryżu czasu. Jest tam podobno pokład okrętu, z którego widzi się przystań Hawru i główne statki *Towarzystwa*. Na dole, gdzie się dostać zdołałem, są dioramy które z niesłychaną dokładnością przedstawiają porty francuskie oraz podróż w różnych jej szczegółach statku transatlantyckiego.

*Aleja Historji mieszkań ludzkich* zaczyna się od schronienia w skale, do którego jedynie w poniedziałek dotrzeć mogłem, a przedstawiając domostwa wszystkich głównych okresów i narodów świata, kończy się szaląsą Czerwonych skór, oraz domami Asteków i Inkasów. Wszystkie te podobizny i odbudowania mieszkań ludzkich, chociaż tylko w przybliżeniu, chociaż niedokładne, bardzo niedokładne dają pojęcie o domostwach człowieka — są jednak barwne, architektonicznie dość wierne i bądź co bądź szereg ich który pozwala poznać

postępy i cofania się ludzkości — jest zajmującym. Zagroda na palach z jeziora Albano; dom egipski, bogaty w mumie i przedmioty z Egiptu — sprzedawane przez znane w Kairze przedsiębiorstwo; namiot i domostwo hebrajskie; dom Etrusków; dom perski 500 lat przed Chrystusem; chałupa Germanów, w której Francuzi sprzedają piwo; dom grecki z czasów Peryklesa z napisem: „Mieszka tu Herakles, niech tu złe nie wchodzi“; dom rzymski, naśladowanie dość niedokładne jednego z budynków Pompei, zawierający dobre podobizny głównych arcydzieł neapolitańskiego muzeum; wóz Hunnów, na którym Francuzi wystawiają sobie w wyobraźni przodków pana Tiszy; chata rosyjska ładna; nareszcie trzy domy z okresów romańskiego, średnich wieków i odrodzenia — oto nie wszystkie, ale główne i najbardziej godne uwagi pierwowzory mieszkań przedstawionych. Znać w układzie więcej wszechstronności niż nauki; więcej wytworności niż archeologii i znowu lepiej się tu zabawić można, niż zbadać *Historję mieszkań ludzkich*. Jednak pewnego o niej przelotnego wyobrażenia nabiera się. W każdym takim mieszkaniu sprzedają odpowiednie przedmioty, lub odpowiednie napoje, w niektórych znajdują się prawdziwi Arabowie, Chin czycy, Japoneczycy i Rosyanie; w innych udający Arabów lub Arabki, lecz chętnie przyznający że są Paryżaninami. Kuchnia arabska i kawiarnia arabska, obsługiwane przez prawdziwych Algierczyków, zasługują na uwagę.

W pewnem miejscu tej alei, stajesz naraz zdumiony, zachwycony widokiem olśniewającym; doszedłeś do mostu Jena, który nakryty bogatym baldachinem, łączy dwa brzegi Wystawy; po prawej ręce wznoszą się tarasy i pałac Trocadero, po lewej wieża Eiffel, w głębi za nią lśniąca od złota brama *Gmachu maszyn!*

Przed sobą widzisz gościnne podwoje słynnego *Grand Bouillon Duvall*, który usadowił tu swój odłam. Dobroczynny to zakład, który za przystępną dla naj-

skromniejszych kieszeń cenę daje, dobrą strawę. Zakład dobroczynny, który w zysku miliony przyniósł! Oczywiście, że są w Paryżu wykwintniejsze kuchnie, ale zdrowszej, uczeiwszej nad *Bouillon Duwall* niema. A prztem to smaczne jadlo, z zasady — nie sione.

Słońce świeciło, ale nie dopiekało i zewnątrznie Wystawa przedstawiła się przy wejściu przez most Jena w całej swej świetności! Kopuły, wieże, posągi, bramy tryumfalne, pałace kąpiące się w Sekwanie, tysiące barw — wielki łuk ze strzałą olbrzymią, biegnącą ku chmurom, co zwie się wieżą Eiffel — oto widok, który cię olśniewa i przypomina naraz wrażenia, jakich w życiu doznawałeś od Kijowa do Neapolu. Kto mówi, że nie warto widzieć Wystawy, nie wie co mówi; ale pomimo iż nie wie, przebaczyć mu niepodobna. Ruch w Paryżu coraz się zwiększa. Wczoraj, wracając z Wystawy, zaledwie moja dorożka przecisnąć się mogła na bulwarach do *Grand Hôtel*.

Z każdym dniem nabiera się coraz więcej przekonania, że tu nikt zgola nie wie, co się tyczy najbliższej przyszłości. Najbezpieczniej jeszcze podawać kolejno zdania które się słyszy. Oto jedno wprost przeciwne temu, które wyżej zapisałem. Zajęcie i powodzenie Wystawy są chwilowemi, powierzchownemi; w głębi położenia, wszystko złe, oplakane, nędzne, bezsilne. Constans zdolny, stanowczy, ale — ale we wszelkich kierunkach publicznych i innych niepewny, bodaj czy nieczysty. Stanowczość rządu spóźniona, obraca się przeciw niemu; nawet onegdajsze aresztowania w Angoulême wyjdą mu na złe; rząd już nietylko okazuje siłę, ale chwytac się musi gwałtów. Niemożebność dowiedzenia zbrodni stanu Boulangerowi, będzie zabijającą. Rząd dzisiejszy dogorywa wśród róż Wystawy, bo umrzeć musi i umrze wraz z izbą. Pomimo wszystkiego, wybory wypadną na korzyść boulangeryzmu; Clémenceau niczem nigdy nie będzie, a Boulanger będzie czemś.

Gdyby został skazanym pomimo oczywistego braku zbrodni, powróci i da się uwięzić przed samemi wyborami, aby powszechne głosowanie otwarło bramę jego więzienia i zamieniło w tryunfalną!

O jednym człowieku nic nie slysze złego, oto o prezydencie Carnot, a slysze nieraz słowa uznania, które rozciągają się do pani Carnot.

Przy wręczeniu wczoraj trzech barrettów trzem nowomianowanym kardynałom francuskim, arcybiskup Paryża, Richard, miał przemowę, w której między innymi znalazły się te słowa: „Prosimy także Boga panie prezydencie, aby błogosławił twej rodzinie. Nikt lepiej od nas ocenić nie umie szczęścia i godności ogniska domowego, któremu przewodniczy kobieta chrześcijańska i francuska“. Odpowiedź prezydenta była przyzwoitą, ale oględną i chłodną. Zapewniają mnie jednak, że stosunki tutejszego gabinetu z Watykanem są jaknajlepsze, choćby tylko naprzekór panu Crispiemu, który zapewne do nich uczynił zwrot w swej ostatniej, zuchwałej mowie.

Najpiękniejsza pogoda, bo od niedzieli wolna od upału, sprzyja Paryżowi podczas Wystawy. W teatrach błoga naprawa, chroniąca przed gorącem, a zabezpieczająca niemal zupełnie przed tak wielkiem tutaj dawniej niebezpieczeństwem — wszystkie bowiem i wyłącznie oświetlone są elektrycznością. Przy jej blasku Sara Bernhard z pięknym Damalą, rozwija jeszcze wszystkie czary swojego kunsztu w *Damie kameliowej* w *Variétés*. Istotnie utylą, odmłodziła jako babka i weszła w drugi okres powabów. Gra zaś zawsze tak samo Małgorzatę Gautier, to jest tak, jak nikt jej nigdy nie grał i nikt nigdy grać nie zdoła. A odtworzenie tego pierwowzoru wyborne, dokładne, wierne przy mi-sternem nacechowaniu, iż w tym wypadku, tkwi coś innego, coś lepszego i wyższego w duszy i sercu — jest rzeczą głębszą.

Szczegół znamionujący, bogactwo Paryża, o którym wczoraj wspomniałem. Ambasada austro-węgierska przenosi się, jak wiadomo, do darowanego jej pałacu księżnej Galiera. Książę Wagram ożeniony z Rotschildówną, wynajął na siedm lat dawny hotel ambasady na *Avenue d'Alma*. Dziś już się znalazł ktoś, który mu ofiaruje dwa kroć pięćdziesiąt tysięcy franków odstępnego!!!

13 czerwca.

U stóp wieży Eiffel rozpoczyna się szereg gmachów, które okalając „Pałac rzemiosł“ *Palais des arts libéraux* ciągną się do słynnej już dziś, a wielkiem na Wystawie cieszącej się powodzeniem ulicy Kairu *Rue du Caire*. Pierwszy wznosi się „Kanału Sueskiego“, zawiera dokładne wzory i mapy ale także i zabawkę, to jest śliczne oświetlenie elektryczne podobizny kanału; to też tutaj ścisk wielki, latarnie morskie i pływające wzory okrętów ze światłem elektrycznym wzbudzają podziw! Rozpoczyna się niekończąca się alea gmachów, niezliczonych rzeczypospolitych Ameryki południowej od Argeńtyńskiej do Hajtyjskiej. Pokazuje się, że na Bożym świecie rzeczypospolitych jest już podostatkiem, więcej niż monarchii, a przecież nierozwiązaniem pozostało zadanie uszczęśliwienia ludzkości. Pokazuje się również, jak bardzo rośnie, rozwija się, wzmaga i grozi Europie, przynajmniej gospodarczo i pieniądze, już nie tylko Ameryka północna, ale także Ameryka południowa, złożona z wielu państw i państwerek, a która wchodzi w coraz ściślejsze z Europą stosunki i czerpie teraz swoje bogactwa nie już z kopalń ale z pracy, przemysłu i handlu. Wspaniałym okazem rozrostu południowo-amerykańskich państw jest olbrzymi budynek Rzeczypospolitej Argeńtyńskiej, który w ten sposób jest zbu-



dowany, iż będzie przeniesionym do Buenos-Ayres. Zawiera on najrozmaitsze płody i dzieła miejscowe.

Równie olbrzymi gmach Chili, świadczy o nielada zamożności. Pyszny jest budynek rzeczypospolitej meksykańskiej; pomnikowa, znamienna wielce architektura, przypomina nieco egipską, jakby była jej dalekim odbłaskiem; rzeźby zewnętrzne pełne siły dzikiej. Stopniowo zwiedzając te gmachy, zbliżyłem się do wyspy „Pałacu rzemiosł“, na którym dalszy ciąg budynków rozwija się wdzięcznie. Pierwszy wabi cię tak zwany „Pałac dzieci“, w którym jednak więcej pokus i ponęt dla pełnoletnich, niż dla małoletnich. Tu są podobizny lalek i maryonetek, wszystkich czasów i krajów. W środku teatr, na którym nieraz usłyszeć można to, czego dzieci nie rozumieją lub przynajmniej rozumieć nie powinny. Naokoło pełno gier różnego rodzaju, zamienionych w loterye. Koniki takie ładne i składne, a ich właściciel tak zachęcająco ofiaruje mi zakład, że biorę jednego za franka; natychmiast dziesięć koników rozpoczyna bieg, a mój Nr 6 staje pierwszy u mety i wygrywa mi pożącaną wieżę Eiffel — wcale ładną. Po drugiej stronie obszernej komnaty zabawka już całkiem a całkiem nie dziecinna — piękna Fatyma, która od ukazania się w Paryżu, mnogo zebrała laurów i pierwszych medali oraz dyplomów piękności, po za współubieganiem się, *hors concours*. Rysy i oczy jeszcze nadzwyczajne, ale nieco już tuszy, a cera coraz bledsza, tak, że piękna Fatyma coraz bardziej podobna do lalki z wosku. Fatyma jest jednym z dziwnych a niezwykłych wynalazków naszych czasów, mocą którego spienięża się piękność, inaczej jak handlem cnoty! Nowy to rodzaj bezwystępnego nierządu. Wyszedszy z „Pałacu dzieci“, wcale nie dziecinnego, licho mnie skusiło puścić się na tak zwane fale Oceanu w łódce. Za pomocą przyrządu łódzie poruszane są zupełnie tak samo, jak na morzu, a w jednej chwili uczułem, że zbliża się ten

sam skutek, który wywołują fale morskie, gdy na nich kołysze się statek; co najgorsza, oto, że tej łodzi puszczonej w ruch zatrzymać nie można i nie pozostaje, jak poddać się losowi; po przykrej, kilkuminutowej po wzburzonych falach przejażdce, spocony, ale na szczęście tylko spocony, przybiłem do przystani. Co za piekielny pomysł i co za zły żart, stwarzać sztucznie to, czego się tak starannie unika.

Ohydną mi się wydała po tem biała orkiestra cygańska w huzarskich mundurach, złożona z dzieci i niewiast i mało zajmującym „Muzeum Japońskie“, w którym same są lalki, ani jednego niema Japończyka; na górze usłyszałem kapelę francuską.

„Gmach kuli ziemskiej“, w którym znajduje się olbrzymia podobizna naszej planety, obracająca się na swej osi, już mi się wydał więcej zajmującym i tu naczynie przekonąć się mogłem, jak dalece pomimo złośliwości swoich fali, łaskawem jest dla ziemi morze, skoro mając ogromną nad nią przewagę, ani jej nie pochłania, ani wynaradawia, ani wytępia. Nie każdy potentat mógłby się podobną wspaniałomyślnością poszczycić. Zaledwie przejść — raczej przebiegnąć można przez las gmachów krajów wszystkich części świata; gdziekolwiek tylko starczy ci czasu, aby wstąpić lub rzucić okiem, brak czasu bowiem w tej chwili w Paryżu, brak ogromny zatruwa wszystko; jestto ciągle, nieznośne spieszenie się; pośpiech zaś to zabójstwo wszelkiej rozkoszy. Ale przed „Gmachem Indyj angielskich“ nietylko zatrzymać się musisz, ale z pewnością wejdziesz do niego. Architektura bogata, znamienna, krużganek wspaniała. W środku bazar indyjski zawiera przepyszne, kosztowne płody i wyroby Indyj — wszystko prawdziwe, a wiele w tem wszystkim rzeczy cennych, że wymienię naszyjniki z pazurów tygrysiich w złoto oprawnych, lub perły indyjskie. Prawdziwi Indyanie, o miedzianej skórze, o szlachetnych rysach,

obnoszą napoje indyjskie. Złudzenie zupełne, przedmiotów co nie miara.

W tej alei czuć jeszcze nieco brak wykończenia, jest kilka budynków nie otwartych, między nimi marokański, który zawierać ma zbiory sultana. Chiński i japoński otwarte i w nich żywy prowadzi się handel ślicznych przedmiotów.

*Le Palais des Arts Libéraux*, ogromna budowla wznosząca się równolegle do *Palais des beaux Arts*, zawiera „Wystawę retrospektywną pracy“, nazwa nieco szumna — ale na Wystawie wszystko szumne — oraz „Antropologii“. Olbrzymia izba wydaje się jeszcze dość pustą w środku tak zwana „Wystawa teatralna“ dość jest uboga i pojęcia o historyi teatru dać nie może. Trudno zrozumieć, poco taką i w tem miejscu urządzono. Wznosi się nad nią ogromny balon, naokoło niego rozciągają się „Historia balonu“.

Wydobywszy się nareszcie z lasu gmachów docierasz do głośnej „Ulicy Kairu“, która istotnie i architekturą i rozmiarami i ożywieniem daje dość wierny obraz Wschodu. Sklepy egipskie i arabskie, domy, szkoła i meczet, a na ulicy pierwotny żyjący. Stajnia białych osłów egipskich, obsługiwanych przez stu Egipcyan, przedstawia już zupełnie wierny obraz życia i obyczaju nad Nilem. Polecam tę stajnię naszym malarzom rodzajowym. Osły te wynajmują tylko do południa. Dlaczego? Bo po południu już niepodobna przez tłumy się przecisnąć.

Po długiej wędrówce na lądzie i morzu usiadłem nareszcie w „Kawiarni Arabskiej“ na „ulicy Kairu“. Tu kapela, tańce i kawa. Pomijam kręcącego się dervisza, ale dwie tancerki almy, są godne widzenia; pierwsza młodsza Zenab, znużona i znudzona, obojętnie z fatalizmem wschodnim, wykonywa trudny taniec z dzbankiem na głowie napelnionym wodą; druga Aioucha, szczwana, wesola, wyuzdana, tańczy z zapa-

łem i przekonaniem tak zwany taniec brzucha i istotnie wyprawia brzuchem rzeczy niesłychane przecież nie rażące; istny to balet żołądka.

Wyszędlszy stamtąd, trafiłem na olbrzyma Wystawy, o którym już tylokrotnie wspominałem, na *Gmach maszyn*, na tę katedrę Wystawy, której dzwonnica jest wieża Eiffel, arcy-pasterzem pan Berger, naczelnik główny jej zarządu.

Wierny raz przyjętemu sposobowi, jedynie obecnie możliwemu, powtarzam to, co wczoraj usłyszałem od doskonałego znawcy tutejszych stosunków.

„Wystawa, kochany panie, jest szalem, szalem który ogarnia tu wszystkich, także cudzoziemców; widzę, że i pan mu uległeś, nie dziwi to mnie, ja także oszalałem. Panie kochany szalej, jeżeli chcesz, ale nie ludź się. W gruncie rzeczy nic tu nie zmienione: ta sama płochość, lekkomyślność, zepsucie, marnotrawstwo, niezajomość obcych stosunków, niedokładność we wszystkim. Byłem tam pozaonegdaj, kiedy oklaskiwany był „Sokół“ czeski. — Wiesz pan, co wołano? Niech żyją Czesi! Niech żyją Węgrzy! A wiesz pan dlaczego, bo oni wcale nie umieją rozróżnić jednych od drugich, a już o przeciwieństwach, znanych całemu światu, zgoła nic nie wiedzą. Ale co najzabawniejsza, że te objawy zachwytu, jak wszystko tutaj teraz, były na rzecz Rosyi i że pomimo tego w zapale nieuctwa, dostały się Węgrom. Rusomania, mój panie, przestała tu być polityką, stała się narodową głupotą. Niedawno temu jeden z wysokich urzędników rzekł do mnie w sposób nader zamaszysty: Nam nie pozostaje, jak lizać d... Rosyi, a o innych nie dbać. Ta gburowatość wyrażenia cechuje nieludzkie już, bo pozbawione wszelkiej godności uczucie. Nie mówię o tem, iż Francuzi całkiem niezdolni są zrozumieć, jakie dla nich samych byłyby następstwa zwycięstwa zupełnego Rosyi lub zniknięcia z widowni Austryi — ale oni i tego już dziś dostrzedz

nie potrafią, że Rosya znajduje się w położeniu człowieka, który potrzebuje pieniędzy i że musi się uśmiechać i być grzeczną i uprzejmą dla jedyne go lekkomyślnika, który jej ich dostarcza. Tym lekkomyślnikiem, który ulegając rusomanii, dostarcza Rosyi pieniędzy, jest Francya, która wcale nie troszczy się o to, czy podwoi olbrzymi i tak już dług bieżący. Przyjaźń oparta z jednej strony na pieniądzach, z drugiej na złudzeniach. A jednak ambasador rosyjski bar. Morenheim na mocy tej przyjaźni, burmistrzuje tutaj i słowo jedno, które szepnął do ucha pana Spuller, zmieniło odrazu całe zachowanie się rządu w sprawie kolei serbskich. Niedość na tem, widziałem niedawno bar. Morenheim, otóż przyznać musisz, że zalet może mieć wiele, ale ani pięknym, ani ładnym nie jest. Cóż powiesz na to, że gdziekolwiek się ukaże w Paryżu, Francuzi wołają z zachwytem — jaki przystojny! Bizantyzm zaszczipiony we Francyi na rzecz Rosyi! Co to za zjawisko! Pytasz mnie o wojsko. Ja w tej mierze same mam wątpliwości — a przynajmniej wiele znaków zapytania. Że w razie wojny zapal byłby wielkim — i pierwsze uderzenie silnem, o tem nie wątpię, bo Francuzi znowu uczuliby żądę sławy. Ale ani w wytrwałość i wytrzymałość, ani w ład, ani w zarząd wojskowy, ani w dostateczne wyżywienie wojska nie wierzę. Poczyniono tu niezawodnie wielkie na armię nakłady, niezmierne; za wiele wydano, bo niewłaściwie; zmarnowano więcej niż zużytkowano — brak w całym ustroju wojskowym potrzebnej miary i koniecznej równowagi. Nie, panie! I tym razem byłoby to samo, co poprzednio. I wiesz, dlaczego trwa pokój? Oto dlatego jedynie, że o tem wiedzą i o tem przekonani są Niemcy, inaczej bowiem byłiby już uderzyli; znajdują zaś, że niema jeszcze dotąd potrzeby, a zatem lepiej i korzystniej nie rozpoczynać, ale pilnować. To też bądź pewny, że z tej strony nic się nie zacznie.

Stamtąd, od strony Serbii raczej, brzemieniami w burze mogłyby być gromadzące się chmury.

Ale powróćmy do tutejszych stosunków, skoro pana tak żywo zajmują. Gdyby nie wybory, mógłbym jeszcze wierzyć w trwałość obecnego rządu — ale wybory się zbliżają, zatem chwila przesilenia. Wprawdzie tylko łgarz mógłby powiedzieć, co z nich wyniknie i wogóle co się stanie. Constans bardzo zdolny, *très fort*, gotów na wszystko, zanadto na wszystko gotów, człowiek z południa, w gruncie rzeczy dobry chłopiec, ale w życiu publicznem korsarz, bo nie chce powiedzieć szubienicznik; przypatrywać się gotów z tym samym uśmiechem weselu co powieszeniu, bo jest zdania, że pierwsze równie konieczne, jak drugie. — Mówisz, że nie słyszałeś nic złego o Carnocie. A wiesz dlaczego — bo to pierwowzór, uosobienie, ostatecznie słowo mierności i dziwię się, żeś nie dostrzegł tej jedynej przyczyny ogólnego pobłażania. Tyle razy już przemawiał, a czy zapamiętałeś jedną myśl, jedno zdanie, choćby jeden ustęp? Zmarnował taką światową sposobność, jak otwarcie Wystawy, nie znalazł w takiej chwili, wyższego słowa, nie umiał przemówić podniosłe, myślał cały czas o Boulangerze i o nim mówił. Freycinet, niezmiernie od przyrody uposażony, jest dla Francyi klęską, bo nie ma ani woli, ani zdania. Ferry dobił się ostatnią mową. Boulanger niewiele wart, ale w porównaniu z innymi coś, bo chce przynajmniej być i jest czemś, ale Boulanger jak na śmiałka za mało jest śmiałym. Zamiast wejść do Izby ze szpicrutą w ręku, przychodził z okularami, które wkładał na nos, aby odczytać pisane mowy; to wzięcie ani żołnierza, ani śmiałka. Dla tego masz słuszność mówiąc, że Wystawa go zaćmiła, ale Wystawa się skończy, a może przedtem znuży, Boulanger zaś jest gutaperkowy; już nieraz upadał i odbijał się od ziemi, już znikał z widowni na to, aby na niej znowu podskakiwać. Prawda, że ucieczka zaszkodziła mu

zwłaszcza w oczach wojska. A z tego powodu przytoczę słowa doskonale, prawdziwie francuskie. Gdy się ktoś przedemną oburzał na ucieczkę Boulanger'a zapytałem: A gdyby się dał był uwięzić, czy bylibyście próbowali go uwolnić? — A co to, to nie — odpowiedziano mi — ale bylibyśmy nowe o nim śpiewali piosnki.

Robotnicy poczynają się zwracać przeciw Boulangerowi, bo im tłómaczą codziennie, że w razie danym zdziesiątkowałby ich. Monarchiści nareszcie domyślać się poczynają, że Boulanger mógłby z nich zażartować. A jednak mimo tego zobaczysz pan, że po wytrzeźwieniu z wystawowego szału, nastąpi obrachunek; wtedy pokaże się, że się nie zmniejszyła liczba ludzi zadłużonych i szukających umieszczenia, to jest, że ta sama pozostanie liczba niezadowolonych, a ci stanowią i stanowiąc będą siłę boulangeryzmu. Boulanger jednak nie utrzymałby się także długo, bo znowu odwrotnie, pobici republikanie utworzyliby zastęp głodnych i niezadowolonych. Szał wystawy nie potrwa do wyborów. Znasz pan Paryż, zatem wiesz, czem jest *le grand prix*, bodaj czy szał właśnie w tym dniu nie dojdzie do zenitu, powtarzam szał, nie zaś powodzenie Wystawy, które trwać będzie do końca. Paryżanie rozjadą się po *grand prix*, przybędą Amerykanie i wszelkiego rodzaju murzyni, wysługujący się Paryżowi. Zacznie się na dobre we Francji politykowanie i wybory wypaść mogą na korzyść Boulanger'a. Rząd obecny, pomimo pozorów, nie jest silnym, nie ma korzeni zapuszczonych w ziemię, a najlepszą oznaką, iż nie wierzą w jego trwałość oto że nie dbają już o dostanie z jego rąk stanowisk. Panie kochany, smutny ten obraz przedstawił ci człowiek, który lubi a nawet kocha Francuzów. Ale pytam sam siebie, dlaczego ich kocham? Oto kocham ich tak samo jak się kocha lekkomyślnika, bez charakteru, szkodzącego sobie i innym, na którego liczyć nie można, który częściej

klamie niż prawdę mówi, który od czasu do czasu popelnia rzeczy, za które, na dobrą sprawę, należałoby z nim zerwać; ale nie zrywa się i żyje się z nim, bo jest nadzwyczaj miły, przyjemny, ostatecznie dobry i uprzejmy, a bardzo uzdolniony, więcej jeszcze utalentowany; życie zaś jest krótkiem i rozumniej bawić się z nim, niż nudzić się z innymi. Ostatecznie powtarzam: nikt nie powiedziec nie może, co się stanie we Francyi i z Francją. I jak chcesz, aby powiedziec można w kraju, w którym w przededniu zwycięskiego wyboru Boulanger'a na deputowanego z Paryża, Floquet ubolewał przedemną, że kandydat rządowy otrzyma tylko czterdzieści tysięcy głosów większości“!

Tyle mój znajomy. Ja z tego wnoszę, że jeżeli przyjdzie do pojedynku, to tylko między obecnym porządkiem rzeczy a Boulangerem — nikt inny nie stanie na placu. I dodam, że spotkałem wczoraj w pełnym rynsztunku pułk konnicy i że dzielnie wyglądał.

*14 czerwca.*

Od wczoraj czarny obłok ukazał się na widnokregu Paryża podczas Wystawy, czarny zwłaszcza dla cudzoziemców; mamy bowiem i tutaj od wczoraj bezrobocie — dorożkarzy! Zaiste dobrą po temu wybrali chwilę! Paryż jednak tyle we wszelkich kierunkach ma środków i sposobów, że dotąd jeszcze zbyt dotkliwie to bezrobocie uczuć się nie dało. Jedyne miłość własna narażoną była, bo zanim się znalazło powóz, dziesięciu dorożkarzy dumnym kiwnięciem głową, odmawiało zawieść cię na Wystawę. Kilka dorożek i powozów — między innymi bar. Sélière — bezrobotni wyprzęgli na ulicy, przyczem nie brakło jeszcze gorszych gwałtów. Jak się to skończy, nie wiadomo, bo władza nader oględne i wstrzemięźliwe



zajęła stanowisko — aczkolwiek pan Constans oświadczył, że wszelkim nieporządkom ulicznym stawi stanowczy opór, a w tej chwili podjął się pośrednictwa.

„Pałac Sztuk pięknych“ wznosi się naprzeciw *Palais des arts libéraux*, który onegdaj zwiedziłem. Są one zupełnie do siebie podobne. Przy głównem wejściu do „Pałacu Sztuk pięknych“ znajdują się podwójne pomnikowe schody, prowadzące do różnych wystaw malarstwa. Jest aż cztery; pierwsza na dole, obrazów wielkiej Wystawy, dwie na górze stuletnia i dziesięcioletnia, nareszcie czwarta, coroczny salon w Pałacu przemysłu na polach Elizejskich, w tym pałacu, w którym mieściła się pierwsza, paryska powszechna wystawa. Jest to przerażający ogrom dzieł, w którym oczywiście toną dzieła sztuki. Nie podejmuje się być rybakiem na tym Oceanie. Ilość przygniata jakość, malarstwo francuskie wszystkie inne. Austro-Węgry w zgodzie i pokoju graniczą z Rosją na dole. Węgrzy mają przewagę. Dwa wielkie obrazy Munkaczego, znany „Chrystus przed Pilatem“ i „Golgota“ bardzo są tu podziwiane. Obok „Golgoty“ „Kościuszko“ Matejki. Rzeźba, zwłaszcza francuska, na dole liczna. Wszystkie kraje i kraiki, najnniej nawet artystyczne, jak Szwajcarya, państewka bałkańskie i Stany Zjednoczne mają swoje izby lub kąciki. Stany Zjednoczone tym razem nawet portretów pięknych Amerykanek nie wystawiły, ani jednej niema, która mogłaby się równać z ową miss Grant, która na wiedeńskiej wystawie podziw wywoływała.

Wyszedłszy więcej oszołomiony, niż zachwycony z tej malarskiej pracowni świata, ujrzałem się u progu budynku głównego Wystawy, zwanego *Gmachem środkowym*, w którym znajduje się istotna wystawa, bo działy przemysłu francuskiego i zagranicznego wszystkich części świata. Budowa wspaniała, pomnikowa, uwieńczona wielką, potężną, lśniącą kopułą, u szczytu której potężny wznosi się posąg. Brama główna, bogata,

niby złocista, błyszcząca; kopuł mniejszych kilka. O tych działach już parę razy wspominałem i zapewne jeszcze wspomnę. Naokoło gmachu niezliczona liczba sklepów, jadaini, bufetów międzynarodowych, wśród których wyszczególnia się wzorowem utrzymaniem i wzorowemi dziewczycami W. Brytanii — angielski. Tym gmachem dochodzi się po długiej wędrówce do granicy, głównej Wystawy, do kryształowo-żelaznej świątyni maszyn, która jest poniekąd tłem. Stamtąd zwróciłem kroki ku drugiej wystawowej potędze, ku wieży Eiffel. Powtarzam, że mimo dziwactwa pomysłu i dziwacznej budowy, wieża jest kształtną i lekką i głaszcze wzrok. Podwójna to zabawka, raz jako łamigłówka rozwiązana, powtórę jako niewyczerpany przedmiot dziecinnej ciekawości; zabawka kosztowna, lecz która się sownie samą opłata od wejścia opłaca. Są dwa sposoby dostania się na piętra: parowa winda i schody; te ostatnie wygodne i dobroczynną przegrodą oraz siatką opatrzone. Stopniowe roztaczanie się pod nogami widoku Paryża i Wystawy, dziwne nieraz zachwycające sprawia wrażenie — niby wznoszenie się ponad nęcące i najwspanialsze marności świata — to jedyna biblijna właściwość tej wieży Babel w Babilonie. Zbytnie jednak, do najdalszych pięter wzniesienie się, mogłoby w grzech dumy wtrącić i być może, że tam u szczytu szatan, jak niegdyś na górze, kusiłby począł — zatem dla uniknięcia zawrotu głowy, do ostatniego nie podążę szczeblu. Nie musi tam zresztą być zbyt przyjemnie, gdyż nigdy dotąd nikogo tam nie dostrzegłem przecież sporo czasu przepezdnam na Wystawie. Na pierwszym piętrze szklanny krużganek szeroki, piwiarnia lotaryngska, piwiarnia anglo-amerykańska, jadalnia Brébant i oczywiście tu także wielka jadalnia rosyjska. Na drugim piętrze jeszcze szerszy, szklanny krużganek; piekarnia wiedeńska i — drukarnia *Figara* ze szczupłą pracownią, co sprawia Paryżowi wielką radość ku coraz większej

chwale *Monitora bulwarów*. O piętrze trzeciem *de visu* nie mogą mówić, *de auditu* nic nie powiem. Cały przyrząd piorunochronów zasłania wieżę przed gniewem niebios, a ona uchodzi za piorunochron Wystawy i Paryża. Ruch na niej ciągły i dość ożywiony, widoczny z zewnątrz. Mostem Jena i wiszącymi schodami przechodzi się do ostatniego boku czworoboku Wystawy, do pałacu Trocadero, jego pięknych tarasów i ogrodów. Tu roztaczają swe wiosenne wdzięki i uśmiechy, wystawy ogrodnicze, między którymi ogród japoński ślicznie urządzone, błyszczy jakąś niezwykłą świeżością. Poważnie wygląda umiejętnie urządzone wystawa leśna w osobnym budynku. Nareszcie w samym pałacu umieszczono wystawę pomników historycznych, na którą przeważnie złożyły się kościoły Francyi.

Dopiero z tarasy Trocadero objąć można całość Wystawy i to lepiej niż z wieży Eiffel; z wieży ma się ją pod sobą, z tarasy przed sobą. Główny plac Wystawy jest to czworobok, którego jedną stronę stanowi w głębi złocisty Gmach środkowy zakończony przezroczytym „Gmachem maszyn“; po prawej stronie „Pałac sztuk pięknych“ i niezliczona liczba innych gmachów; po lewej *Palais des Arts Libéraux* w otoczeniu niezliczonych pałaców, które po części już znamy; w środku wieża Eiffel i most Jena, łączący Wystawę lewego brzegu Sekwany z Wystawą prawego, oraz z ostatnią stroną czworoboku, to jest z ogrodami i pałacem Trocadero. Po za tym czworobokiem Wystawa rozciąga się jeszcze w nieskończoność, olśniewająco na prawo i lewo nad brzegami Sekwany aż do Inwalidów i obejmuje w tych zboczeniach i dodatkach, cały szereg wystaw innych i tysiące przedmiotów, ogrom zabaw i rozrywek oraz owoców nauki i pracy, nagromadzonych niezawodnie raczej dla zajęcia i uradowania, niż nauczania ludzi. Postępu wielkiego — rzekła do mnie pewna zawodowa znakomitość włoska — nie widzę w żadnym

kierunku, z wyjątkiem jednego: wydoskonalono niesłychanie sztukę zabawiania.

I istotnie, podczas gdy poprzednie wystawy podobne były do wielkich jarmarków — ta jest światowemi zapustami; najwspanialszemi zielonemi zapustami końca stulecia. A obok tych wielkich zapust ileż najrozmaitszych i w najrozmaitszych towarzystwach: w Paryżu podczas Wystawy! Kto lubi i może jeszcze tańczyć, nie ma chwili spoczynku, a młodzi panowie z naszej ambasady już na dobre pomęczeni. Do najświetniejszych uroczystości tych wielkich zapust, złożonych z tysiąca zapust, należy *garden party* księżnej Sagan, dany dla ks. Walii, we wspaniałym pałacu i wspanialszym jeszcze ogrodzie ulicy Saint Dominique.

Niepotrzebnie, zuchwale a niewłaściwie połączona rocznica rewolucyi z Wystawą — tonie w Wystawie. Nikt o niej nie myśli, nie wspomina nigdzie — prócz przy urzędowych obchodach — nie występuje ona, ani też jej nie czuć. Nikogo ani dotknąć, ani urazić nie mogą złowrogie, dla wielu bolesne wspomnienia — bo ich nikt nie wywołuje. Na Wystawie 1889 roku, nie słyszy się o rewolucyi 1789 r.

Z wielkiem uprzedzeniem szedłem do *Teatru francuskiego* na *Hamleta*, pomimo iż tu cuda słyszałem o tem przedstawieniu. Całość jest istotnie wzorową, pojętą i wykonaną w Shakespearowskim duchu, jak nigdy dotąd na scenie francuskiej.

Mounet-Sully zrozumiał rolę zupełnie inaczej, niż wszyscy dotąd występujący w niej artyści, raczej — zastosował ją do usposobienia, do upodobania publiczności francuskiej. Jego Hamlet ani limfatyczny, ani flegmatyczny, ani melancholiczny, ani marzyciel; jego Hamlet jest ruchliwy, życie tryska w nim przez pory — a przecież woli nie ma, ani zdolności czynu. Pomimo odbiegnięcia od tradycyi, zgodzić się na to można i sprawia to wrażenie. Na co jednak zgodzić się trudno,

to na przesadną deklamację, na podskoki Hamleta i zbyt częsty przeraźliwy śmiech udający waryację, na sposób kulisowy, od którego i w tej roli wolnym nie jest Mounet-Sully. Ale raz zapisawszy to wszystko w stanie biernym, dodać i przyznać należy, że artysta ma chwile przepyszne, wspaniałe, nawet głębokie, że wogóle jest w pojęciu i oddaniu roli zadziwiająco, jak na Francuza odgadnięcie Shakespeara, a siła niepospolita, czasem za wielka. Ustępy z cieniem ojca są arcydziełami. Słynny monolog przejmująco wypowiedziany, z miarą na początku, z rzewnością przy końcu. Niema rady, po Hamlecie trzeba się pogodzić z Mounet-Sully. Wielką zasługą tego przedstawienia i Mounet-Sully, że uczynili bez pomocy upadających ustępstw, po raz pierwszy, Shakespeara przystępnym dla publiczności francuskiej i że ją rozgrzali. Pomimo że już trzy lata grają *Hamleta*, izba była najszczelniej przepelmioną — tak to teatru tracą na tem, że do późnej godziny Wystawa jest otwartą — oklaski były rześiste i gorącość publiczności, przechodziła o wiele zwykłą temperaturę *Théâtre français*.

Jeżeli teraz Shakespeare nie przyjmie się na dobre na scenie francuskiej, to już chyba nigdy. Po tem przedstawieniu — powiedzieć można bez przesady — ustalo samokupstwo Niemców, w odtwarzaniu dzieł Shakespeara.

15 czerwca.

Sprawa piekąca — bezrodocie dorożkarzy trwa wciąż. Główne miejsce zborne bezrobotnych koło Łuku Tryumfalnego; tam dzieją się nawet gwałty, nie tylko że dorożki, które ośmielają się obsługiwać publiczność są wywracane, nie tylko że woźniców zrzucają z kozłów, ale co gorsza biorą się także do podróźnych.

Towarzystwa dorożek tracą dziennie przeszło sto tysięcy franków. Minister Constans przyjmował wysłanników Towarzystw i dorożkarzy; dla jednych i drugich był grzeczny, uprzejmy i jednych i drugich ścisnął za ręce — ale nic nie wskórał. Dorożkarze bezrobocia, puszczają się tu i owdzie ukradkiem po ulicach, ale niepodobna ich nakłonić, aby cię przewieźli. Wczoraj po bezowocnej, sześć razy ponowionej próbie, zniecierpliwiony szyderczem kiwaniem głową sześciu dorożkarzy, udałem się do stróża bezpieczeństwa i przedstawiciela władzy o pomoc. „Nie wolno im odmawiać, rzekł do mnie, poczekajmy na pierwszego, który będzie przejeżdżał!“ Jak rzekł tak się stało, gdy siódmy począł przedrzeźniając kiwać głową, mój anioł opiekuńczy skoczył jak pantera, uchwycił za lejce i zmusił żartobnisia aby mnie zabrał. Mój woźnica z musu, wdał się ze mną w rozmowę. Przedstawił mi całą naukę bezrobocia, zawilą i bezrozumną, z której to tylko zrozumiałem, że był jak papuga nauczony i że idzie o wymuszenie zarówno Towarzystw jak i publiczności. Co najgorsza, że wszystkie inne zawody: posługiwacze, kucharze, pacholki współczują z dorożkarzami i pochwalają bezrobocie. Po południu na zebraniu dorożkarzy w Giełdzie pracy wśród okrzyków uchwalono ogólne bezrobocie. Co to będzie jutro, wołają dzienniki i publiczność, jutro w dniu *du grand prix*? Co to będzie dla tych, którzy nie zapewnili sobie od dawna powozu? Nie wiem, ale to wiem, że Paryż jest tak ogromny, tak bogaty w środki, że się tych wszystkich wyżej opisanych zajęć nie widzi, że się tylko o nich słyszy i że chyba przypadkiem trafić można na jaskrawe; że z drugiej strony dotąd jeździ się po Paryżu, z małemi przeszkodami, jak gdyby nie było bezrobocia.

Dostałem się więc i ja wczoraj moją do porządku przywołaną, a rozprawiającą bezrozumnie dorożką, na Wystawę od strony Inwalidów. Plac Wystawy przed

Inwalidami, *Esplanade des Invalides*, jest jedną z najbardziej podziwianych i najwięcej ożywionych, najtłumniej zwiedzanych części zapust końca stulecia; zanadto tłumnie — bo tak, że trudno ją dokładnie poznać, a warta tego. Rzecz dziwna, że dla wystawionych przedmiotów miejsca wogóle jest poddostatkiem, może nawet za dużo — ale brak go dla publiczności w każdym z osobna oddziale. Zawsze ta sama piosnka; więcej zabawy, ruchu i życia, niż istotnego na Wystawie postępu i pożytku, z wyjątkiem architektury, która znalazła nowy, świetny wyraz w jej budynkach.

Kiedy dziś stawiają gmach jaki na wieczne czasy, zwykle oszczędają go okropnemi, obrzydliwemi kopułami, o czem przekonać się można nie dalej, jak na odrysach konkursu na teatr krakowski; tymczasowe zaś gmachy Wystawy, zdobią piękne, kształtne, przecież potężne kopuły.

Urok i świetność placu Inwalidów, stanowi tak zwana Alea wystawy kolonialnej.

Co tu blasku, ruchu i życia; co za bogactwo barw i pierwowzorów ludzkich oraz architektury, bogactwo zamorskich płodów i okazów starych cywilizacyj! Pomimo iż nie wszystko tu jeszcze wykończono, widok jest wspaniały a wrażenie pozostanie paniętne. Widziałem wszystkie tutejsze wystawy światowe, na żadnej nie było tyle, co na tej zgromadzonych Azyatów, Afrykanów, Murzynów, ludzi różnobarwnych — i to prawdziwych nie pomalowanych; na żadnej tak doskonale, szczegółowo i wyczerpująco, jak na tej, nie przedstawiono tych narodów oddalonych, obyczaje, zwyczaje, pracę, przemysł i cywilizację. Aleę kolonialną, począwszy od strony Sekwany, rozpoczynają budynki algierskie, na wstępie do których błyszczą trzy nazwiska: d'Aunale, Cavaignac, Changarnier.

Z Algierem graniczy Tunis; na półce dostrzegłem starożytnie wykopaliska kardynała Lavigerie. Przechodzi

się do pałaców Anamu i Tonkinu. Wszystkie te gmachy strzeżone są przez żołnierzy krajowców, będących w służbie Francji; są to rycerze czarni jak smoła, lub miedziani, lub oliwkowi; niejeden z nich ozdobiony jest krzyżem lub medalem francuskim. Nietylko przemysł, ale i polityka kolonialna jest tu wystawioną i przedstawioną. We wszystkich tych pałacach i budynkach znajdują się płody, rzemiosła i sklepy miejscowe; w niektórych krajowcy pracują na warsztatach, co niezmiernie podnosi wartość tych żywych obrazów. Życie ludów przedstawionem jest wszechstronnie, miejskie i wiejskie. Wsie, mianowicie anamskie, tonkińskie i kochinchińskie bardzo zajmujące, ale najtrudniej do nich się dostać, taki przy wejściu ścisk. Gospody z odpowiedniemi wiktuałami i służbą. W środku wznosi się ogromny Ogólny Pałac kolonii, w którym znajduje się synteza wyrobów i cywilizacji, francuskich, zamorskich posiadłości. Obok niego uśmiecha się i prawie rozciąga pióra, najbarwniejszy, bogaty i znamienity Pałac Kochinchiny. Opodal posągowa, ogromna, dziwaczna, ale dokładna podobizna Pagody Angory.

Powracając trafitem na przedstawienie teatru anamickiego. Artyści, artystki, przy dźwiękach przeraźliwej kapeli, umieszczonej po obu stronach widowni, przedstawiają bohaterski dramat, podczas którego co chwila wpadają czarne, także czerwone chorągwie. Tytuł sztuki *Król Duongy Ly-Tieng Yuong*; rzecz dzieje się w królewskim kraju Chan. Wasal i krewny króla Duongy zaprasza go na uroczystość, chce skorzystać z niej, aby zamordować króla i objąć władzę; król się spostrzeża i ucieka, aktorzy wyśmienienie zmykają — wasal przerażony, posyła pogoń za królem, ta go chwyta i wiernych mandarynów morduje, — wtem jednak przybrany syn władcy, niespokojny o jego los, urządza wyprawę i wyzwala zdradzonego monarchę, który powraca do stolicy przy piekielnych piskach ludności i muzyki,



a szalonej radości poddanych. Co tu pisku, krzyku, wrzawy, jakie lokeciowe paznokcie u palców artystów — niepodobna opisać. Uczucie obawy najdoskonalej umięją oni oddać; zresztą są jednostajni do znudzenia a hałaśliwi do znużenia; wielu ma na twarzach maski tygrysie dla postrachu przeciwnika.

Jest wieś jawańska, w której popisuje się balet jawański. Świadczy on o wyższej już nieco cywilizacyi, bogactwo strojów tancerek jest znaczne. Ale i tu ta sama, co w Teatrze anamickim jednostajność. Nie, już to stanowcza, główna wyższość naszej cywilizacyi polega na różnaitości. Umiejętność różnaitości jest właściwością wyższych plemion i wyższych warstw. Wieś jawańska jest obszerną, bardzo zajmującą i pije się tam niezrównaną herbatę, wyborną kawę i równie dobrą jamajkę. Śliczne są słoiki z wonną wanilią z kolonij, mianowicie z Madagaskaru. Może dla tego, kto odbył podróż na około świata lub konsulował w tych oddalonych stronach, mniej cenną jest Alea kolonialna, ale dla śmiertelnika, który nie opuścił Europy, przedstawia żywe zajęcie i przenosi w kraje nieznanne.

Po drugiej stronie Alei, znajdują się poważne wystawy poczty, ministerstwa wojny, higieny.

Oto *grosso modo* obraz główny głównych części Wystawy, pobieżny, bardzo pobieżny, niedokładny, niezmiernie niedokładny, ale ogólny. — Tysiące pozostało szczegółów i krocie tysięcy szczegółików, których nie dotknąłem. O niektórych wspomnę może jeszcze. O wszystkich z pewnością nie, bo to przechodzi siłę ludzką i możność.

Aleę kończy od strony Inwalidów panorama Castellani, zwana *Le Tout Paris*. Przedstawia słynną najpiękniejszą, w każdym razie najbardziej ożywioną dzielnicę Paryża — plac opery na bulwarach i *Grand Hôtel*. A zgromadzone są tu wszystkie znakomitości paryskie od Lessepsa, Sary Bernhardt, pani Pelouze i księżny

d'Uzès na koniu, do Cassagnaca, Zoli, Lasoucha, kardynała Lavigerie i Tschin-ki-Tonga. Co to musiało być zabiegów, aby zdobyć sobie tam miejsce.

Pomimo wielkości Paryża, pomimo jego wyższości nad innymi stolicami przepelniony jest próżnością. A przecież jest on wytwornym, wykształconym i sprytnym, dowcipnym i żartobliwym. Nic zaś więcej nie kosztuje, mniej nie przynosi, jak — próżność! I dla tego wydziwić się nie mogę, że Żydzi którzy są mistrzami zysku, tak często są próżni. U Paryżan próżność jest objawem lekkomyślności a polem wyzysku.

Wystawę zwiedza codziennie, w różnych jej szczegółach prezydent Carnot, zwiedza ją każdego ranka ks. Walii i zwiedzają książęta szwedcy.

Nagrodę *Salonu* otrzymał Friant za obraz *Wszystkich Świętych*.

Jutro zatem wielki dzień paryski, *Le grand prix de la ville de Paris*. Wyścig wyposażony wielką nagrodą miasta Paryża. Zwycięstwo odnieść ma May-Pole, bar. Soubeiran. Po tym wielkim dniu, zaznaczającym granicę między dwoma okresami życia paryskiego, Paryż prawdziwy winien się rozjeżdżać, lub przynajmniej udawać, że się rozjeżdża; zdaje mi się, że w tym roku, udawać będzie dość długo i że nikt przed tygodniem nie ruszy się, a że przed miesiącem, Paryż na dobre nie rozjeździe się.

Chciałem odwiedzić znajomych. Znajduję przed *Grand Hôtel* dorózkę, która łaskawie pozwala, abym wsiadł do niej. Już tu zaraz, na bulwarach, inni woznice wołają do mojego: „Bacność, bo cię wywrócimy“. „Niema obawy, nie boję się“ odpowiada im, a zwracając się do mnie: „Widzisz Pan, oto bezrobocie, ale ja mam dosyć bezrobocia, puszczam je w trąbę, ja chcę zarabiać. Dziś rano już mi raz dorózkę wywrócili na placu Bastylli, tu nie będą śmieli, bo za wiele jest policyi, zresztą — wyjmując rewolwer z kieszeni —

mam czem bronić się i bronić się będę; stanie się nie-szczęście, ale bądź co bądź nie dam się“. — „Dobrze, dobrze przyjacielu, odpowiadam, jedź prędko, a staraj się omijać bezrobotnych“. Nigdzie ich nie spotkalismy.

16 czerwca.

*Buffalo-Bill* nie należy do Wystawy, ale jest jednym ze zajmujących szczegółów Paryża podczas Wystawy; — *Buffalo-Bill* rozbił swoje namioty w Neuilly. Dienne przedstawienie, dozwala nierównie lepiej niż wieczorne zapoznać się z przedmiotem, godnym ze wszech miar uwagi. *Buffalo-Bill* nie jest wcale ani blagą ani pufem, ani tworem reklamy, ani zwykłym przedstawieniem, — to prawda, to rzeczywistość, to życie i widowisko w wielkim kształcie. W Ameryce sława pułkownika W. F. Cody, nazwanego *Buffalo-Bill* prześcignęła i zaćmiła już Barnuma. Barnum to król reklamy i wyzysku cyrkowego W. F. Cody to osobistość, to człowiek, który spełnił niejeden czyn dzielny, a stworzył widowisko od niego noszące miano *Buffalo-Bill* tętnące życiem, samoradne, poświęcone wyłącznie przedstawieniu tak zwanego *Wild-West* „Dzikiego Zachodu“, na którego krańcach toczy się jeszcze codzienna walka cywilizacji z barbarzyństwem z dzikimi Indyanami, z „Czerwonemi skórami“. W tej walce pułkownik Cody zwany *Buffalo-Bill* brał osobisty czynny udział, a teraz przedstawia wobec publiczności całego świata, tu zebranej, różne zdarzenia tej walki, w sposób dający o niej wyobrażenie, zajmujący, żywy, we widowisku pod gołym niebem, urządzone na wielką skalę. Przedewszystkiem daje ono pojęcie doskonale o wyobrażeniach Ameryki i Amerykanów, co się tyczy przedstawień publicznych, o środkach użytych i zastosowaniu ich. Nic bardziej

nie zbliża się do igrzysk, które tryumfatorowie lub cesarze urządzali w starym Rzymie.

Już na wstępie uderzony jesteś obszarem zajmowanym przez przedsiębiorstwo; sto namiotów spełna rozbitych, w których zamieszkuje towarzystwo złożone z Amerykanów z nad granicy Zachodu i z Indyan, z Indyan prawdziwych, z żywych „Czerwonych skór;“ stajnie na sto sześćdziesiąt koni sprowadzonych z Ameryki, z których dwa tylko zdechło na statku. Arena ogromna, olbrzymia, przewyższająca obszarem rzymskie cyrki, jak tamte, pod gołym niebem. W tej arenie przedstawione najwierniej, najistotniej, bo przez uczestników, walki cywilizowanych krajowców z dzikimi Indyanami, różnobarwnie i najdziwaczniej tatuowanymi. Walka toczy się z jednej strony pod dowództwem pułkownika W. F. Cody, mężczyzny w sile wieku, olbrzymiej postawy, pięknych rysów, o długich spadających na plecy włosach. Ta walka chwytą odrazu twoją uwagę i wywołuje wrażenie istotne. Zastęp Indyan i Indyanek jest liczny, barwny nie tyle szatami — których niemal brak zupełny — jak bogactwem farb tatuowanych skór i pysznych piór. Pomijam dowody wielkiej zręczności w strzelaniu pułkownika, lub Indyan w rzucaniu strzały, ale napad dzikich Indyan na wychodźców, szturm przypuszczony przez nich do wozu pocztowego i jego obrona przez pułkownika W. F. Cody, skradanie się dzikich do chałupy nadgranicznej i odparcie ich, na zawsze pozostaną wryte w pamięci, bo są żywcem wzięte z Dzikiego Zachodu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej i przeniesione pod stopy wieży Eiffel. Nareszcie wpada stado ogromne bawołów i rozpoczyna się polowanie na nie, połączonych sił Amerykanów i Indyan. Widok pyszny!

Aby się dostać do tego cyrku, który niczem a niczem nie przypomina zwykłego, lecz sięga szczytów widowisk ludowych i publicznych wszelkich czasów i krajów,

trzeba było przejechać przez niebezpieczny dziś z powodu bezrobocia *Luk tryumfalny*. Mój rewolwerowy doróżkarz, którego zatrzymałem, dzielnie się zbliżał do psychologicznego miejsca i dla dodania sobie odwagi wciąż powtarzał: „Nie boję się! nie boję się ich“. Widziałem jednak, że zbladł, gdy spostrzegł zdala gromadkę bezrobotnych. Ta przepuściła nas, widocznie z obawy policyi. Władze bowiem bardzo roztropnie przedsięwzięły środki ostrożności. W pierwszej chwili zabrakło było nieco policyi, gdyż wystawa wielką jej część pochłania. Zapobieżono temu rozstawiając w głównych, zwłaszcza zagrożonych bezrobociem miejscach, konną gwardyę miejską.

17 czerwca.

Nigdy nie uwijało się tyle doróżek i powozów po Paryżu — wbrew bezrobociu — jak wczoraj, w uroczystym dla Paryża dniu *du grand prix de la ville de Paris*, „Wyścigu wielkiej nagrody miasta Paryża“, któremu od rana złociste przyświecało słońce. Pomimo bowiem, iż w wilię wieczór, po raz drugi woźnicy uchwalili bezrobocie, większa ich część nie mogła się oprzeć pokusom *du grand prix* i wyjechała. Wogóle zdaje mi się, że istotne bezrobocie ustało, pozostało jedynie zasadnicze.

Wczorajszy *grand prix* tłumniejszy był, niż kiedykolwiek, może mniej świetny, mniej wytworny, zwłaszcza mniej paryski niż inne. Czuć już było najazd zagranicy. Było to ostatnie słowo, istna szczytność tłumu i ścisku. Widzę jak wynoszą z pod trybun omdlałą kobietę. Wtem nadjeżdża prezydent Carnot z żoną, witany więcej niż chłodno, bo zaledwie kilku odosobnionemi okrzykami; kłania się przecież bardzo uprzejmie. Legię honorową ma tylko w dziurce od guzika. Podobny zupełnie do znanych fotografii; chociaż kobiety twierdzą,

ze fotografie schlebiają władzy. Wygląda przyzwoicie, ale nijako; pierwowzór uczciwej mierności i wielkości mimo woli. Pani Carnot w wieku średnim, rysy ściągłe, krucze włosy, całość postawy niby południowa, ani brzydka, ani przystojna. Wogóle ten dwór prezydencki lepiej się przedstawia, niż poprzedni, bez szumu, zwłaszcza w stroju. Pani Carnot ma bardzo ładną suknię, czarny kolor z czerwonym i dużo koronek prawdziwych, dar fabryki Saint-Pierre les Calais.

Blask i przepych strojów publiczności niewieściej, przechodzi wszelkie granice zbytku — to prawdziwy koniec stulecia. W chwili wielkiego biegu zrywa się mała burza i deszcz; powstaje częściowy między strojami popłoch; ale zbity, wielki, potworny tłum, pozostaje w miejscu. Nastaje znane przedstawienie deszczochronów; w jednej chwili cały plac wyścigowy przemienia się w jeden olbrzymi. Wszystkie faworyty pobite — niby Boulanger. „Widzisz pan, powiedziała mi wieczór kobieta sprzedająca dzienniki — która także grała na wyścigach i co lepsza wygrała — tak się zawsze dzieje z faworytami“. Dość, że wielką nagrodę wygrał Vasistas pana Delamarre. Rozległ się okrzyk zdziwienia: *Qu' est ce que c'est que ce Vasistas!?* i zapłacono za niego ośmdziesiąt za jeden! Niewiadoma najzupełniejsza, zwyciężyła i prawdopodobnie na politycznym torze zwycięży także niewiadoma.

Oczywiście, jak zwykle, nie odnaleźliśmy naszego powozu po wyścigach i skromnie wrócić musieliśmy doróżką, uradowani, żeśmy w morzu powozów wolną, znaleźli.

Chwilami, krótkimi wprawdzie, mogło się mieć na placu wyścigów złudzenie, że się jest we Freidenau, tyle tu jest Wiedeńczyków — tłumy i ramy obrazu, rozpraszały wnet złudzenie. Niemniej tyle tu nas jest ze stolicy i krajów koronnych, że onegdaj zebraliśmy się bardzo licznie na obiad austriacko-węgierski, aby

u stóp wieży Eiffel, serdeczny wychylic kielich na pomysłość wspólnej monarchii, na pochybel jej wrogom.

Kolonia jednak wiedeńska pozostawała pod smutnem i bolesnem wrażeniem niespodziewanej, piorunującej, przedwczesnej śmierci, pełnej wdzięków, życia i przymiotów księżnej Pawłowej Esterhazy siostry arcyksiężnej Frederykowej, ozdoby towarzystwa wiedeńskiego, damy i kobiety w całym znaczeniu tych dwóch trudnych do urzeczywistnienia, słów.

Czar Wystawy w nocy do niczego porównać się nie da; takich rzeczy nie widziało się i takich wrażeń nie doznawało się nawet w snach, nawet w snach o Babilonie.

„Karczma rumuńska“ bardzo umiejętnie i ładnie urządzona, z barwą miejscową, cieszy się powodzeniem; zawsze przepelniona, stała się modną. Rumuńscy posługacze i posługaczki mówią po francusku niemal bez skazy. Krajowa dobra kapela gra z życiem wiedeńskie walce. — Dowód wpływu naszego na Wschodzie!! Dwa strzały armatnie dają się słyszeć, to 10-ta i odtąd już nie wpuszczają na Wystawę. Naraz wieża Eiffel staje w ogniu — bengalskim. Widok nadprzyrodzony. Wieża Eiffel w ogniu! To illuminacya końca stulecia. — A nokoło niej trawniki oświetlone elektrycznością, a naprzeciw, Trocadero oświetlone *al giorno*.

Noc *du grand prix*, zakończona świetną zabawą w *Jardin de Paris*, gdzie się zgromadził *Le Tout Paris*.

18. czerwca.

Dwa upiększenia, dwie ozdoby przybyły w Paryżu, drobne na pozór, które przecież dodają blasku wspólnościom i sumptowi odwiecznemu. Przez środek bulwarów, od Magdaleny ku placu Bastylii, ustawiono szereg lamp elektrycznych, które przemieniły bulwary

w najświetniejszy salon świata, oświetlony co wieczór rześcicie, a zaczarowany. Żadne miasto nie posiada tyle co Paryż drzew obficie rozkwitłych, alei, parków, kwiatów; żadne tyle zieleni, zatem świeżości; jestto prawdziwy ogród wśród murów, a w tym roku i w tej porze, ten ogród tak jest bogaty, tak barwny, tak wesoly, tak oświetlony, tak ożywiony i powabny, że więcej niż kiedykolwiek prawdziwem jest znane zdanie — dość w Paryżu wyjść na ulicę.

Skoro barbarzyńcy cywilizacyi zniszczyli Tuilerie, a stronnicze barbarzyństwo, nie miało na tyle wielkoduszności, aby je odbudować, znacznem upiększeniem, stało się zniesienie ohydnych budynków telegrafu, tymczasowo umieszczonych na placu, na którym stał ongi pałac królów i cesarzów. Założono tam obecnie ogród, jako dalszy ciąg dawnego tuileriskiego, a w miejscu, w którym cesarzowa Eugenia dawała pamiętne bale kostiumowe, rośnie trawa, wprawdzie śliczna, szmaragdowa trawa trawników, ale przecież trawa. Nie mniej widok jest teraz piękny, rozciąga się jednym rzutem oka od *Euku tryumfalnego* do Karuzelu, po za którym wprawdzie dostrzega się mniej powabny zwłaszcza nieuzasadniony pomnik Gambetty.

Bardzo bogatym, ciekawym i nauczającym działem Wystawy jest pałac i złączone z nim gmachy ministerstwa wojny na placu Inwalidów. Mam nadzieję, że nie wszystko pokazano, że nie pokazano tego, czego nikt, ani wróg, ani przyjaciel widzieć nie powinien, słowem, że przezorność zapanowała nad próżnością. Ale już to co się tu widzi, daje pojęcie o tem, czem będzie przyszła wojna. Co to za zawily, złożony z najrozmaitszych członków całokształt! Tu się widzi dokładnie, co kosztuje; tu się ma wytlómaczenie najlepsze nowoczesnych budżetów. Wojna przestała być walką, stała się umiejętnością przeważnie gospodarczo-pieniężną; wojsko przemieniło się w społeczność uzbrojoną, do której zastosować



trzeba gospodarstwo polityczne i społeczne. Różnorodność i wielka ilość gałęzi tego olbrzymiego drzewa, świadczy, czego dziś potrzeba, aby wojnę prowadzić, zwłaszcza wojnę wyżywić. Intendantura, zarząd, kuchnie, piekarnie, krzyż czerwony, ogromny dział zdrowotny, pracownie chemiczne, wojskowe środki powietrzne, wodne, elektryczne, telefonowe to wcale nie małe światy, które zgromadzone są około wielkiej planety wojny około głównego pałacu ministerstwa wojny, obejmującego rdzeń sztuki wojskowej i wszystkie środki zniszczenia. Bardzo umiejętnym, bardzo obrazowym, jasnym jest ogólne i szczegółowe urządzenie. Historia wojska francuskiego przedstawia się oczywiście bohatercko, jako wielka epopeja. Doskonale oddane są również wszystkie rodzaje broni nowożytnej, nawet poszczególne pierwowzory armii francuskiej. Trudno przecież z lalek sądzić o ich wartości.

Gdy zwiedzałem ten dział, owo „być albo nie być“ przybył prezydent Carnot, którego u bramy przyjął nie wojskowy minister wojny pan de Freycinet. I tu znowu objawy dla naczelnika państwa były bardzo umiarkowane. Słyszałem jednak odosobnione okrzyki: *Vive Carnot!* — Nie słyszałem — *vive Boulanger!* Puściłem się stąd wewnętrzną koleją Wystawy *Petit chemin de fer Decauville* ku wieży Eiffel; rzecz niełatwa, tak dalece zawsze przepelnione są pociągi. Trudno o coś zgrabniejszego, smaczniejszego — że tak powiem — jak ta miniaturowa kolej, która przecież doskonale, z wielką dokładnością i porządkiem obsługuje Wystawę. Co chwila mijają się pociągi, nieraz w tunelach. Po prawej stronie rozciąga się wzdłuż Sekwany na *Quay d'Orsay* aż do *Esplanade des Invalides* ogromna wystawa rolnicza, obejmująca niezliczone działy gospodarcze i wszystkie pokrewne gałęzie. Dostrzegam tak zwaną „Czarde“, to jest karczmę węgierską, z nierównie lepszą cygańską kapelą, niż ta, o której wspomniałem opisując Aleę gmachów.

Gwiazda Boulangerera stanowczo błednieje. Mniejsza o to, że dwa wybory złe dla niego wypadły, ale co gorsza, słynny jego piewca z Alkazaru Paulus, który stworzył boulangerowską bez bohaterstw epopeję, podupada. Stracił głos i nie ma już tego, co przed dwoma laty powodzenia — cienko śpiewa, jak w tej chwili jego Achilles. A na dobitkę staje przed publicznością i zapowiada, że śpiewać będzie *En revenant de la revue — sans allusions politiques*, co oczywiście sprawia najzupełniejsze rozczarowanie. Opowiadano mi, że drugi *impresario* Boulangerera, Rochefort, powiedział w tych dniach: „Gdybym się nie litował nad nim, już bym go opuścił“. „A dlaczego?“ „Bo on ostatecznie nic nie umie — tylko kłamać“. Pokazuje się istotnie, że dzielny generał znowu nieco minął się z prawdą, twierdząc przed sprawozdawcą *Figara*, iż on to stworzył, sześć kroć sto tysięcy armii terytorjalnej i uzbroił całe wojsko w nowy karabin, aby pomścić Schnebelego, przytrzymanego na granicy przez władze niemieckie.

19. czerwca.

Krużganek środkowy Wystawy, tak zwany trzydziestu metrów *Galérie centrale dite de 30 mètres*, przykryty wspaniałą kopułą, obejmuje bogactwa Francyi, a najcenniejszym jest dobry, wykwintny smak, którym odznaczają się przemysł i wyroby francuskie. Ten dział wymagałby tygodni, aby go zbadać. Wystawa klejnotów świadczy o osiągnięciu doskonałości w sztuce oprawy, są to niemal wszystko dzieła sztuki; zbytek i przepych, uchwycone w kształty pełne wytwornej prostoty. Monarchą tego działu jest królujący w środku i obracający się, jak kula ziemiska, dyament cesarski *Le Diamant Imperial* biały, czysty, przezroczysty; rzuca naokoło światło słoneczne; większy niż sławny

*Régent*, ma sto osmdziesiąt karatów; znaleziony na przykładku „Dobrej Nadziei,“ szlifowany był w Amsterdamie; jest własnością francuskiego syndykatu; wartość jego nie do oznaczenia. — Naokoło tego słońca, wiele, bardzo wiele świetnych planet; rubin i dyament wielkiej wartości, bo są rzadkimi okazami kamieni najczystszych, najdoskonalszych, bez cienia skazy. Kątony cnoty klejnotowej! Perły, między którymi jeden sznur wartości siedmiukroć sto tysięcy franków. — Wogóle dział ten góruje zwłaszcza misterną robotą. Nagromadzonych klejnotów i kamieni nieco mniej, niż ostatnim razem; gdyż właściciele nie wystawili, a pod względem szafirów niema nic, coby równać się mogło z tem, cośmy widzieli na wiedeńskiej i poprzedniej paryskiej Wystawach.

Dział mebli najlepiej świadczy o artystycznym przemyśle francuskim. Królem jest tu słynna już dziś, nadzwyczaj wierna podobizna, biurka Ludwika XV, znajdującego się w Louvre, zaczętego dla Ludwika XV skończonego dopiero za panowania Ludwika XVI. Obok królowa, szafka na klejnoty, która zaćmiewa nieco monarchę już tem, że nie jest podobizną lecz dziewiętnastego stulecia pomysłem, zapożyczonym wprawdzie z różnych okresów. Wartość króla piędziesiąt, królowej sześćdziesiąt tysięcy franków. Krużganek Rapp, którym najczęściej wchodzi się na Wystawę, zawiera istny las rzeźb francuskich, jedna przedstawia goryla, porywającego kobietę, ohydna. Gdy pewna piękna pani słusznie się oburzyła, pozwoliłem sobie powiedzieć, „Że tylko bogi powinny porywać kobiety“.

„Gmach pracy“ opodal wieży Eiffel dość jest skromny jak na siedzibę potęgi, której przymierze zapewniło powodzenie Wystawie.

Do ciekawości Paryża podczas Wystawy należy, raczej należeć będzie, bezkrwawa walka byków, urządzona opodal Trocadero. — Właśnie dlatego, że bez-

krwawa, mniejsze budzi zajęcie. Dopiero odbyły się wstępne przedstawienia, na które rozesłano zaproszenia. — Publiczne jutro lub w sobotę rozpocząć się mają; urządzają bowiem oświetlenie elektryczne. Przedsiębiorca Hiszpan, pełen zapału, tak zapamiętałe gra w karty, że być może, iż straci swe byki w bezkrwawej walce.

20. czerwca.

Zdaniem wszystkich, z którymi tu rozmawiałem, walka wyborcza będzie zajadłą, zawziętą, zacieklą — będzie jak mi ktoś powiedział — czemś w rodzaju wyborów na Węgrzech, nawet czemś gorszem, bo rozchodzić się będzie o byt jednych i drugich; o byt, nie tyle polityczny, jak pieniężny. Walka wyborcza rozpocznie się już w sierpniu, Wystawa zbiegnie się z nią, potrwa bowiem do listopada.

Czy to skutek chępliwości francuskiej, czy też przeczuć, tak bardzo dziś wszędzie rozpowszechnionych, dość, że się tu wciąż słyszy, iż Wystawa oddalila o rok wojnę i że wybuchnie ona w roku przyszłym. Z kim, o co, gdzie? — tego nikt nie wie, o to się nikt tu nie pyta; dość że będzie wojna, skoro nie będzie w Paryżu Wystawy. Jestto także halucynacja wystawowa. Bismarck jeden utrzymuje pokój, mówią, a Bismarck starzeje się, podupada. Są to gadaniny bezpodstawne, których w rachubę brać nie należy już dlatego, że dziś Paryż pomimo całej swej świetności jest politycznie miejscem, w którym najmniej wie się i wiedzieć można, o ogólnem położeniu europejskiem i stosunku mocarstw do siebie. To zaczarowana wyspa, na której chętnie zapomina się o wszystkim.

Na wypadek owej wojny, o ile mi sądzić wolno, Francya posiada wojsko dobre, dobrego żołnierza, przy-

rząd wojenny doskonały wraz z uzbrojeniem, całokształt twierdzowy potężny i spotęgowany. Jenerałowie zaś, intendentura i zarząd — to są znaki zapytania, a przecież od tego, wszystko zależeć będzie.

Przyszła wojna, zapisz to pan sobie, rzekł ktoś do mnie, będzie, że się tak wyrażę, głównie nie wojskową; czynniki niewojskowe przeważają szalę i kto wie czy istotnymi wodzami nie będą — niewojskowi. — Intendenci zwłaszcza inżynierowie, rozstrzygną o losie wojny; może jedna, najwięcej dwie wielkich bitew stoczonych zostanie, poczem walczący będą zmuszeni stanąć, zatrzymać się, bo wystąpi sprawa wyżywienia, umieszczenia i przewozów. I dlatego, wiesz komubym znaczne wyznaczył w przyszłej wojnie stanowisko? Oto panu Eiffel!!

Wojny jednak, którą przepowiadają, stanowczo nie życzą tu sobie. Żyć wygodnie, używać co niemiara, wydawać w sposób zwykle wykwinny, a zarabiać w sposób nie zawsze wytworny — pod tym względem istotnie, nic się nie zmieniło, a wszystko tu jest po temu; niczego w tej mierze nie brak. Usposobienie młodzieży z najwyższych warstw, posiadającej jeszcze tradycje dobrego towarzystwa i wielkiego świata, jest wogóle politycznie oplakanem. Nie brak jej niezawodnie patriotyzmu, ale brak wszelkiej szlachetnej, koniecznej żądzy politycznej. Wobec wstępnego jej słusznego porządku rzeczy, zamiast dać się porwać oburzeniu, oddaje się najzupełniejszej rezygnacyi, tem chętniej, że ta pozwala jej żyć wygodnie, używać i korzystać swobodnie z zasobów własnych, i wspaniałości i przepychu Paryża. Młodzież ta wytworzyła sobie życie dla siebie z klubów, sportu, bulwarów — w umiarkowanej mierze — z salonów i w tym sztucznym świecie, znajduje zupełne zadowolenie swoich żądz, dążeń i celów. Życie publiczne stało się jej obcem. „Niema co robić; z powszechnem głosowaniem rzecz zbyt trudna, także i zbyt kosztowna, a tu tyle

jest sposobów i sposobności nierównie przyjemniej wydać pieniądze“. Oto co się słyszy w klubach i salonach.

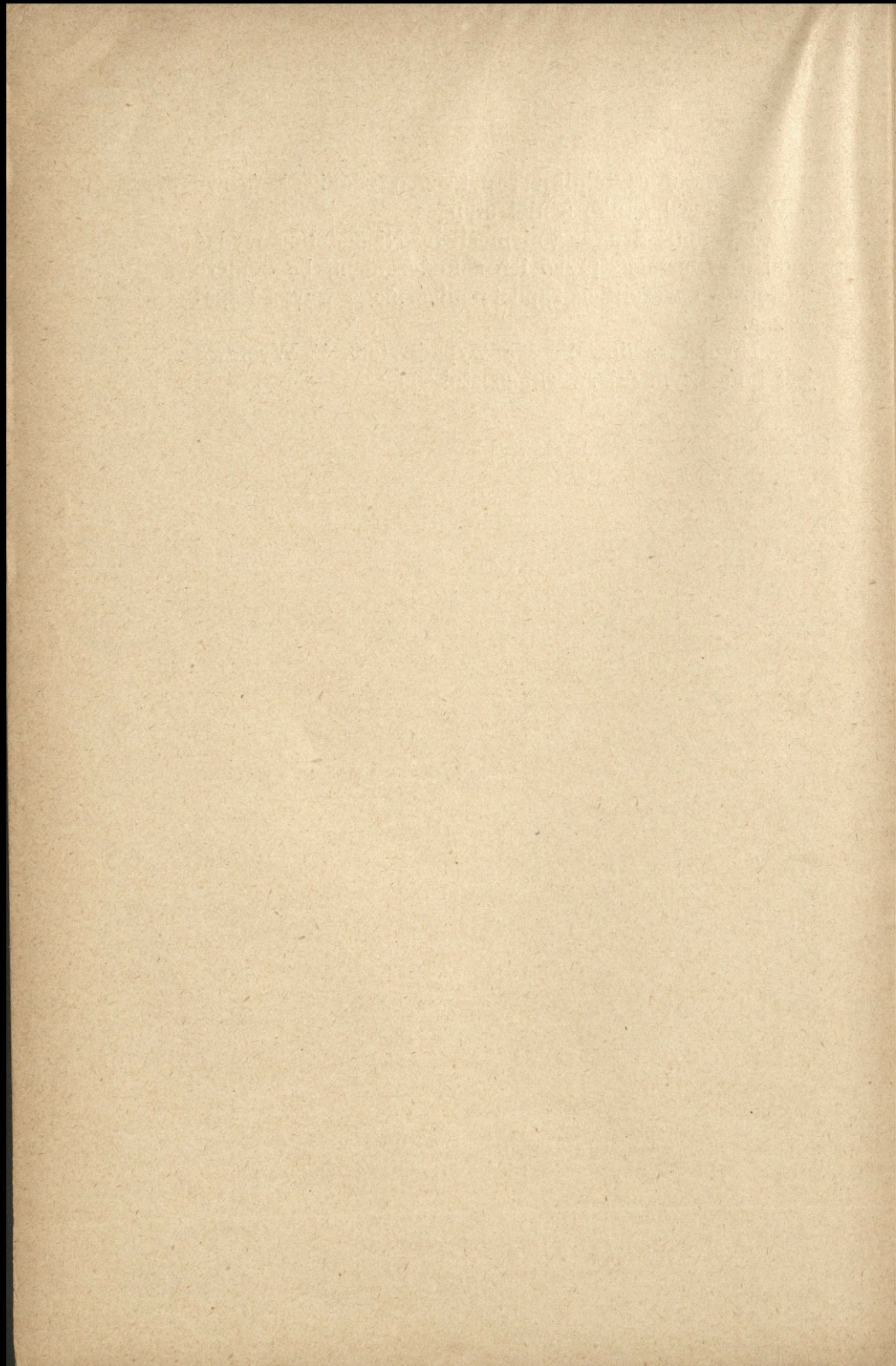
Wziąwszy więc wszystko w rachubę i wychodząc zawsze z jedyne go słusznego założenia, że nic zgoła nie da się przewidzieć — wyrażam osobiste zapatrywanie, że względnie, to co jest, ma na razie warunki nie istotnego życia, ani nawet trwałości, ale — potrwania. A to dlatego, że odpowiada przeważającemu usposobieniu, rezygnacyi, towarzyszącej jej nieczułości politycznej i wygodzie. I dlatego to chociaż we Francyi wszystko dzieje się przez modę, a trzecia Rzeczpospolita modną nie jest, przecież utrzymuje się. — Dalej nie idę i nie prorokuję. — Boulangerizm chociaż chwilowo w upadku, jest taką samą niewiadomą jak wszystko inne. Rozmawiałem z osobą przybyłą z Londynu, która codziennie widuje „dzielne go“ jenerała wychodzącę. „Otoczenie Boulangerera — rzekła — to istna emigracya z wszystkimi złudzeniami i śmiesznościami tej, która zgromadzoną była w Koblencyi. Przekonanem jest to otoczenie, że za trzy miesiące powróci i że wszystko odzyska, czego nigdy nie posiadało. Sam jenerał nieco podupadł na duchu, bo się okropnie nudzi w Londynie, chociaż roztacza zbytek i ma na stajni ośm koni pełnej krwi. Jako znamienny, zwłaszcza zabawny szczegół, powiem, iż jenerał przybywszy do Anglii wparł w otoczenie i w siebie, iż doskonale mówi po angielsku. Pokazało się, że wymawia dziesięć słów i to tak, iż ich służba gospody zgoła zrozumieć nie mogła“. A tymczasem tutaj zastosować już można do Boulangerera te tak prawdziwe, czy się odnoszą do ulubieńców królów czy ludów, słowa kardynała Richelieu: *Les vertus d'un homme en faveur sont vices en disgrâce*.

Trzy uczucia rozpowszechnione, ogólne, a którymi także ożywioną jest młodzież, o której wyżej wspominałem, stwierdzić mogę: Nienawiść do Niemców; lekką dla Włochów pogardę; pociąg do Rosyi.

A teraz czytelniku zapytasz o zdanie końcowe o Wystawie i naukę z niej płynącą.

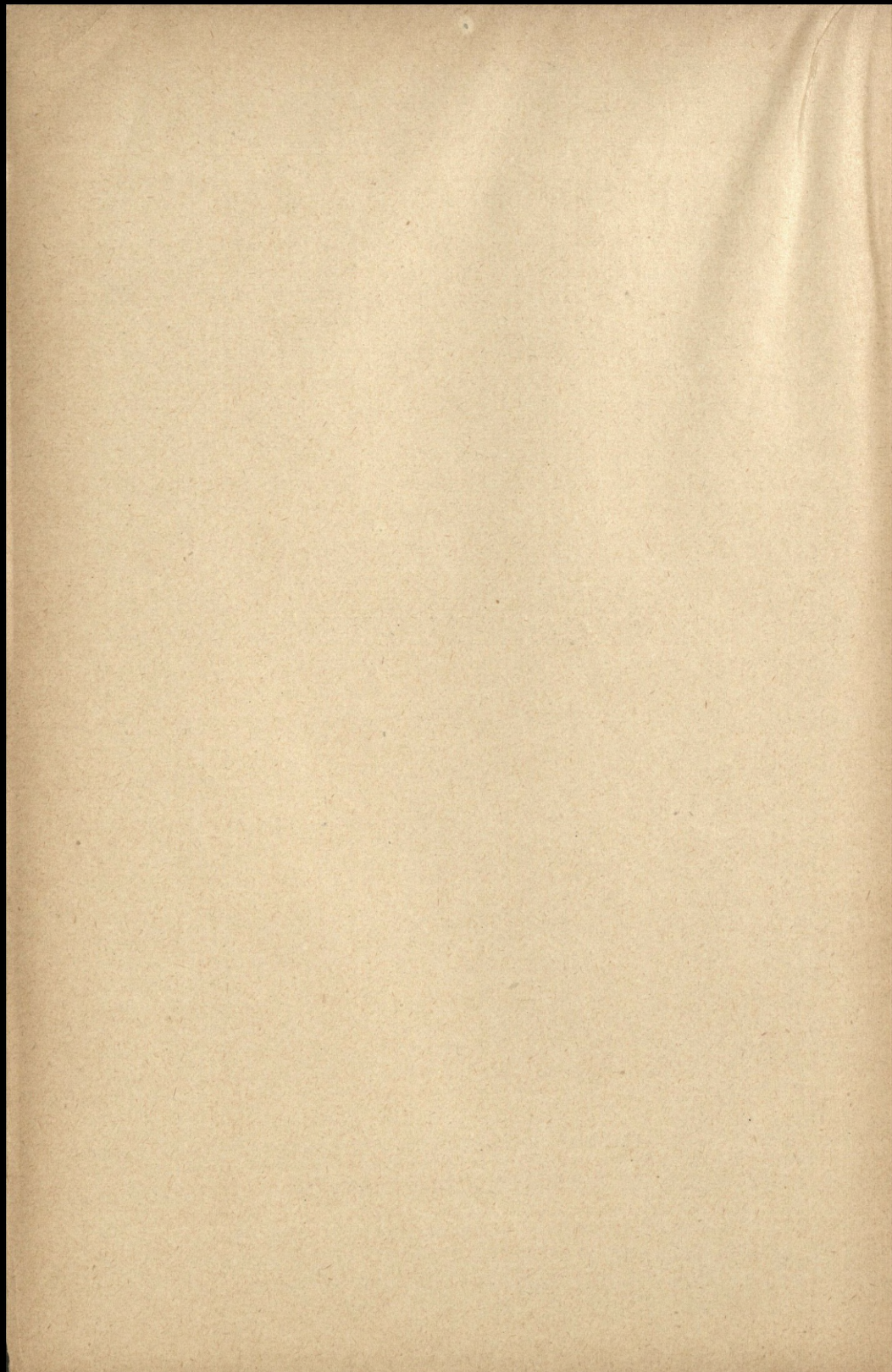
I jedno i druga są niemożliwe. Niepodobna wydać sądu o zapustach, przed ich zakończeniem, bo dopiero następstwa wszelkich zapust, mieć mogą wartość społeczną.

Na dziś zadowolić się wypada tem, iż Wystawa jest końcowym fajerwerkiem stulecia.





Z WŁOCH DO ATEN



*Brindisi 6 kwietnia 1890 r.*

**M**sza w starej katedrze, msza niemal wyłącznie marynarska; przed rozpoczęciem nabożeństwa w kościele gwar przypominający ulicę Toledo, który jakby na komendę ucichł, gdy wszedł ksiądz w licznym otoczeniu kanoników i prałatów o różnobarwnych, przeważnie futrzanych pelerynach. Niezmiernie doniosły, zanadto doniosły chór marynarzy zabrzmiał, raczej zagrział; wtórowały mu organy. Publiczność podzielona na dwie części; po jednej stronie marynarze o licach brązowych, najrozmaitsze pierwowzory od weteranów do chłopców okrętowych, po drugiej kobiety, żeńska ludność portowa. Kaznodzieja odpowiedni słuchaczom huczał jak uragan narzeczem miejscowem.

Przez Brindisi szły wiekami stosunki Rzymu z Atenami i Grecją. Tu wylądowali ci, co niesli grecką oświatę do Rzymu; tędy powracali z Aten Rzymianie chciwi wiedzy i sztuki greckiej, aby jednej i drugiej nadawać piętno panów świata, w stolicy czynów. Kiedy stąd Wirgiliusz odpływał do Aten, żegnał go Horacy:

*Sic te diva potens Cypri  
Sic fratres Helenae, lucida sidera,  
Ventorumque regat pater,  
Obstrictis aliis, praeter Japiga,  
Navis Virgilium finibus Atticis;  
Reddas incolumen, precor,  
Et serves animae dimidium meae.*

Życzenie przyjaciela, w części tylko się spełniło, Wirgiliusz wyładowawszy z powrotem, umarł tutaj, a dzisiejsze Brindisi błotniste, brudne, ponure, nie wydaje się być miejscem odpowiedniem dla ostatnich chwil wieszca. Wdowę po Germanicusie powracającą z dziećmi i popiołami bohatera, witano tu tak wspaniale, tak znacząco, jak przed paru dniami żegnano żelaznego kanclerza, który począł jak Germanicus, ciężycę cesarowi.

Ani uczoney, ani nawet znawca, a już całkiem nie archeolog — ten ostatni brak może najmniej odstraszy czytelników — niczego im obiecywać nie mogę i oni niczego innego po tych kartkach spodziewać się nie mogą, krom rzeczy zawsze świeżej, zawsze młodej i wiecznej zajmującej — wrażeń ludzkich — ktokolwiekby był ten, który ich doznaje.

Powód podróży. Piękności starożytności i odrodzenia, tak licznie we Włoszech nagromadzone, dają chęć poznania ich pochodzenia, ich pierwowzorów, poznania kraju w którym poczętemi zostały i słońca, które je do życia powołało. Gdy się widzi wspaniałą rzekę, która płynie wśród uroczego krajobrazu i wpada do morza, pragnie się dojść do jej źródła; a naśladowanie budzi tęsknotę za wzorem.

Zapłonąć trzeba ze wstydu, na myśl płochą, pisania o Włoszech lub z Włoch, po tylu udatnych i nieudanych próbach. Aby po nich powiedzieć bez śmieszności i znużenia a z pożytkiem, coś jeszcze, trzebaby chyba mieć wyjątkowe poczucie piękna, głęboką znajomość przedmiotu i wiedzę Klaczki, oraz chęć pisania

Może to będzie paradoxem i prawdopodobnie myślę się, mniemam, że zadanie mniej trudne i mniej niebezpieczne, kiedy idzie o Grecyę, zwłaszcza wobec polskiej publiczności.

Oczekuję tu przybycia jutro po północy z Tryestu statku Lloyda *Helios*. Mam na nim popłynąć przez Korfu do Patras. Mało dla mnie rzeczy tak uroczych i przy-

jemnych jak podróż na morzu gdy spokojne, mało tak potężnych, ale przykrych, gdy wzburzone. Nie wiem, co z dwojga mnie czeka, bo dziś jest niespokojnem. Odejeżdżam w chwili, w której stosunki świata zdają się zmieniać, przynajmniej dzięki długiemu przyzwyczajeniu, takie się w pierwszej chwili odnosi wrażenie z ustąpienia tego, który ustępować nie umiał i z tryumfalnego przy odejściu pochodu, który jest, wedle słów ks. Bismarcka, pogrzebem pierwszej klasy, także ze śmiałego poruszenia przez potężnego władcę, w reskryptach o robotnikach, zadań dwudziestego stulecia.

Odejeżdżam z bólem w sercu, po stracie osobistej i krajowej najdotkliwszej, na ocenienie której ja nie mogę znaleźć słów. Strata w późniejszym wieku przyjaciela prawdziwego, takiego, którego się kochało tak, jak się od niego było kochanym, równa się kalectwu, bo się już nowych nie zawiązuje przyjaźni. Artur Potocki miał tyle szlachetności, tyle dobroci, tyle poświęcenia, tyle wszelkiego rodzaju piękności, tyle odwagi i tyle łagodności, tyle wierności i czułości w przyjaźni i tyle dzielności w myśli i czynie, że było w nim coś z ludzi uwiecznionych poezją, do kraju których zdążam; a w pamięci tych, co go tak jak ja znali, niespożyty otaczać go będzie urok.

*Helios, statek Lloyda 7 kwietnia.*

Na *Heliosie*, w pełnem świetle słonecznem oraz legendy greckiej, płynę do Grecyi, do kraju, który może jak żaden, był widownią najrozmaitszych, najgwałtowniejszych, najsprzeczniejszych zmian, przewrotów myśli, religii i czynów; podbojów i napadów; świetności i upadków; wielkich dzieł i wielkich ludzi oraz poziomych namiętności i małych ludzi; cywilizacyi i barbarzyństwa, słowem wszelkich marności ludzkich, które pozwalają

niewiele filozoficznie oceniać wszelkie wypadki świata i z pewnym spokojem przypatrywać się im, wobec których maleje nawet Bismarcka upadek. Co też przez tę klasyczną ziemię nie przeszło myśli i ludów. Istny bigos narodów, napadów i podbojów wszystkich plemion, ze wszystkich części świata. Kraj ten jest dowodem, że nie ma trwałego, ani świętego dla zmian i wypadków, ale że także nigdy nie ma nic straconego, że nigdy *Finis Poloniae*. Świadczy o tem naród, który własnem, acz dotąd skromnem, na swej ziemi żyje znowu życiem, który podnosi się i świadczy państwo, które acz małe, Bóg wie jaką ma jeszcze przed sobą przyszłość a jest nauczającym tem, iż powstało z niewoli, z gruzów, z tego co już zdawało się być nicością.

Urok pierwszego pobytu we Włoszech i pierwszej do Grecyi podróży, na tem polega przeważnie, że się jest raz jeszcze młodym, że się jest w szkole, że się jest znowu studentem; nie sztucznie, nie przez jakieś zaklęcie lub zapisanie duszy djabłu; ale prawdziwie, istotnie, żywotnie, najlepszemi wspomnieniami, choćby nie najlepszych nauk, oraz wzorów, które wyrabiały człowieka i jego wyobraźnię. Jest się raz jeszcze młodym, choćby na sposób tego wiedeńskiego filistra, który żegnając się ze mną dodał: „A jak tam spotkasz Tucydysesa i Demostenesa, powiedz im, że nigdy nie zapomnę mąk i trudów, jakich mnie w szkole nabawili“.

Wybrzeża albańskie przesuwały się przed nami. Nad ranem widać było w dali Korfu, do której zdążał *Helios*. Im więcej się zbliżał, tem lepiej odrysowywały się kształty tej pięknej, zielonej wyspy, która pierwsza, na tej drodze, budzi klasyczne wspomnienia

Kędy drzewa wysokie i kwieciami okryte,  
Rodzą granaty, gruszki, jabłka smakowite,  
Słodkie figi; toż drzewa oliwne tam były;  
Przez rok cały tak zimą jak latem rodziły,

Bo w ciepłym zefirze, co tam wciąż powiewa,  
Jeden owoc się kłuje, drugi już dojrzewa,  
Jabłko idzie po jabłku, gruszka gruszkę spycha,  
Figa figę i owoc zawsze się uśmiecha.  
Widać tam i winnicę bujną w winnegrona.  
Część jej duża na upał słońca wystawiona,  
Ażebym schły jagody; więc jedne w kosz biorą,  
Drugie tłoczą; wiosniarki dochodzą nie sporo  
Tu kwiat ledwo, tam już się rumienia jagody.  
Za sadami warzywne leżały ogrody  
Grzędy ziół wonnych, kwiatów pstrokatych bezlikiem; —  
Jest i dwie krynice: jedna przez sady ponikiem  
Wije się; druga pańskie podwórze obmywa;  
Z niej wody na potrzeby lud miejski używa.

W chwili gdy statek stanął naprzeciw Korfu, tak ulewny padał deszcz, że Nauzyka nie mogła wyjść z nadobnymi towarzyszkami na wybrzeże, aby prać bieliznę; może odstraszył ją swist pary, dość, że jej nie widziałem. Pomimo słoty, zwiedziłem stolicę wyspy. Łagodne powietrze; wśród burzy, mógł Ulisses nago przespać noc w krzakach. Co tu za wyborne słodkie pomarańcze! We Włoszech sprawiają rozczarowanie, gdyż zwykle lepsze dostaje się w Krakowie u Hawelki; tutaj są nadzwyczaj piękne i nadzwyczaj smaczne. Anglicy podczas swoich opiekuńczych rządów wiele zrobili dla pomyślności i dobrobytu wyspy; to też jest kilka pomników uwieczniających pamięć gubernatorów. Wiadomo, że ks. Bismarek upatrywał upadek Anglii w odstąpieniu przez nią wysp Jońskich Grecyi, gdyż wedle jego katechizmu, mocarstwo, które oddaje, jest na schyłku potęgi. Odtąd Anglia się ocknęła i zajęła Cypr oraz Egipt, zapewne też odzyskała szacunek tego, który dziś oddać musiał wszystkie swoje teki. Jest na wzgórzu, nad wybrzeżem, w miejscu malowniczym pomnik Capo d'Istri, któremu niezawodnie nowożytna Grecya wiele zawdzięcza, a który przecież

jak Pisystrates padł ugodzony sztyletem, co ponoś zarazem wymierzony był we wzrastający wpływ Rosyi. Pomnik ten świadczy, że poczucie dłuta nie całkiem zaginęło w nowej Grecyi. Cóż to bowiem za niewdzięczne zadanie wykuć w marmurze, postać we fraku z orderem św. Andrzeja na piersiach. A przecież ten posąg wcale nie razi, nawet wykwintną robotą i dobrem ustawieniem, przyjemne sprawia wrażenie.

Itaka, Actium, Misolungi, zginęły dla mnie w ciemnościach nocy. Co tu wypadków rozegrało się, co tu walk stoczonych zostało, co tu wielkich zwycięzców i wielkich pobitych, przesunęło się przez to morze, oddzielające Włochy od Grecyi. A przecież, większa część tych wypadków i tych ludzi jest już bez związku z obecnym stanem świata i ostatecznie słowa Mostowskiego mają tu zastosowanie: „To na jedno wyjdzie, to wszystko jedno“. Na pokładzie wyborowego statku Lloyda, kierowanego przez nader uprzejmego kapitana, rozstawała się na noc gromada Mahometan z Albanii. Emigrują gdzieś do Azji Mniejszej. Dziś chrześcijanin wypychać poczyna na całym Wschodzie muzulmanina i ten temu naciskowi już oprzeć się nie umie. Raptem brzmi ci w uszach wyraz Lepante i przychodzi na myśl, czy dobrze się stało, że tam, w tej zatoce Don Juan austriacki, przełamał po raz pierwszy potęgę turecką i czy tym pogromem barbarzyńców, zaslonił istotnie cywilizację naszą, czy też tylko utorował drogę zwycięstwom innych barbarzyństw.

*Patras 8 kwietnia.*

*Hôtel d'Angleterre* w Patras przypomina *Hotel Angielski* w Tarnowie: ten sam porządek, ta sama czystość i to samo świadectwo ubóstwa. Grecy są bogaci i bardzo, Grecya jest uboga. Rodzina grecka, która jechała na



statku posiada kantory we wszystkich miastach Europy; siedmiu braci rozebrało między sobą najgłówniejsze miejsca handlowe od Petersburga do Marsylii, dwóch z tych braci je ze mną śniadanie w *Hotelu Angielskim*, który wcale nie przypomina im wspaniałości Petersburga i wykwintu nowoczesnego Babilonu. Pijemy herbatę, do której dano nam owcze mleko, gdyż krów w Patras niema.

Pan Rufos, mer Patras, poseł i były minister jest zwolennikiem Trikupisa, który mu się wywdzięcza i odplaca. Tylko ludzie słabi boją się wspierać, odznaczać lub bronić przyjaciół i zwolenników. W polskim społeczeństwie, zwłaszcza konserwatyści, często wystawiają ich na sztych, pod obłudnym pozorem bezstronności a w zamiarze zdobycia sobie wzięcia i oszczędzania przeciwników. Nie jest to ani cnota ani przezornością, lecz dowodem słabości — a polityczną niedorzecznością. Pan Rufos jest człowiekiem wpływowym. Mam do niego list polecający; łaskawie nadzwyczaj ofiaruje się być mi pomocnym w zwiedzaniu Grecyi, ale radzi, abym najpierwej usadowił się w Atenach. Dość długa, zajmująca rozmowa z bystrym synem Hellady, daje mi przedsmak tutejszych stosunków. Od odstąpienia wysp Jońskich rozpoczął się okres nadziei i przyspieszonego życia, spotęgowanego ostatnimi w świecie wypadkami i przyłączeniem niedawnem, dwóch greckich odłamów do królestwa. To pewna, że wszystko tu się na lepsze zmienia i że dawne opisy Grecyi nowoczesnej, wraz z arcyżołsiwą książką Edmonda About, są przedawnionemi, są uderzającemi anachronizmami. W rozmowie z panem Rufos słyszę te słowa: „Służę tylko Bogu, ojczyźnie i królowi“. Król widocznie cieszy się uznaniem i powszechnym szacunkiem. Książę Sparty ma być obiecującym, ale jeszcze nieśmiałym młodzieńcem. W społeczeństwie demokratycznym, a jest niem greckie, trzeba nabrać śmiałości, do zdobywania sobie wzięcia. Tytułów upra-

wnionych niema tu wcale jak ongi u nas; tytuły książęce, zresztą dziś rzadkie, są dowolnie przybierane, lub zagranicznego pochodzenia. Pan Rufos, przyjmował niedawno temu hr. Herberta Bismarcka, kiedy w księżycowym blasku, zapożyczonym od słońca, które odtąd zaszło, wylądował w Patras. Widzę, że syn upadłego kanclerza niezbyt korzystne sprawił w Grecyi wrażenie i że jeżeli ma w sobie coś z greckich obyczajów, to nie wykwintność i oglądę. To co o nim opowiadają, przypomina najbardziej dziś dla nas śliskie ustępy greckich pisarzy, ba, nawet filozofów. Prawda, że za swojej tu bytności, miał gorzkie mówić Grekom prawdy, zwłaszcza z powodu wypadków na Krecie, między innymi, że „Jeżeli Niemcy zrzekły się połączenia wszystkich pobratymców pod jednym berłem, tem łatwiej przyjść to powinno Grekom“. Rada może roztropna na razie, ale nie oparta na znajomości ludzi. Grecy okazali się dwukrotnie bohaterami godnymi podziwu, raz gdy czoło stawili barbarzyńcom pod Maratonem i Salaminą, powtóre — gdy zrzucili ze siebie jarzmo tureckie. Europa wtedy ich wsparła i do wskrzeszenia Grecyi pomogła, bo było ono wymierzonym przeciw już upadającej potędze tureckiej a prostowało drogi Rosyi; Polski nie wsparła i nie wskrzesiła Europa, bo to byłoby zamknęło drogę zbyt jeszcze potężnej Rosyi.

*Ateny 8 kwietnia.*

Droga dziś już żelazna, idąca z Patras do Aten, nie tylko urokiem, ale pięknnością przewyższa wszystkie które przebywałem. Mniemałem, że na francuskiej *Rivière* jest najładniejszą, najbardziej gładzącą wzrok, lecz stanowczo tamta musi przed tą ustąpić. Ta leci wciąż tuż nad morzem, nad zatoką Korynecką, następnie nad morzem Egiejskiem, między Peloponezem na prawo,

a na lewo górami Grecyi środkowej i attyckiemi, więcej malowniczymi i wspanialszemi niż strona prawa — której przecież nie zbywa na pięknościach. Wdzięk zatoki Korinckiej oparty jest na najściślejszych prawidłach sztuki, rośnie stopniowo i potęguje się ku końcowi. Wjeżdża się tu w krainę innych niż wszędzie barw, innej gry kolorów i przezroczystości powietrza, innego zupełnie oświetlenia i innego słońca, które jest istnym Apollinem Belwederskim. Nie jest to komunał, ale uderzająca prawda, że dopiero tutejsza przyroda pozwala zrozumieć poezję grecką i sztukę grecką; w każdym razie lepiej i prędzej, niż uczone rozprawy i znużone poszukiwania archeologiczne. Przyroda ma tu majestat, spokój i prostotę wielkich rzeczy, wielkich zjawisk i wielkich dzieł greckich; jest tu zgododźwięk najdoskonalszy w olśniewającej różnaitości. Na lewo łańcuch gór Parnas i Helikon. Pomimo, iż strzelają w niebiosa, pomimo iż strome, panuje na tych górach jakiś błogi spokój, kształty ich łagodne, podczas gdy krajobraz niezwykle odznacza się świeżością. Spokój, łagodność i świeżość niezbędne dla sztuki. Jest to szereg taras przyrody, które zdają się od niebios spadać do morza przezroczystego i cichego. W chmurach, w których giną szczyty Parnasu, przesiadywać mogą Muzy. Helikon ma nieco ostrzejszy rysunek i wulkaniczny wygląd. Przyrodę ożywiła tu na wieczne czasy ludzka wyobraźnia i wciąż jedzie się wśród największych jej piękności i najwdzięczniejszych wspomnień. Granicę stanowi Akrokorinth, potężna warownia przyrody; zdaje się być co najmniej tworem Cyklopów, a jest dziełem Bogów. Z tyłu świetności politycznych i sztuki, została się skała i zostały się rodzynki. Skała wspaniała, rosnąca w oczach, podbija cię, im więcej się w nią wpatrujesz. W dalszej drodze ku Atenom okazuje ci się jeszcze kilkakrotnie, zawsze piękniejsza.

Raptem przelatujesz przez coś niezwykłego, co ma także pewne wielkości piętno — to są roboty okolo przekopu międzymorza Korinckiego. Oba morza zdają się już być zespolone, tymczasem znawcy twierdzą, że połączenie wymagać będzie jeszcze dużo pracy i pieniędzy, ale papiery przekopu zakupywać można, bo niebawem roboty podjęte zostaną nowemi siłami, za pomocą pieniędzy francuskich, także i towarzystwa greckiego, w tym celu zawiązanego.

Stąd kolej biegnie nad Egiejskiem morzem, wspina się na góry i skały, to znowu wpada do morza; w kilku miejscach staje się wzruszającą do najwyższego stopnia i bardziej karkołomną, niż najśmielej wybudowane w Szwajcaryi tory. Przesuwa się przed tobą amfiteatr zabudowany, to Megara, a pięć minut zatrzymania w Eleusis, obija ci się o uszy jak krotochwila.

Te widoki, ta przyroda, te bogi, te wspomnienia i ten pociąg pędzący wśród nich i ta lokomotywa gwizdająca tak samo, jak pod Floridsdorfem, wszystko to razem wytwarza w głowie zamęt, z którego niepodobna zdać sobie sprawy.

Dojeżdżam do Aten, pokrytych ciemnościami nocy.

### *Ateny 9 kwietnia.*

Pomimo wszystkiego i pomimo, iż wszelkie dziś podróże straciły na znaczeniu i straciły urok trudności i trudu, pomimo wielkiej ich łatwości — po przebudzeniu uszczypnąłem się, aby przekonać się czy nie śnię jeszcze, że jestem w Atenach.

Sienkiewicz, mówiąc w Krakowie w Amfiteatrze Nowodworskiego o swoim pobycie w Atenach, umiał powiedzieć o nich z wielką prostotą, coś tak świeżego, że miało to cechę tak bardzo grecką, a zapach tak wyraźny tutejszej przyrody, iż pamiętam, że opowiadanie

jego spotęgowało moją dawną chęć zwiedzenia zaczarowanej wrażeniami młodości krainy. Dziś wdzięczny mu jestem i dzięki składam. Ale tylko wielkich talentów, lub od bogów ukochanych ludzi przywilejem jest, ożywiać to, co ich otacza. Grecy ożywili swoją przyrodę swoją wyobraźnią i zaludnili ją jej tworam; Sienkiewicz ożywił naszą przeszłość, obecnie terażniejszość. W Rzymie zdąża się najpierwej do św. Piotra i Forum; w Atenach oczywiście do Akropolis. Zanim się jednak dojdzie, stoi się jak wryty przed szesnastu korynckimi kolumnami świątyni Zeusa Olimpijskiego, wznoszącemi się na lewo, a odbudowawszy myślą sto dwadzieścia podobnych kolumn, uchyla się czoło przed potężnym dziełem wdzięczności ludzkiej dla bogów, za uposażenie jednego narodu, wyjątkowem poczuciem piękna.

Akropolis jest świątynią sztuki wyrosłą z ziemi, jak Akrokorinth jest twierdzą przez przyrodę wybudowaną. Nie było ani właściwem powołaniem, ani istotnem przeznaczeniem tej skały być miejscem obronnem i twierdzą i nigdy mu też dobrze nie odpowiedziała. Ona miała panować bez walki i niepodzielnie nad światem. Zrozumiał to Perykles i wystawił na niej Parthenon. Propylee to wstęp do poematu epicznego, to wezwanie na czele Illiady lub Odysei; wspaniały pomnik, postawiony pięknu, w tem jego wielkość i majestat, iż innego nie ma celu, a ma piętno tego wymarzonego zamiaru. Przed-sionek przed-sionków! Wśród jego kolumn wije się z trudem Święta droga; po prawej ręce uśmiecha się świątynia *Athena Nike*, odbudowana ze szczątków; na prawo i lewo miejsca i gruzy kilku świątyń; tutaj stał i nad Parthenon wznosił się posąg olbrzymi Athene. Wszędzie pod nogami połamane marmury, skruszone, zdruzgotane arcydzieła; tym ementarzem czy pobojuwiskiem, dochodzi się do Parthenonu i natychmiast czuje się, że się doszło do źródła; widzi się,

choćby się nie wiedziało, że ludzkość, że świat, że najwytworniejsze i największe umysły, że wszelkie prawdziwe następne cywilizacje silily się, aby mniej lub więcej szczęśliwie naśladować to, co tu było i to co jeszcze pozostało z tego, co było. Wspaniałość linji i wdzięk zgododźwięku, stanowią doskonałość, która oczarowała tyle pokoleń. Renan na widok Parthenonu po raz pierwszy w życiu doznał uczucia doskonałości; wyraził je na paru mistrzowskich kartach. Stąd Grecja zapanowała nad światem, stąd jeszcze panuje i panować będzie, chociażby nigdy nie ziściły się jej, aż do Bosforu sięgające marzenia. Twór Iktinusa, przede wszystkim Fidiasa, ale myśl Peryklesa, Parthenon jest dziełem sztuki, które zarazem jest zwycięstwem i podbojem w największym, ale najszlachetniejszym kształcie. Trzeba było połączenia geniuszów kunsztu i polityki, aby pojąć i wykonać z taką prostotą coś tak wspaniałego, trzeba było majestatu doryckiego, aby skutek odpowiedział zamiarowi. Prawdziwa, istotnie piękna i potężna architektura jest wyrazem siły duchowej i politycznej zarazem. Społeczeństwa albo nie dorosły jeszcze do swoich przeznaczeń, albo chwiać się i upadać poczynają, kiedy kształt w architekturze psuje się lub staje się chorobliwym. Inne sztuki piękne nie ulegają tak wyraźnie temu prawu.

Po jednej stronie Parthenonu jest miejsce, w którym znajdował się tak zwany skarbiec Peryklesa; ów skarbiec, z którego tak szczerze czerpano, aby unieśmiertelnić Akropolis, a z którego w końcu wyrachować się nie było można. Chcąc budować dla wieków i niespożytej chwały nie trzeba zdawać rachunków.

Nareszcie stajesz przed pustem miejscem, na którym królowała Fidiasa *Athene Parthenos* w samym środku świątyni.

Wyszędlszy z Parthenonu, oczy twe uwieźi wśród tyłu piękności i wobec wspaniałego widnokręgu, Erech-

theion, podwójna czy potrójna świątynia, w której królują połączone ze sobą, legenda i sztuka, dwie córki wyobraźni. Erechtheion, względnie dobrze zachowane areydzielo, z odrzwiami rzeźbionemi, pokrytemi koronkami wyhaftowanemi w marmurze, jest przedmiotem niewyczerpanych sporów i zagadek dla archeologów. Dla mnie kończy je i rozwiązuje wszystkie, przysionek karjatydy; zachwyca i czaruje i o nic więcej nie pytam. Tu się ocenia sztukę rozmiarów. Dziewice te, acz większe nieco niż w przyrodzie, w połączeniu z gmachem przemawiają przecież życiową prawdą; to postacie ludzkie żyjące, które stoją przed tobą w najwdzięczniejszych postawach. Nie są to olbrzymy nieraz potworne rozmiarami, które podpierają nowoczesne gmachy; one nieznużone nie uginają się pod podzielonym między nie umiejętnie ciężarem, niosą go swobodnie, z szlachetnym wyrazem na twarzach, podczas gdy piękniej jeszcze odrysowują się kształty ich ciał.

Akropolis, z tem co na niej pozostało, zwłaszcza ze wspomnieniem tego co na niej było, to świat szczątków wspanialszy i piękniejszy niż całość nieuszkodzonych na ziemi gmachów — świat kolumn, których doskonałość niedosiężona, pozostałych lub stłuczonych rzeźb których znaczenie większe niż dzieł niedotkniętych zębem czasu, oraz doniosłych sterczących murów, świat wrażeń najświetniejszych i najszczytniejszych natchnień; świat umarłych, który żyje niespożytem życiem. A jaką musiała ona być, gdy zapełniona była nieuszkodzonymi marmurami, brązami, posągami, które były areydzielami, kiedy ozdobiona była całokształtem rzeźb, płaskorzeźb, malowideł, kiedy była ożywiona geniuszem artysty, myślą męża stanu i wiarą Greków w bogów i ojczyznę!

Ranami są Peiraeus, morze, Salamina, Hymet i Pantelik. Nigdzie nie są one tak jak tu zgododźwiężne i ściśle połączone z obrazem. Te piękności kunsztu

i te piękności przyrody są jedną rodziną, której każdy członek podnosi i potęguje całość. Pantelik, źródło niewyczerpane do dzisiaj najdoskonalszego marmuru, tłomaczy obfitość i szczodrość, z jaką go używano ku chwale bogów i ludzi.

Po prawej stronie Akropolis, której ściany i podnóża okryte są szczątkami gmachów i posągów z różnych czasów, znajduje się niezłe zachowany teatr Dionysosa, opiekuna i przywódcy przedstawień i widowisk. Teatr ten, odbudowany za rzymskiego panowania, nie daje zapewne wyobrażenia dokładnego o widowni, na której grywano pierwotnie tragedye i komedye greckie. Miejsce przecież, w którym się znajduje, na pochyłości Akropolis, u stóp Parthenonu, rozkład amfiteatralny, marmurowe w pierwszych rzędach krzesła i widok na kolumny Olympieionu Zeusa, przenoszą cię w świat pogański, w okres, w którym Rzym panował nad Grecją, podczas gdy duch grecki już był Rzym opanował.

Świątynia Theseusa *Theseion* jest dowodem, że styl dorycki nie tylko jest pełen majestatu, także najdoskonalej kształtny. Dwie świątynie w tym stylu doszły do nas — najlepiej zachowane: ta właśnie w Atenach Theseusa, oraz Neptuna w Pesthum. Świątynia Neptuna sprawia silniejsze wrażenie niż *Theseion*, jest większą i potężniejszą, przez jej krużganki jest widok niewypowiedzianej piękności na morze. Świątynia Theseusa ma może doskonalsze, wytworniejsze, wykwintniejsze kształty, ale mniej korzystnie stoi i raczej głaszcze wzrok, niż uderza umysł i wyobraźnię.

Pierwowzór piękności greckiej odnajduje się tu jeszcze w mężczyznach, nierównie rzadziej w kobietach, których zresztą nie spotyka się prawie nigdy na ulicach. Zwłaszcza budowa mężczyzn jest kształtna, odznaczają się giętkością, muskularnością i smukłością; niema tu niemal ludzi otyłych, nieraz spotkać można młodzieńca



o kształtnych rysach i nosie greckim, jakby gotowego stanąć do zapasów na igrzyskach olimpijskich.

Nowe Ateny — pomimo i wbrew wszystkiemu złemu, co o nich powiedziano i napisano — są, czy też stały się ładnymi i wdzięcznymi; a jest to wiele powiedzieć, skoro miasto to leży i buduje się u stóp Akropolis; i wiele to znaczy, że mając nad sobą Parthenon, nie razi. Rośnie ono z każdym rokiem i coraz miłszą i schludniejszą przybiera postać, nie tracąc właściwego piętna.

Pałac królewski niestety tuzinkową jest budową, z czasów króla Otona. Podczas gdy w Monachium Bawarczyacy naśladowują grecką architekturę — w Atenach wybudowali pruskie koszary na siedzibę królewską. Wewnątrz są obszerne przedsionki i podwoje dość wspinałe i jest dużo ozdób z marmuru pantelickiego. Freski przedstawiają nowoczesne dzieje Grecyi. Pałac ten otacza słynny ogród królowej Amelii, który stał się był kamieniem obrazu i jednym z powodów zamieszek, co pozbawiły tronu pierwszego króla nowoczesnej Hellady. W tym ogrodzie były rzymskie kąpiele i znajdują się jeszcze z onych czasów mozaiki.

Wojsko, które widziałem ustawione na podwórze pałacu, ma dobrą postawę i dobrze jest ubrane. Przeważa w niem pierwowzór wysmukły; ludzie po największej części doskonale zbudowani i przystojni, czy wyrosną na rycerzy z pod Marathonu, powiedzieć nie umiem.

*Ateny 10 kwietnia.*

Odwiedziłem dziś naszego przedstawiciela br. Kosjek, dobrego znawcę stosunków wschodnich, od paru lat greckich. Jeszcze na Wschodzie dyplomaci nie są — jak po największej części obecnie wszędzie — malowanymi lub automatami poruszonymi przez drut elektry-

czny. Ich znaczenie tutaj jest istotne, zatrudnienia i prace różnorodne, nietylko polityczne, ale handlowe, oraz dotyczące rzeczywistych spraw, nieraz piekących; muszą oni czasem wziąć coś na własną odpowiedzialność, słowem, tu dyplomacya nie całkiem przeżyła się, nawet cała ta część świata pozostała szachownicą, na której codziennie odbywa się gra bez końca.

Nie samo wyłączenie pochodzenie stanowi narodowość; składają się na nią także przeszłość, dzieje i obyczaje kraju, klimatyczne i geograficzne jego warunki, które oddziałują zwolna na ludność i ludzi, skądkolwiekby przybyli i wkońcu przeistaczają ich z pewnymi, mniejszymi lub większymi zmianami, w miejscowy pierwowzór. Ileż w Polsce rodzin pochodzenia niemieckiego, które dziś mają spotęgowane nasze wady i przymioty. Bułgarzy nie są pochodzenia słowiańskiego — może na szczęście dla nich — ale teraz całkiem należą do słowiańskiej rodziny, raczej gromady.

Nie chcę twierdzić, że wszyscy Grecy dzisiejsi pochodzą wprost krwią lub duchem od zwycięzców z pod Platey, lub że się tu spotyka samych Greków z okresu Peryklesa. Ale to pewna, że pomimo bigosu ludów, napadów i panowań zaprawionego czerwono, że pomimo pomięszania niesłychanego plemion, coś nietylko z krwi i ducha dawnych Greków pozostało jeszcze w nowoczesnych, ale zwłaszcza coś z obyczajów i nawyknień, coś z wad i przymiotów, z upodobań i pociągów, nawet ze zwyczajów, z rysów twarzy i budowy ciała, a słyshałem zdanie, że przy zwiększającym się dobrobycie, przy coraz większej oglądzie obyczajów i rozpowszechnieniu wykształcenia, pod wpływem tutejszego słońca i powietrza, powstać może znowu w całym blasku, raczej rozpowszechnić się, pierwowzór greckiej piękności.

Jest tu przeszłość i terażniejszość, ta ostatnia zmierza do coraz ściślejszego zespolenia się z pierwszą, do czego bardzo się przyczyniają poszukiwania wciąż pil-

niejsze wciąż nowsze odkrycia w dziedzinie starożytnego świata, zasypanego ziemią i popiołem. Są usiłowania zbliżenia dzisiejszej mowy greckiej do dawnej, a kto nie całkiem zapomniiał szkolną greczyznę, może czytać tutejsze dzienniki, chociaż z ludnością z trudem się rozmówi.

Jest także i przyszłość, tylko niepodobna zaznaczyć jej rozmiarów. Postęp jest jednak widocznym we wszelkich kierunkach. Ziemia już nie leży, jak ongi odlogiem, a w Peloponezie każdy jej kawał jest uprawiony; zatem dzieje się lepiej niż w niedalekiej przeszłości. Mimo tego lud, mówią mi tu osiedli Niemcy, jest próżniaczy, a do budowy nowych kolei żelaznych sprowadzać trzeba robotników włoskich. Goethe zauważył, że w północnych krajach, kto nie nuży się cały dzień, uchodzi za próżniaka; na południu widział wiele ludzi w lachmanach, ale nikogo nie zajętego.

Południe dostarczało zawsze artystów i bohaterów.

Opatrznością dla cudzoziemców jest tutaj *Hôtel de la Grande-Bretagne*, który ułatwia znacznie pobyt, a tych którzy bardzo dbają o wygodę, nietylko nie odstrasza, ale przyciąga do Aten. Trudno o miłszą, lepiej urządzoną i niezdzierającą gospodę; na Wschodzie, to rzadkość nielada; umiejętne połączenie urządzeń europejskich i zwyczajów wschodnich, stanowi jej wartość; oświetloną jest elektrycznie, a podają po obiedzie kawę turecką. Król wysłał był dzisiejszego właściciela do Paryża na naukę; ten ożeniwszy się z Paryżanką, gdy powrócił, zamiast wejść do kuchni królewskiej, założył pod nosem króla, o sto kroków od pałacu, tę wzorową gospodę; co jednak monarcha winien mu przebaczyć, gdyż jest to zakład użyteczności publicznej i przystań, do której chętnie przybijają będą podróżni całego świata.

Jedzie się do Grecji, ale marzy się o okresie Peryklesa, a zdąża się do Aten, a w Atenach codziennie do Akropolis, a na Akropolis zawsze do Parthenonu i to

nie z umysłu, nie z postanowienia, ale jakoś dziwnie, bezwiednie, istne działanie magnesu, bo w tym magnecie tkwi pierwiastek nie tylko uroku, ale i potęgi greckiej, przez niego zapanowała ona nad ludzkością, bo on odpowiada najszlachetniejszym skłonnościom ludzkim. Gdziekolwiek się znajdziesz, o jakiegokolwiek porze dnia, czegoś ci brakuje i pilno ci iść w stronę Akropolis. Dwie ulice przeryniają nowoczesne Ateny wzdłuż i wszerz: Hermesa i Eola. Eol szaleje dzisiaj po ulicach Aten i pędzi przed sobą kłęby klasycznego prochu, który wdziera się w szaty i oczy. Bóg tak staje się gwałtownym, że niepodobna dostać się na Akropolis; ale widzi się ją wśród kurzu i burzy zdaleka i coraz większe i głębsze odnosi się wrażenie, większe i głębsze niż pierwsze; im więcej wpatrujesz się w nią i jej szczegóły, tem więcej cenisz rozkosz, jaką sprawia. Parthenon ze spokojem na czole góruje nad wichrem i burzą bezdeszczową. Z zewnątrz św. Piotr wydaje się mniejszym niż jest; Parthenon większym.

Nie mogąc dojść do niego, puściłem się w dalszą wędrowkę pod kierunkiem doskonałego przewodnika Greka, który, jak się pokazało, oprowadzał hr. Karola Lanckorońskiego, i jeździł do Wiednia w sprawie bogatych jego zbiorów.

Stary kościół bizantyński, wybudowany przez cesarżową Ireneę, dziś nazywa się kościołem rosyjskim; otoczyli go opieką i ozdobili darami cesarzowie Mikołaj I i Aleksander II. Stara katedra małych bardzo rozmiarów, bizantyńska, lecz zbudowana ze szczątków świątyni pogańskich, jest zajmującą; bogatszą zaś nierównie jest nowa katedra. Schyzma na Wschodzie nie nabiera znamion prozelityzmu, jedna Rosya wyciska na niej to piętno — nieraz krwawe.

Zwracamy się z moim przewodnikiem w stronę świata pogańskiego; podziwiam w całej pełni pięknosc kolumn *Olympieionu*. Wdzięk kolumn greckich

równa się ich majestatowi, strzelają w górę, jak uczucia i myśli, ale w miarę, bez przesady, bez szalu i umiesień. Przebywam Ilisoss, tu potrzebna wiara, że to rzeka, gdyż w korycie ani kropli niema wody. Docieram do *Stadion*; są to szranki starożytnego *sportu* ateńskiego, dwoma wzgórzami zamknięte; nie się z nich nie zostało, prócz miejsca, nadzwyczaj trafnie i odpowiednio celowi obranego; na gradusach, pnących się po obu wzgórzach, mieściło się pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Pomimo wichru, który nieco się uspokaja, wstępuję po schodach wykutych w kamieniu na Areopag, na to miejsce krwawych nieraz zdarzeń, na którym wśród ciemności nocnych sądzono winowajców pod gołym niebem. Stąd zdążam do Agora, owego tak pełnego życia, tak ludnego i gwarne go targu, dzisiaj, niestety, zabudowanego domami i poprzerzynanego ulicami. Nic się tu nie zostało z dawnej świetności, prócz filarów bramy poświęconej Minerwie i to nie przez Greków, ale przez Juliusza Cezara i Augusta. Pozostały wyryte w marmurze nadzwyczaj szczegółowe rozporządzenia i przepisy, dotyczące sprzedaży oliwy. Opodal uderzają cię rozmiarami i przepychem, szczątki wielkiego Gimnazyum czyli Stoa cesarza Hadryana. Wiadomo, że ten cesarz upodobał sobie w niezwykle sposób upadające już Ateny, wiele dla nich zrobił i stał się ich dobroczyńcą, będąc ich panem. Na każdym kroku znać pieczołowitość jego o zabytki i o nową ozdobę miasta Pallas, a do dzisiaj pamięć jego jest tu czczoną i odnaleźć można jakby odblask wdzięczności, której za jego życia wyrazem stał się tryumfalny łuk, jemu poświęcony, który dobrze zachowany stoi u stóp Akropolis, przy wejściu do *Olympieionu*. Jeden to z ostatnich cesarów, co miał duszę prawdziwie estetyczną i pogańską, co tłumaczy jego przywiązanie do Aten, któremu dał także wyraz we wspaniałej swej w Tivoli siedzibie. Był to ukoronowany budowniczy pogański.

Widziałem dziś świątynię Theseusa zdaleka; piękniejsza, niż zbliżka, i stąd odczuwa się lepiej jej wdzięk.

Jednem z najcenniejszych miejsc Aten, budzącem najsluszniejsze zajęcie i rozciekawienie, jest dawny, pogański cmentarz, nazwany Kerameikos od pobliskiej dzielnicy. Tu przed kilkunastu laty odkryto wiele grobowców, prawdziwych arcydzieł; część ich zostawiono na miejscu. A przed innymi wpadł mi w oczy przy wejściu, na bramie grobowca, wspaniały byk, który co tylko nie uderzył mnie rogami. Wściekły, rozjuszony schylił głowę, aby nią cios zadać; w każdym calu jego ciała gniew, rogi drgają, a oczy krwią zalane. Miał nogi połamane, dorobiono je i ustawiono na przysionku, nad ziemią, a pod niebem; jest przepyszny, jest żywym i pewnym zwycięstwa nad niewidzialnym dla nas przeciwnikiem. Piękny to marmur! Pełno tu rzeźb pierwszorzędnej wartości, najbardziej ceniony jest tak zwany Dexil, rycerz na koniu, który innego o ziemię powalił. Ale do mnie najwdzięczniej, najwymowniej przemawiają dwie siostry Demetria i Panfilia; żegnają się na wieczność, trzymając czule za ręce; co za ożywienie, zarazem spokój w ich rysach; co za powaga w postawie; podobieństwo jednej do drugiej wyraźne.

Powracając, spotykam pogrzeb; widzę odkrytą trumnę, w niej dziewicę w bieli z kwiatami na głowie i błądzącą śmierci na licach. Widok przejmujący. Tak tu grzebią. Obwożą po mieście ciała w odkrytej trumnie, a wieko niosą przed karawanem. Spotykam dalej malowniczy, w stroju narodowym pułk góralski, to niby gwardya królewska. Pułków takich jest kilka.

Zwiedziłem dziś dużo, dzięki sprytnemu przewodnikowi. Ale nie koniec na tem; muszę i dziś być na Akropolis.

*Ateny 10 kwietnia wieczór.*

Prezes gabinetu Trikupis jest niezawodnie człowiekiem niepospolitym, w każdym razie jednym z trzech czy czterech wybitnych ludzi na dzisiejszym Wschodzie; odważny, w całym tego słowa znaczeniu, silny, tęgi, oddany wyłącznie sprawie publicznej, pracowity jak nikt w Grecyi, ubogi i wstrzemięźliwy, jako jedyną rozrywkę lubi rozmowę z paniami i równie w niej zręczny, jak w izbie, ma coś w sobie ze starożytnego Greka, a nowoczesnych Greków prowadzi od lat czterech na pasku, co tutaj znaczy wiele. Zdaje się, że ich poprowadzi jeszcze co najmniej do wyborów, które z końcem roku mają się odbyć. Z trudnością wprawdzie, ale z niezwykłą biegłością utrzymuje swoją w izbie większość. Grecy dzisiejsi są w rozprawach publicznych i dziennikach równie zapaleczywi i zawzięci, jak ongi na Pnyxie, którego dziwaczny obwód obszedłem dziś, przyczem dozwoliłem sobie przyjemności, przemówienia słów parę do Aten, ze skalistej mownicy, z której Demostenes miał rzucać na Filipa Macedońskiego gromy.

Pan Trikupis nie mniej ma pod dachem parlamentu kłopotów, niż wszyscy rozsądni i wytrawni politycy, oraz mówcy starożytni, mieli ich pod gołym niebem. Największym w tej chwili, jest sprowadzenie na dalszą, przerwana przez święta, dodatkową sesyę, posłów. Lud bowiem grecki, wcielony w nich, różne umie płatać figle, a jednym ze zwykłych jest, iż nie stawia się do uchwalania ustaw, zwłaszcza gdy wynagrodzenie już wypłacone. Jak ongi z Agory przychodziło nieraz z trudnością sprowadzić go na Pnyx, tak teraz nie łatwo lud ten sciągnąć z kraju do Aten. A są właśnie do uchwalenia ustawy kolejowe, na których ministerjum, raczej Trikupisowi, zależy; on jednak zdaje się być pewnym swojego, pomimo do doskonałości do-

prowadzonej sztuki obstrukcyjnej w tutejszej izbie. Pan Trikupis jest tu w tej chwili politycznie wszystkim i pod tym względem tylko prezes gabinetu coś znaczy. Kreta jest obecnie niepotrzebnym dla Grecyi kłopotem; wszyscy tu czują, że dziś mogłaby tylko zgubne wywołać zawikłania, a że wcześniej czy później spadnie w ręce greckie, jak dojrzały owoc. Rząd szczerze pragnął uspokojenia wyspy, bez obludy i nie dla zakrycia gry. Żywienie wychodźców z Krety, chłopów olbrzymich i przystojnych, którzy wałęsają się po ulicach Aten, a mają, jak mi zaręczano, tę jedną zaletę, że zawsze gotowi są na pierwsze skinienie do walki, uciążliwym się staje dla ubogiej Grecyi — a przecież opozycja wyzyskuje do najwyższego stopnia przeciw Trikupisowi jego roztropne zachowanie się w sprawie Krety i już zdołała osłabić nieco jego stanowisko i zmniejszyć wzięcie.

Jakie — zapytałem — są tu stronnictwa? Niema ich — odpowiedziano mi — są tylko sprawy osobiste, które przemieniły się w stronnictwa osobiste, jest teraz Trikupis i Delianis — i nie więcej. A zatem — odparłem — Aristydes i Themistokles, jak za pięknych czasów. Delianizm dźwiga jeszcze na sobie następstwa wystąpienia okrętów europejskich, które ściągnął swoją polityką, ale znowu trikupizm już nieco za długo trwa.

Jeżeli Grecy marzą o Bizancyum, to w bardzo dalekiej przyszłości i bez zbytnich złudzeń. „Jak pan chcesz — mówią mi — abyśmy my myśleli o Konstantynopolu, skoro nawet Rosya nie zdołała dotąd go zająć“. Wpływ rosyjski nie daje się tu czuć, albo nigdy nie był wielkim, albo też zmniejszył się. Jedna królowa głośno wyraża swoje uczucia rosyjskie. Król raczej na stronę Anglii się przechyla. Wogóle jednak dwór nie oddziaływa ani na politykę, ani na publiczność. Ta zaś równie jak poważniejsi ludzie, przeczuwać poczyna, może nawet odczuwa już, niebezpieczeństwa, grożące



od strony panslawizmu i przewiduje, że przyjdzie Grekom zmierzyć się z nim. W stronę też panslawizmu zwraca się teraz uwaga ogólna. Pomimo tego stosunki z Turcyą są tylko pozornie przyzwoite; w głębi duszy i serc tkwi graniczna i plemienna wojna, a Turcyą ze swej strony nie najlepiej obchodzić się ma z żywiołem greckim w krajach jej jeszcze podległych, nawet w ostatnich czasach, zdradzać ma chęć tępienia go. Czy wobec wiszącej zawsze nad Wschodem burzy, jest taki wzajemny stosunek dla stron obu korzystnym, wątpić można i raczej przypuścić należy, że ktoś trzeci mógłby z niego kiedyś zyski ciągnąć. Mnie się zdaje, iż dla przyszłości wszystkich ludów Wschodu potrzebnem jest jeszcze w terażniejszości istnienie Turcyi, a że przedłużyć się da tylko zapomocą wzmocnienia tych ludów, rozwinięcia ich samodzielności, utrzymania między nimi równowagi i przyjacielskich między Turcyą a niemi stosunków.

Ale żądze i namiętności najmniej są cierpliwemi, a nieszczęście chce, że za każdym razem co Europa osłabi i okroi Turcyę, dopiero wtedy, uznaje jej potrzebę.

Austro-Węgry pomimo drobnych zająć pieniężnych, dziś zapomnianych, mają tu stanowisko dobre. Przez długi czas kamieniem obrazy i postrachem były wieści o zamiarach co do Saloniki. Przestano nareszcie wierzyć w bajkę salonicką, ale ten przedwczesny żal z powodu pogłosek odnoszących się do posiadłości tureckiej, odczuty przez Greków, jest znamiennym i jest drogowskazem.

Ostatnie w Europie wypadki zdziwiły tu tak jak wszędzie, a pomimo, iż Grecy nie mają powodów ani wdzięczności, ani miłości dla dynastji bismarckowskiej, uznano, iż takiego jak ks. Bismarck człowieka, oddalono zbyt szorstko i ze zbyt lekkim sercem.

Przed wieczorem wicher ustał i mogłem jeszcze wyjść na Akropolis. Widok przez Propilee na morze i Salaminę jest jednym z jej przepychów. Umiejętność perspektywy w architekturze greckiej, jest podwójna; nie tylko, że gmachy stawiane były w miejscach, z których najkorzystniej się wydawały, jeszcze stawiano je tak, aby z nich używać najwspanialszych widoków. Gmachy Akropolis najdoskonalej odpowiadają tym dwom zadaniom.

Jak do wszystkiego, co ma prawdziwy wdzięk, do Parthenonu przywiązuje się umysł i wyobraźnia coraz więcej, za każdym razem coraz silniej i niepotrzebne do tego rozpatrywanie się w pięknościach szczegółów; całość czaruje.

Muzeum Akropolis znajduje się za Parthenonem, zawiera zawiele tułówów, zawiele szczątków, zawiele ułamków i uszkodzonych arcydzieł, słowem zawiele kalek, zawiele gipsowych podobizn rzeźb Parthenonu, a za mało prawdziwych, marmurowych. To muzeum zdaje się mówić: „Patrz przechodniu, jak nas odarł syn W. Brytanii“. Na każdym kroku są tu ślady rabunków zbyt słynnego lorda Elgin.

Dla nauki, także jako osobliwość, bardzo zajmującym jest szereg wykopanych niedawno posągów marmurowych, kapłanek Atheny z okresu archaicznego. Znaleziono je na Akropolis, w pobliżu miejsca, na którym stała stara świątynia bogini; leżały pod ziemią ułożone, zatem ręką ludzką; stąd wniosek, iż w chwili napadu Persów ukryto je w ten sposób przed barbarzyńcami, gdyż to były świętości. Posągi te wszystkie do siebie nieco podobne, z jednym i tym samym na ustach uśmiechem, mają na włosach ślady czerwonej farby. W źrenicy jednej kapłanki, pozostał kryształ, który przedstawia oko.

Inne posągi, zwłaszcza brzozy, w tem muzeum, bardziej jeszcze niż kapłanki zdradzają pokrewieństwo

z egipskimi utworami. Pomimo przyznawanego archaizmowi wdzięku i wszelkich dla niego uwielbień, jest on tutaj zwłaszcza dowodem, że rozkwit sztuki był i jest zawsze koniecznym, jeżeli ma ona odpowiedzieć swoim przeznaczeniom. Gdyby sztuka grecka była się zatrzymała i ograniczyła na archaizmie, nie byłaby wywarła tego wpływu, który na cały świat się rozciągnął i nie miałyby znaczenia, które wieki przetrwało — dzięki okresowi Peryklesa.

*Ateny 11 kwietnia.*

Trafilem na wielki tydzień grecki, który bardzo uroczyste jest tu obchodzony, zwłaszcza pod koniec. Już dziś znaczny od rana w mieście ruch. Pasterze pędzą z okolicy stada owiec z jagniętami. Pełno też ludzi spieszących z jagniętami na karkach; wyglądają jak rzeźby archaiczne. Każda rodzina grecka zjeść musi w pierwszy dzień świąt jagnię; pieką je całe na kiju, homerycznie. Jagnie mięso jest podstawą greckiej kuchni; jagnięce kotlety wyborne.

Wjeżdża się na Świętą Drogę, wiodącą do Eleusis obok ementarza Kerameikos. Oddaję pokłon mojemu ulubieńcowi, bykowi, który jeszcze młodszym i dzielniejszym jest niż wczoraj, wśród świeżości poranku i w oświetleniu wznoszącego się słońca. Zdążam Świętą Drogą do Eleusis, gdzie czczono Demeter i święcono jej niezgłębione tajemnice. Drogą tą, z nabożeństwa ku najpoważniejszej bogini rolnictwa i żniw, zatem i dla Polski wielkiego znaczenia, udawały się pochody wybranych i wtajemniczonych z Aten do Eleusis — procesye — co na wskrós są pogańskim i greckim obyczajem. Dzisiejsza droga bita i wyborna, szeroka, musi być wygodniejsza niż starożytna, którą wyznawcy Demeter pielgrzymowali; zlewa się z nową lub biegnie

tuż obok niej, jest nielada znowu dla archeologów łami-główką. Na Kephissosie, w miejscu, w którym się przez niego przejeżdża, był most kpiniek, na którym — po-mimo całej powagi tajemnic eleusyjskich, Ateńczycy witali żartami powracającą procesyę, która również ostremi odpowiadała drwinami. Tylko wykwintne spo-łeczeństwa żartować umieją ze wszystkiego, bo tylko one znają się na żartach. W tem miejscu jednak podobno nie kończyło się na wytwornych dowcipach, ale przyłączały się do nich różnych odcieni sprosności, od których i tajemnice nie były, jak wiadomo, wolnemi pomimo nieskażonych obyczajów bogini.

Na czem polegały te tajemnice? Nie wiadomo, i choćbym mógł, nie powiedziałbym, pomny snu, który odwiódł Pausaniasa od opisanía ich, chociaż widoczną miał potemu chęć i pomny kłopotów, jakich się naba-wił piękny Alcybiades, brakiem dla tych tajemnic usza-nowania. Niebawem wjeżdża się w las oliwny, który od Peiraieusa rozciąga się wzdłuż Aten, las poświęcony Eumenidom, przecież uroczy i wcale nie straszny, las tego drzewa, co tak wielkie miał w dziejach Aten zna-czenie. Są tu drzewa oliwne poważnej do zdumienia starości; pokazują jedno, wprawdzie nie z okresu Pe-ryklesa, ale z czasów jeszcze pogańskich, inne liczące lat pięćset. Jedzie się mając po lewej ręce Peiraieus, przed sobą w dali Parnas, za sobą Ateny i Akropolis; ta nabiera znowu innego rodzaju piękności, w miarę, jak się od niej oddala. Zdaleka Propilee są nieco mar-murami zbitemi w jeden snop; ale Parthenon góruje nad wszystkim i poznaje się zamiar, aby nad wszystkim górował, nad Atenami i wszelkimi cywilizacyami świata.

Spotykałem stada owiec i jagniąt, które prowa-dzono do Aten tak liczne, że nawet zwalniały podróż. Pędzono je nie dla bogów, nie do świątyń, ale dla ludzi i do kuchni.

Po chwili stanął powóz w Dafni przed klasztorem z czasów Franków, niegdyś bogatym w bizantyńskie mozaiki dziś wielce uszkodzone. Jedyna to niezgododźwięczna nuta na tej pogańskiej drodze. Przybiera ona stąd coraz wyraźniejsze znamiona poezji greckiej, piękności łagodnej a świetnej przyrody, spokojnej, a nie strasznej, słowem przybiera znamiona świętości pogańskiej.

Wreszcie doznajesz jednego z najprzyjemniejszych w życiu wrażeń; ujrzałeś w dali moze i szczyty Salaminy. Urok tej chwili nie da się opisać, bo jest nadzwyczaj poufnym i w każdym zapewne inne i odmienne wywołuje uczucie, ale podniosłe. Przejeżdżasz obok bezkształtnych szczątków świątyni Afrodyty; droga się zakręca i ukazuje ci się zdala Eleusis w majestacie swej wspaniałej przeszłości, dzisiejszej nicości i niezmiernie boskiej przyrody. Droga ta wiedzie dziś także do Teb; dawna szła górami, które piętrzą się nad głową. Biegnie między morzem, a słonem jeziorem, w którym prawa rybołówstwa używali wyłącznie kapłani Demeter z Eleusis, prawa właściwego także niektórym naszym klasztorom. Dostrzegam pod Salaminą nieliczną flotę wojenną grecką. Czy wzrośnie kiedy do liczby i mocy tej, która tu przełamała barbarzyńców potęgę?

Po górach pasą się stada owiec strzeżone przez pasterzy uzbrojonych w ten sam kij co Parys w *Pięknej Helenie*. Znowu gaj oliwny, ten już przy wjeździe do miasta tajemnic. Przez gałęzie widzi się morze lazururowe i Salaminę. Potrawa godna smakosza. Przy drodze studnia Hadriana świadczy znowu o miłości tego cesarza dla Aten i Attyki. Eleusis bowiem, ściśle zespolonemu z Atenami, zbywało na wodzie słodkiej, i on nią miejsce święte obdarzył.

Na całej przestrzeni Grecyi, umarli wlewają w żyjących życie. Bardzo obecnie rozwiniętymi są poszukiwania i wykopaliska. Dzięki natchnieniu Schliemanna,

umiejętnej pracy *Szkoły francuskiej* w Atenach i chwalebny usiłowania uczonych towarzystw greckich, co chwila odkrytą jest jakaś część starożytnej przeszłości, wydobywane są arcydzieła architektury i rzeźby i odsłonięte szczegóły świata pogańskiego a tak zmartwychwstała Grecja, czerpie w umarłej świeże warunki bytu i wdzięk. Ziemnym robotom w Eleusis zawdzięcza się odkrycie całej budowy tej tajemniczej tajemnic świątyni. Propilee na wzór akropolskich przez Rzymian do świątyni przydane, to jakby wyrzut sumienia, który po tylu rabunkach zniewolił ich podtrzymać świetność Eleusis i połączoną z nią Aten. Ale nad szczątkami sztuki i wiary greckiej, nad wspaniałościami rzymskimi górują i królują w tym miejscu dziwna, niewypowiedziana piękność i powaga przyrody. Cały ten uroczy nad wszelki wyraz zakątek między morzem a ziemią, jakby stworzony dla obrzędów tajemniczych, nie strasznych, nie przerażających, nie trwogę wzbudzających, jeno łagodnych, wdzięcznych, uspokajających, poganizmu. Krajobraz ma w sobie coś niezbadanego, ale błogiego; miejsce to przez wyższą potęgę przeznaczone dla obrzędów greckiej trójcy, dla bogów, piękna i zabawy. Nastraja i podnosi ducha niesłychany spokój przyrody i jej cichość; majestat tego spokoju i tej cichości, majestat słońca i czar przeźroczyściego powietrza upajają, ale tak, iż czuje się chęć wzniesienia prośby do bogini tych miejsc, aby zawsze łaskawą była dla niw polskich.

Świątynia wykuta w ten sposób, że się tajemnice odbywały wśród lasu kolumn, między morzem a skałą.

W dziedzińcu strażnika przesłiczone szczątki rzeźb tu znalezione; pyszny posąg Antinusa, ale z uszkodzonym nosem. Antinous bez nosa! Na imnie muzea szczątków i uszkodzonych posągów, sprawiają wrażenie zakładów niewyleczalnych.

Z powrotem używa się przez długi czas za pomocą umiejętnie prowadzonej drogi, widoku przystani Eleusis, oraz Salaminy i otaczających je piękności. Raptem przy szczątkach pomnika słynnej zalotnicy Pythinoce, wystawionego przez bankiera przeniewiercę, coś niezwykłego cię uderza. Ujrzałeś Ateny — nie, ujrzałeś Akropolis — nie ujrzałeś Parthenon! Ujrzałeś dolinę ateńską, ozdobioną wzgórzami, otoczoną górami pięknymi swoją nagością jak greckie posągi i ujrzałeś nad nią wznoszący się Parthenon. Co to za dramat, dzieje Parthenonu od chwili, jak po raz pierwszy śmiała się go dotknąć bezbożna ręka ludzka, aby go zbezczęścić i niszczyć.

Jakie złowrogie przesuwają się czyny i postacie od barbarzyńców, i owego nieszczęśliwego Morosiniego, którego bomba rozdarła na dwoje świątynię Atheny, a chciwa niezręczność rozbiła najpiękniejszą jej ozdobę, do rabunków lorda Elgin, które były uwieńczeniem dzieła zniszczenia. Ale nie na tem koniec. Ten kościotrup ma w sobie więcej życia i siły, niż tysiące gmachów i świątyń nieuszkodzonych na ciele, lecz bezdusznych. I to jest najdramatyczniejszym w jego bycie.

W tych myślach pogrążony, zbliżałem się do Aten. Przebudzony zostałem raptem nagłym zwrotem koni, spłoszyły je dwa pędzące welocypedy. Co za przebudzenie! Ale zarazem dowód, że i u stóp Akropolis konie nie cierpią bicyklów.

Nie mogłem inaczej zakończyć dnia, jak wejść na Akropolis przy zachodzie słońca. I wtedy jeszcze Apollo zdaje się hołd składać i pokłon odawać *Athene Partenos*.

Widziałem przed sobą Propilee, na prawo kolumny *Olympieionu* na lewo świątynię Theseusa, nad sobą Parthenon. Na wzgórzach Akropolis stada owiec i pasterze w malowniczych strojach świadczyli, że Grecya nie wyzbędzie się nigdy znamion homerycznych.

Dziś w wielki piątek grecki, odbyła się w nocy uroczyste urządzone procesya: była dość skromna.

Król i książę Sparty z żoną, siostrą cesarza niemieckiego, nie wzięli w niej udziału, lecz przechadzali się między tłumem, na ślicznym *Placu Konstytucyi*. Królowa, córka W. Ks. Konstantego, byłego Namiestnika Królestwa Polskiego, jest w Petersburgu. Kapela wojskowa szła na czele, dalej arcybiskup bogato ubrany; wszyscy ministrowie, co mi przypomniało nasz Wydział Krajowy, gdy bierze w podobnych uroczystościach udział, wkońcu tłumy z zapalonymi świeczkami woskowemi w rękę; wszystko to przy odgłosie niezliczonych strzałów i petard, oraz kilkunastu rac. Od dzisiaj bowiem w Atenach i całej Grecyi każdy i wszyscy bez litości pukają, każdy z czego może i to aż do trzeciego dnia świąt. Procesya szła od katedry przez ulicę Hermesa, do *Placu Konstytucyi*.

Procesya do Eleusis musiała przecież inaczej wyglądać — powiedziałem sobie. Prawda, że tu ma się oczy, serce i uczucie tylko dla czasów Peryklesa.

*Ateny 12 kwietnia.*

Jadąc do Marathonu, przejeżdża się, jak to przystoi, koło zakładów wojskowych i koło koszar artylerji. Droga biegnie dalej między Pantelikiem a Mymetem; po lewej ręce wioska Heraklion, niemiecka osada z czasów króla Otona; u stóp Panteliku pałac księżnej Piaccency, która tu wiele rozpoczęła budowli, prawie żadnej nie dokończyła. Uświetniała ona pierwsze lata wyzwolonych z niewoli Aten, wraz z jedną z licznych, nie politycznych zdobyczy, słynnego ministra austriackiego ks. Feliksa Schwarzenberga, z ową lady Ellenborough, nad którą piorunujące, bo za pierwszym spotkaniem, odniósł on zwycięstwo a która pod namiotem pięknego Araba, znalazła przystań po burzach na wszech morzach uczucia i namiętności. Na skrócie wznosi się odwrotna strona Hymetu skalista. Hymet okryty dziś



chmurami, obecnie także dostarcza miodu, który dziwnie silny ma zapach, chociaż znajomy mój Francuz, zaręcza, że szukał na nim pszczoł i nie znalazł ani jednej. Ja wiem tylko tyle, że miód, który podają w *Hôtel de la Grande Bretagne*, nadzwyczaj jest smaczny i może być przez poetów opiewany. Przejeżdża się przez las oliwny, należący do klasztoru, położonego pod Pantelikiem. Po dwóch godzinach jazdy powóz się zatrzymuje, jest to przeprząg w lesie szpilkowym nad strumieniem, przy śpiewie niezliczonych słowików i wszelkiego rodzaju ptaków, oraz skrzeczenia żab, może Arystofanesa.

Droga dotąd była wybora, bity gościniec. Wogóle drogi w okolicy Aten są wyśmienite i nie powstydzilby się ich był Władysław Badeni. Od przeprzągu droga budowana kosztem rządu, lecz nie skończona, jest gorszą i dość ciężką. Pochmurno było, co zaraz zmienia tu niekorzystnie krajobraz; więcej niż gdziekolwiek, wymaga on i jego góry — oświetlenia słonecznego. Jedną z niezwykłych, przejmujących tu rzeczy jest niesłychana cichość przyrody. Jechałem wśród niej, czas był posępny, okolica nieco dziką i pustą zupełnie, nigdzie mieszkań ludzkich, nigdzie wsi ani przecho-dniów, ani pasterzy. Znaczna sprzeczność z drogą do Eleusis: surowsza przyroda, ostrzejsze kształty a i powietrze ostrzejsze niż wczoraj; tam słońce przyświecało, tu deszcz padał. Tędy biegł dzielny żołnierz, co oczekującym u bramy miasta Ateńczykom, doniósł o zwycięstwie i padł nieżywy. Mój woźnica zaręcza, że biegł nie tą drogą, którą jedziemy, ale przez wznoszące się nad nią góry. Gdy się je widzi, pojmuje się, iż padł nieżywy, przebywszy je cwałem.

W miejscu najdzikszem i najbardziej odosobnionem woźnica zatrzymuje konie, zsiada z kozła i w ten do mnie sposób przemawia: Tu rozbójnicy przytrzymali dwa powozy z Anglikami, panie puścili na wolność, mężczyzn uprowadzili ze sobą, a że to znaczne były osoby,

król i rząd dołożyli wszelkich starań, aby ich wydostać. Ofiarowano znaczne pieniądze, przyjąć ich rozbójnicy nie chcieli; żądali ułaskawienia za wszystkie mordy i zbrodnie. Tego nikt nie mógł i nie chciał im dać. Długo naradzano się w Atenach, jak ich pochwycić, bez narażenia więźniów; chciano wysłać przebranych żołnierzy; ówczesny minister wojny sprzeciwił się temu i wysłał tysiąc żołnierzy uzbrojonych i umundurowanych. Gdy rozbójnicy ujrzeli się otoczeni, ustawili przed sobą Anglików i roztrzelali — jeden umknął; jak, nie wiem i nie pojmuje.

„Ależ przyjacielu odpartem po chwili, czy nas nie może spotkać podobny los“? Spojrzał się mój woźnica na mnie, oglądnął wkoło siebie i rzekł:

„Nie. Teraz możesz pan po całej Grecyi podróżować, a nie znajdziesz na lekarstwo rozbójnika. To, co opowiedziałem, działo się w 1870 r. Odtąd bardzo ostra ustawa uchwalona, tam, przez izbę, nakazująca pod najcięższymi karami wszystkim bez wyjątku obywatelom, śledzić, ścigać, chwycać i wydawać rozbójników, położyła koniec rozbójnictwu. Ale tam u góry, jak tylko przekroczy się granicę turecką, można być pewnym, że się natychmiast spotka rozbójników“.

I tak jest istotnie, jak mówił woźnica; do wielkich postępów tego kraju zaliczyć trzeba wytopienie rozbójnictwa, istnej ongi plagi tych okolic, tak wybornie przez About opisaney. Pomimo przeświadczenia o tem, pomimo zapewnień woźnicy, przyznaje, że dzikość miejsca i krajobrazu groza, że to sam na sam z furmanem, który zresztą wcale dobrze mówił po francusku, ale który, jak się to dawniej działo, mógłby być w zмовie z rozbójnikami, nasuwały mi, jeżeli nie prawdopodobieństwo, to przynajmniej możliwość niemilego spotkania. Wczoraj, opowiadano mi wypadek jeszcze straszniejszy, ale który się zdarzył także przed kilkumastu laty. Stało się to na drodze do Eleusis: rozbójnicy napadli w nocy do-

mostwo, wyrznęli całą rodzinę i służących, aby zatrzeć ślady spalili wszystkie zabudowania.

Raptem krajobraz rozweselił się i roztoczył się przed oczami widok na morze Egiejskie i kończynę wyspy Eubei; po prawej piętrzyła się ta część Panteliku, która się zwie górami Marathonu. Na całej przestrzeni od przeprzągu do morza spotkałem jedynie osła, na którym siedziały dwie dziewczynki i — psa. Psa mądrego wielce; po chwili bowiem znalazł się przy powozie, a woźnica oddając hołd jego sprytowi, opowiedział, jak codziennie czeka na drodze do Marathonu powozów z Anglikami, aby uczestniczyć w śniadaniu, które się spożywa opodal kopca walecznych, a które się w koszyku ze sobą przywozi. Wytrwałość psa jest tem dziwniejsza, że wycieczka do Marathonu jest rzadkością i tylko dwudziesty procent podróżnych ją podejmuje. Nie był to pies Alcybiadesa, bo nie miał uciętego ogona, ale może był to pies z *Podróży po Galilei*, Tarnowskiego, który sam jeden w sierpniu przelatuje przez pusty rynek krakowski zapewne aby podążyć do — drugich Aten!

Niebawem ujrzałem plac boju; w głębi ładnie zabudowaną wieś z pałacykiem pana Skouses, właściciela Marathonu o niespożytej sławie, słynnego dziś z wybornego wina. Brata i bratową pana Skousesa miałem przyjemność poznać w Atenach i byłem przyjęty w ich domu z uprzejmością i gościnnością, którym wdzięczną zachowam pamięć tem miłszą, iż znalazłem się tam jakby w paryskim lubwiedeńskim towarzystwie.

Przystań Marathonu roztacza się wśród krajobrazu o ostrzejszych o wiele kształtach niż te, które okalają Eleusis. Eleusis jest poetyczniejszem, Marathon ma w sobie coś marsowego jak gdyby Grecy ówczesni umieli na wszystko właściwe obierać miejsca. Pełna chwały równina rozciąga się między morzem a górami. Wyobrażeniu dzisiejszej wojny, zwłaszcza przyszłej, nie odpowiada ona, ale ówczesne zastępy choćby liczne,

mogły na niej wygodnie stoczyć krwawą i roztrzygającą walkę.

Aczkolwiek z pochodzenia barbarzyńiec, odczułem głębokie zadowolenie i dumę, że pokonaną tu została potęga barbarzyńców i że odniesione nad nimi zwycięstwo dopomogło do zasłonięcia cywilizacji, z której tyle piękna i tyle mądrości spłynęło na przyszłe stulecia. Na równinie stoi wysypany przez Ateńczyków kopiec, w którym pochowani zostali polegli bohaterowie greccy. Kościuszko ma kopiec wspanialszy, chociaż nie przełamał potęgi barbarzyńców. Jest zwyczaj, iż na szczycie zdejmuje się kapelusz. Schliemann chciał w kopcu robić poszukiwania, lecz rząd słusznie nie pozwolił, obawiając się, aby w zapale całkiem go nie rozkopał. O pięćdziesiąt kroków jest straszna rudera, przy której popasa się w towarzystwie znużonego psa. Tu miał dawniej stać pomnik z marmuru, wzniesiony ku pamięci Milycadesa.

Znany jest ustęp Herodota o bitwie pod Marathonem.

„Skoro raz Grecy ruszyli z miejsca, biedz poczęli, ośm stad i pół odzierało ich od Persów. Gdy ci ujrzeni, że nadbiegają, przygotowali się ich przyjąć; mniemali, że oszaleli i byli przekonani, że zdążają ku zupełnej zgubie, gdyż byli nieliczni; aby zastąpić konnicę oraz łuczników, biegli wszyscy. Tak myśleli barbarzyńcy. Ale kiedy Ateńczycy w całej pełni dobiegli do barbarzyńców, dzielnie walczyli, gdyż o ile wiem, pierwsi oni z pomiędzy Greków, uderzyli w biegu na nieprzyjaciela; pierwsi oni znieśli widok stroju Medów i ludzi weń ubranych. Do owej chwili samo już nazwisko Medów było postrachem dla Greków. Walka długotrwałą była“.

Zawsze to samo. Dziś także dla świata cywilizowanego samo nazwisko Meda jest postrachem i boi się on stroju Medów oraz ludzi, którzy go noszą a nie chce im śmiało w oczy spojrzeć i ociąga się i oddala chwilę w której spojrzeć trzeba będzie może już nie

pod Marathonem ale pod Termopilami. Prawda, że nie dość spojrzeć w oczy barbarzyńcom, trzeba umieć; a nie każdy, który spojrzy, pokonać ich zdolny.

Jak Eleusis przedstawia jedną stronę życia greckiego: religijną, tak Marathon uosabia drugą: bohaterską i historyczno-legendową. Grecy umieli nie tylko spełniać wielkie czyny, ale zwłaszcza upiększać i uwieczniać je, przemieniać w legendę. Nie dość jest dokonać dzieła lub czynu znakomitego, potrzeba jeszcze talentów, które je unieśmiertelniają; ale niepospolite czyny stwarzają talenta.

Wracając z Marathonu, już niedaleko Aten spostrzega się przez chwilę brzeg Parthenonu i tylko ten brzeg się widzi. Po raz pierwszy ujrzałem piękną Greczynkę i to amazonkę, córkę jednego z najzamożniejszych tutejszych bankierów. Ale pierwowzór starożytnej kobiecej piękności greckiej, stanowczo zaginał w Atenach.

Przy wjeździe do miasta spotkałem inny zupełnie pierwowzór, bo pana Onou, rezydenta rosyjskiego, na koniu, który nie miał najmniejszego pokrewieństwa z rumakami Parthenonu, ani z wierzchowcem Aleksandra W. Uroczą amazonka przelamała zdaje się lody, gdyż w godzinę potem poznałem w jednym z domów tutejszych, dwie Greczynki bardzo ładne, bardzo miłe, przedstawiające zwyczajsko i świetnie nowoczesne wdzięki helleńskie.

Między trzecią a piątą przesuwa się codziennie u baronowej Kosjek tutejszy świat grecki, dyplomatyczny i coraz liczniejszy podróżnych. Pani domu urodzona nad Bosforem, umie gościnnemu i europejskiemu przyjęciu nadać odcień, dający przedsmak Wschodu, zna go aż do Persyi i barwnie opowiada jego świetności i nędzy. W jej rozmowie Teheran ożywia się, postać szacha przedstawia się nieco inaczej i korzystniej, niż w jego zbyt znanych po naszej części

świata podróżach. Umie on rządzić swoim państwem i wprowadzać z miarą konieczną, ulepszenia; umie żąglować wśród skal, różnych zewnętrznych wpływów i współzawodnictw. Może rozśmieszać lub gorszyć Europę, ale u siebie, w Persyi, jest panem, słuchanym i szanowanym i posiada potemu nietylko potrzebną władzę, ale i rozum. Nadzwyczaj w tamtych stronach i obyczajach wyjątkowym jest stosunek szacha do sultanki bogdanki, tej, która udaje się obecnie do Wiednia po poradę lekarską; jest to stosunek oparty na prawdziwym i głębokim przywiązaniu do kobiety niepospolitej i pod każdym względem wyższej. Pomimo już nieco podeszłego wieku szachowej — rzecz rzadka przy przywileju oddalania żon dotkniętych zębem czasu i zastępowania ich pięknosciami w rozkwicie — król królów pozostaje pod wpływem i pewnym urokiem tej, która umiała zapanować nietylko nad jego sercem, także nad jego umysłem i wolą.

Pani Kosjek mniej niż ja podziwia tutejsze słońce. „Łatwo panu mówić, dodaje, o tem słońcu, wybrałeś najlepszy miesiąc, w którym używasz jego piękności, a nie czujesz strasznych nieraz dokuczliwości. Ale chciałabym pana tu widzieć, poczynawszy od czerwca do jesieni. Co za gorąco, i co za kurz! A niema gdzie przed nimi się schronić. Wtedy ustaje wszelkie podczas dnia życie, i wiecór nieraz ulgi nie przynosi“.

Ciągła pukania, potęgująca się coraz bardziej, trwa przez dzień cały. Jest to zwyczaj pochodzący od czasów chrześcijańskich, który nigdy nie dał się wykorzenić. Wśród tego nieco rozstrajającego hałasu, składam pokłon Akropolis, która już jest zamkniętą. Stałem przed Propyleami i widzę przed sobą Parthenon; wysuwam się nieco na prawo i widzę kolumny *Olympieionu*, zwracam się na lewo i dostrzegam w dali *Theseion*; znajduje się wobec trzech arcydzieł archi-

tektury, pozostałych z greckiej starożytności, wśród ram najwdzięczniejszej przyrody.

Whist, z dygnitarzami u ministra oświecenia publicznego i marynarki zarazem, Theotoki, który uśmiecha się z chwilowego połączenia tych dwóch niezbyt pokrewnych tek, zakończy dzień. Panowie ci mili, a jak niemal wszyscy tu, należący do dobrego towarzystwa, mają oglądę i spryt. Są przy orderach, gdyż o dwunastej w nocy udają się do katedry na uroczystość Zmartwychwstania, w której król i rodzina królewska wezmą udział.

*Ateny 13 kwietnia.*

Dziś pierwszy dzień Wielkanocnych świąt greckich, które trwają trzy doby; uroczystość wielka, nikt z domu nie wychodzi, jeno każda rodzina zjada tradycyjne jagnię. Piecze się ono na kiju także w mojej doskonałej gospodzie. Pukanie wzmaga się z okien i w dziedzińcach; puka każdy jak może i z czego może, ten ze strzelby, ten za pomocą petard, których łoskot obija się o marmury Parthenonu. Akropolis otwarta dziś tylko od 11–12. Przechadzka pod kolumnami Parthenonu. Z każdej strony czworoboku używa się odmiennego a coraz wspanialszego widoku, to na morze, to na góry. Dolina ateńska z lasem oliwnym i sterczącą skałą Lykabetoss upuszczoną w biegu przez Pallas, roztacza się pod nogami. Na jednej z kolumn dostrzegam wydłubane nazwisko Benoit. Co za głupie zuchwalstwo, co za dzika myśl, umieścić swoje nazwisko na kolumnie Parthenonu i to jeszcze nazwisko — Benoit! Ostatni to barbarzyńiec, który ośmielił się dotknąć i znieważyć świątynię Atheny.

Zwiedziłem Phalareon i Peiraiens. — Pireus wzrósł w ostatnich czasach i wciąż rozrasta się, podczas gdy jednocześnie Ateny, które lat temu kilkanaście liczyły

czterdzieści tysięcy mieszkańców, mają ich teraz sto tysięcy pełna. Pireus jeden z najwspanialszych w świecie portów, tak dobrze rozmiarami, jak pięknnością kształtów, otoczony górami, z widokiem na Salaminę i Ateny, tłumaczy dawne powodzenia osadowe i handlowe Aten, świetność ich polityczną i potęgę morską, oraz te bogactwa, które pozwoliły tyle arcydzieł, z takim wystawić sumptem. Kto posiada ten port może marzyć nie tylko o przeszłości, także o przyszłości. Dzień uroczysty i wiele okrętów wszelkich krajów i narodów, ozdobionych chorągwiemi i festonami, kąpie się w lazururowem morzu. I tu towarzyszy ci wytrwała pukania. Piękna droga wiedzie z Pireusu do Aten, częściowo cieniasta, co wielką jest tu rzadkością. Jest chwila, w której z tej drogi widzi się Parthenon, a warto ją uchwycić. Przejeżdża się wreszcie koło Kerameikosu, a tu wysiadłem, aby odwiedzić dwie siostry Demetrie i Pamfilie. Oprócz drogi kołowej, Pireus połączony jest z Atenami koleją żelazną, tramwajem i telegrafem, jak niegdyś murem Themistoklesa.

Po powrocie przypatrywałem się zabawie pułku góralskiego na placu przed pałacem królewskim; wykonywał taniec narodowy, nicpodobny do żadnego innego; tworzy się łańcuch zespolony rękami, prowadzi kolejno cały zastęp postępujący rytmicznie przewodnik, niby naczelnik chóru, w dziwacznych susach; towarzyszy nie muzyka ale śpiew tańczących. Płasy te są dość jednostajne a nowocześni Grecy strasznie piszczą.

Już teraz między godziną 12 a 4 upał staje się dokuczliwym dla syna północy, i pojmować poczynam żal pani Kosjek do przenikających wszystko promieni słońca tutejszego. Ranki jednak i noce są jeszcze chłodne i przyjemne. Zwykłą wieczorną przechadzkę odbywa się drogą idącą między pałacem królewskim i pełnym świeżości, elektrycznie oświetlonym *Placem Konstytucyi*, do kolumn *Olympieionu*.



*Ateny 14 kwietnia.*

Śniadanie wielkanocne w koszarach artylerii. W barakach umajonych, długie stoły dla żołnierzy, przeplatane mniejszymi, w kwiaty ubranymi, dla oficerów. Jaja święcone różnobarwne, jak nasze pisanki, które gościom rozdają. W ostatnim baraku pieką kilkadziesiąt jagniąt na kijach, sposób ten pieczenia zwie się *à la Pallicar*. Uprzejmi oficerowie częstują wschodnim *lukumem* oraz krajową wyborną wódką, poczem wszyscy zasiadają do stołu, a ja wychylam kielich na powodzenie artylerii greckiej.

Akropolis otwarta dziś dłużej niż zwykle i można doczekać się na niej zupełnego zachodu słońca bez wyjątkowego pozwolenia.

Usiadłem na marmurze połamanym, miałem za sobą Propilee, na lewo Erechtheion z karjatydami, na prawo Parthenon. Panowała uroczysta cisza właściwa tutejszej przyrodzie; łeb lwa od rynny Parthenonu zdawał się ryczeć wśród tej puszczy kolumn i szczątków jękiem bolesnym nad tylu zniszczeniami, to znowu hymnem tryumfu, iż pomimo tylu zniszczeń to wszystko i on, królują jeszcze.

Wstałem po chwili i obchodząc Erechtheion, ujrzałem karjatydy w szlachetnych postawach; widziałem tylko kształty ich ciał, a te mają w sobie siłę czaru. Budowa statuy ma więcej w sobie mocy niż rysy twarzy. Układ włosów, korony którą przyroda ozdobiła kobietę, u karytyd jest niezrównany; sądząc po koronie, wiedzieć można, iż są to potężne monarchinie.

Powiedziałem, że kobiet o kształtach karjatyd nie spotyka się w nowoczesnych Atenach; wogóle mało się ich widzi na mieście, żyją w domu, nieco wedle zwyczajów wschodnich, ale w salonach poznaje się przyjemne, ożywione i doskonale rozmawiające panie.

Skarb kraju, jak dziś wszędzie nie świetny i tu go podkopuje zbrojny pokój; świadczą o tem papierki dziesięcio-drachmowe, rozdarte na dwie części, z których każda przedstawia pięć drachm, a przypomina, na szczęście, dawno już minione w Austrii czasy, które dzięki Dunajewskiemu, nigdy prawdopodobnie nie powrócą.

*Ateny 15 kwietnia.*

W Megarze była dziś coroczna uroczystość. W trzeci dzień Świąt Wielkanocnych, we wtorek, odbywa się tam kiermasz w połączeniu z tańcami narodowymi, które wielkiej używają sławy i ściągają licznych widzów zagranicznych, oraz z Aten i okolicy. Są to słynne tańce dziewięć Megary, której ludność zachować miała najczystszej, przynajmniej najmniej skażoną obcą przymieszka krew grecką, oraz której niewiasty, mają być pierwowzorami starożytnej piękności.

Splecione rękami i ramionami przypominają w sposób uderzający płaskorzeźby świątyń i naczyń starożytnych; płaskorzeźby Parthenonu przedstawiające uroczystości Panatheneen, co w połączeniu z rytmicznym tańcem, nie pozwala powątpiewać, iż płasy te sięgają czasów pogańskich, nawet pięknego okresu. Zresztą, tańce jednostajny, zawsze ten sam, śpiew dziewcząt, które przy nim bez muzyki wykonywują go, jest piskiemi; chociaż ci, co go rozumieją, twierdzą, że w zwrotkach jest dowcip i poezya. Obraz w każdym razie ładny i zajmujący. Kolejno każda z niewiast prowadzi łańcuch, który nigdy nie zamyka się i nie przemienia w koło. Nareszcie ujrzałem tu żywy pierwowzór piękności greckiej. Rysy klasyczne, nawet i budowa posągowa, chociaż strój nie odrysowuje kształtów ciała; wiele, bardzo wiele pięknych greckich nosów. Prawdzi-

wych bez zarzutu piękności naliczyłem trzy, ale te mogłyby służyć za wzory jeśli nie Fidiasowi to Praxytelesowi. Trzy wśród tylu tancerek, powie kto, to nie wiele. Lecz przecież i dawniej w Grecyi nie wszystkie kobiety były pięknymi, nawet prawdopodobnie, jak wszędzie tak i tam, brzydkie były liczniejsze; tylko zaślugą artystów ówczesnych było, że umieli brać wzory z piękności doskonałych. Szaty narodowe bogate, nawet bardzo bogate, zdobią tańczące niewiasty; niektórymi szczegółami, przypominają, lecz nie wiele, klasyczny strój. Tańce odbywają się zrana pod skałą, wśród cudnego krajobrazu opodal morza, na skalistej drodze; po południu na placu publicznym Megary. Podziwiać je tylko można, bowiem nawet zbyt żywy wyraz uznania dla tancerek, wywołać by mógł groźną burzę zazdrości, jak to się przed paru laty stało, kiedy dwóch cudzoziemców, którzy zbyt zapalczywie oklaskiwali tańce czy tancerki, co tylko nie ukarano ostracyzmem za pomocą *argumentum ad hominem*. Zazdrość w tych stronach kwitnie jeszcze w najlepsze, przyczyną jej główną podczas corocznej uroczystości, iż ona służy zarazem za rodzaj swatów; tu, w dniu tym, młodzieńcy wybierają towarzyszek życia i słowo zamieniają. Zresztą tańce odbywają się bez innego bodźca, jedynie z zamilowania do nich gorącego, które wśród dokuczliwego upału podziwiać przychodzi. Widzowie nie tylko nic nie płacą, ale nawet każda próba datku z ich strony dumnie jest odepchniętą.

Naczynia o kształtach starożytnych, amfory, rozpowszechnione w Megarze, podnoszą urok uroczystości, zwłaszcza w oczach cudzoziemców. Wybrałem się koleją żelazną w licznym ateńskim towarzystwie; całe niemal Ateny podążyły na uroczystość oraz ciała dyplomatyczne, panowie Onou i Montolon, dygnitarze i ministrowie. Pospieszne pociągi przywoziły gości ze stolicy i okolicy. Wracając ujrzałem w oknie domu

ulicy *Stadion* piękność nielada, najpiękniejszą Greczynkę, jaką dotąd widziałem; przypomina głośny portret głośnej w Polsce Greczynki. Jednocześnie pod Akropolis odbywała się zabawa ludowa, na której zakończenie zdążyłem jeszcze.

*Ateny 16 kwietnia,*

Świadectwem nowego życia, które Grecya czerpie z umarłych, są muzea ateńskie. Ładnie, w odpowiednim jak wszystkie tu niemal gmachy — kształcie wybudowane, zawierają skarby, chociaż niestety wiele kalek, których liczba wciąż się zwiększa i zwiększać się będzie, za pomocą ciągłych poszukiwań w całej Grecyi i na wyspach. Schliemann, obdarzony genialnem natchnieniem, dał swojemu początkowaniem i wytrwałością w znacznej części, pochoptej pracy, i nietylko świat cały i Niemcy, ale także Grecya, wiele mu zawdzięczają. Ubogi za młodu, trudnił się na podrzędnym stanowisku handlem; powziął myśl poszukiwań na wielką skalę, czytając Homera. Dziś zdobył sobie sławę, majątek i zasługę. Jest w tej chwili w Troi, gdzie w swoim państwie, przyjmował księcia Neapolu; pozostaną mi żal oraz brak, że go nie poznam.

Wykopaliska Myceny, zebrane w jednym z muzeów Aten: *Polytechnikon*, to świat grobów, oddany nauce, ciekawości i podziwowi ogółu, jak Pompeja jest grodem starożytności, odsłoniętym przed nami. Świat nietylko zajmujący, ale zdumiewający przeświadczeniem, jakiego się nabiera o istnieniu już w tak odległych czasach, niezwyklej cywilizacyi, oraz zamożnych, nawet bogatych społeczeństw i ich ściśle homerycznych znamion. Złota tu jest do zbytku, srebra, alabastru także. A najpierw złote maski, któremi pokrywano twarze umarłych, są ich wizerunkami; na jednej widać

nawet wasy. Najwięcej stosunkowo czar złotych, srebrnych, alabastrowych, które przypominają obfite libacye homeryczne. Korony złote, z których jedna kobieca pyszna; diademata królewski nadzwyczaj ozdobny; miecze o złotych rękojeściach, na nich wryte zwierzęta, najczęściej lwy w biegu pełnem siły, życia i prawdy — te zwierzęta w pędzie, są jednym z najciekawszych szczegółów. Pierścienie z wrytymi zdarzeniami bogów i ludzi, służące za pieczęcie; złote sprzączki i naszyjniki; zgrabne naczynia pokrewne amfory, a pomiędzy niemi waza w kształcie jelenia z ogromnemi rogami, znamienna, niezwykła; głowa krowia przepiękna jako wyraz, ze złotemi rogami; złoty flakon, istny klejnot; wazon z alabastru większych rozmiarów; jajo strusie z porcelany egipskiej. Uderza bogactwo uzbrojeń rycerskich i złotych pancerzy. Środkowa szyba zawiera dwa szkielety ze wszystkim co w grobie znaleziono; rzecz niezawodnie wielkiej wagi dla nauki, lecz może mniej zajmująca niż inne, chociaż główne zajmuje miejsce. Cennemi niezmiernie są wzory ówczesnych świątyń, w złocie wyrzeźbione.

W *Polytechnikonie* znajduje się bogaty w wyborowe przedmioty zbiór egipski; dar Greka zamieszkałego nad Nilem, nowe świadectwo patryotyzmu, przywiązania i pamięci o ojczyźnie, Greków rozproszonych po całym świecie i łączności osad greckich z Atenami. Zajmującym jest tu dział tworów wykonanych w Egipcie, przez greckich artystów, do nich należy „Satyr tańczący“; taki sam, jak słynny znaleziony w Pompei, tylko, że temu brak jednego ramienia i że, zdaje mi się, niższym jest nieco od tamtego, pod względem wytrworności roboty, zwłaszcza wyrazu twarzy.

Nareszcie *Polytechnikon* zawiera zbiór tak zwanych Tanagra i niepospolite w tym rodzaju piękności; tak jest on ustawiony, iż uwidocznia: dzieciństwo, postępy i rozkwit tego kunsztu, który przechodził przez te same

przemiany co wielka sztuka. Na posążkach tych, są widoczne ślady farb, nie zawsze szczęśliwie dobranych. Zabawne są gry dziecinne, między innymi w konia, niemniej postacie aktorów którzy już wtedy, dla wywołania wesołego wrażenia, wypychali sobie brzuchy.

Baron Sina jest także dowodem łączności, do której Grecy wzbogaceni za granicą, poczuwają się z ojczyzną i Atenami. Był on wspaiałomyślnym dobroczyńcą nowoczesnych Aten; zawdzięczają mu kilka pięknych, kosztownych gmachów, w budowie których szczęśliwie zastosowano klasyczny kształt — i to w sąsiedztwie Akropolis. Do najudatniejszych naśladowań tego rodzaju, należy gmach Akademi, wzniesiony kosztem Siny, cały z marmuru, ozdobiony znośnemi posągami Atheny i Apollina, Sokratesa i Platona tego z tym samym wyrezem twarzy tycyanowskiego Chrystusa, co brązowe popiersie w Muzeum Neapolitańskim i posągami — Siny, umieszczonym w wielkiej izbie posiedzeń.

Przypisać trzeba słońcu i powietrzu przyjemne wrażenie, jakie sprawiają tutaj nowe gmachy w starożytnym kształcie.

Oddawałem dziś pożegnalne odwiedziny, najpierw miłemu i uprzejmemu panu Dragomis, ministrowi spraw zagranicznych; miałem do niego list od brata, posła greckiego w Wiedniu, którego łaskawej opiece zawdzięczam wiele tu przyjemnych znajomości i wiele ułatwień. Pan Dragomis urzęduje w skromnej kamienicy, przypominającej nasze Rady powiatowe. Być może, że niebawem zewnętrzne sprawy Grecyi, wymagać będą wspaialszego gmachu, wtedy niezawodnie znajdzie się bogaty Grek na wyspach lub w osadach, który obdarzy nim stolicę. Pan Dragomis dzierży także tekę spraw wewnętrznych i złożyłem mu szczere powinszowanie z powodu stanu dróg.

Dziwne są tu warunki życia publicznego. Połączone są w nich pierwotne obyczaje z wymaganiami posunię-

tych naprzód cywilizacyi, a podstawą jest najczystsza demokracja. Wybory są stosunkowo równie kosztowne jak w Anglii lub w Ameryce; przytem poseł, nawet kandydat musi być w swoim okręgu wyborczym ojcem chrzestnym i drużbą w nieskończoność; stwarza to patryarchalne węzły. P. Dragomis, który jest deputowanym z Megary, jest tam ojcem chrzestnym i drużbą kilkanaście razy.

Bądź co bądź ci Grecy i ta Grecja zdają się mieć na Wschodzie przyszłość, bo naród to na nim najbystrzejszy, najbardziej wykształcony i najwięcej cywilizowany; liczny w tych stronach, rozgałęziony wszędzie, dzięki dawnemu zmysłowi kolonialnemu i handlowemu; posiada tradycję sięgającą do wielkich i pięknych czasów Grecji. Naród to w pełnym postępie, nad którym panuje, choć ściśle konstytucyjnie, król dobroczynny, popierający każdy rozumny postęp, oraz usiłowania odbudowania pełnej chwały starożytności; naród wreszcie, który posiada w Trikupisie prawdziwego męża stanu; oby umiał go szanować i utrzymać przy władzy wbrew całej zgrai przeciwników, jak wszędzie tak i tu czekającej niecierpliwie na chwilę, w której przyjdzie znowu na nią kolej, zajęcia miejsc i stanowisk. Są tu żywiły przyszłości zatem, byle ich nie zniszczyły wady i narowy, które do upadku doprowadziły Grecję, gdy była piękną i sławną.

*Muzeum Narodowe* czyli środkowe, zawiera wyłącznie rzeźby; najpiękniejsze niestety, w większej części, uszkodzone z wyjątkiem działu grobowców, niezmiernie bogatego i to w dzieła dobrze zachowane. Są tu liczne utwory archaiczne, nad którymi jako nieznawca, zatrzymać się nie będę. Ale stanę jak wryty przed rycerzem z Marathonu, płaskorzeźbą, która uczy, dla czego odniesionem zostało zwycięstwo.

Niezbyt dawno znaleziono dwie podobizny Fidiasa Athene Parthenonu; jedną mniejszą, drugą większą,

z marmuru, dokładna. Ta jest z czasów rzymskich, „Zwycięstwo“, które Athene w prawej trzyma ręce, ma utraconą głowę, przecież w ruchu ciała tego posążka, jest zamach wygranej nad wszelkimi wrogami, jest wyraz zwycięstw bez liku.

Dwa posążki Pallas walczącej, mają zalety nieslychanego ruchu i pędu; zdaje się, że bogini przerzyna powietrze i zmiata wrogów. Na pulkach znajdują się trzy posążki „Zwycięstwa“, znakomite. Syreny są pięknymi jako dzieła sztuki, ciekawymi jako twory wyobraźni. Tułów rycerza walczącego i pochylonego, niezmiernie wymowny, chociaż bez głowy i rąk: widzi się i czuje, że powalił przeciwnika, że zwyciężył; przypomina gladiatora w Louvre. Dwie płaskorzeźby, przedstawiające tancerki w pędzie, upojone tańcem, nasuwają na myśl cały szereg niezrównanych bachantek z Pompei. Posąg młodzieńca o pięknej greckiej głowie, w postawie mowcy, ze słicznie zawieszoną na prawem ramieniu szatą. Neptun potężny, lecz nieco z grubsza wykonany.

Królem jednak tutaj jest Hermes, najwidoczniej pokrewny Hermesa Praksytelesa; bez ramion jak Wenus z Milo, nieco znużony, po tylu trudach i pracach, które mu codziennie wyznacza Zeus: ale znużony nie po ludzku, po bosku.

Najbogatszym jak już powiedziałem jest dział nagrobków. Jakie wdzięczne zdarzenia rodzinne! Ludzie na tych grobowcach czują żal szczerzy, niekłamany, serdeczny a nie grany, głęboki a prosty; żal bez szumnych słów. Błogi panuje spokój, skutek śmierci bez strachu.

Dużo w Muzeum tem jest rzeczy, nieustawionych; jeszcze jest tu nieco w tej chwili rozgardyaszu, ale niebawem będzie to perła i rozwinie się pod opiekuńczym duchem dobroczyńcy Aten, dotąd tu czczonego cesarza Hadriana, którego niezwyklej piękności popiersie, znajduje się w przedsiönku.



Ostatnią godzinę mojego tu pobytu spędziłem w tem Muzeum. Lecz Ateny wtedy się dopiero żegna, gdy po raz ostatni widzi się zdala Parthenon.

*„Austria“, statek Lloyda 17 kwietnia.*

Opuszcza się Ateny jak kochankę, z rozsądku, ale czuje się w głębi serca, że się do nich powróci. W tych krótkich chwilach widziałem Ateny i Attykę, nie Grecyę. Pokazało się, że za mało miałem czasu na Ateny i Grecyę, bo za wiele do widzenia w Atenach. Zresztą nie należy mnożyć zbytecznie wrażeń niezwykłych, bo nie gorszego i wstrętniejszego, jak odmęt pięknych rzeczy; trzeba je umieć z miarą używać. Odkrycia na całej przestrzeni Hellady, świata starożytnego, tak dalece postąpiły i codziennie postępują, dzięki także niemieckim uczonym, że dziś nie można jak dawniej, przejechać tylko przez Ateny, pokłonić się Parthenonowi i odjechać. Zatem trzeba będzie w roku przyszłym powrócić, aby zwiedzić Mycenę i jej wypróznione przez Schliemanna groby, Delfy i Spartę, przedewszystkiem Olimpię, cudowne miejsce igrzysk, które były streszczeniem ducha greckiego i jednym z dowodów poczucia jedności plemiennej, które w nim zawsze pokutowało, podczas gdy istotnej jedności politycznej nie zdołał on nigdy dopiąć. A Olimpię odwiedzić trzeba, także dla Hermesa Praksytelesa, który bezramienny jak Wenus z Milo, wraz z nią, ma być ostatniem, jeszcze wytworniejszem od niej, słowem sztuki. Pełno w Atenach jego podobizn.

Zwracam powrót na Konstantynopol, wjeżdżam zatem w inny zupełnie świat, chociaż także na Wschodzie. Wywożę wrażenie, że pobyt w Atenach jest czemś w życiu niezwykłym i rozkosznym, zwłaszcza, jeżeli nie ma się obowiązku opisywania swej podróży.

*Austria* od wczoraj wieczór, płynąc wśród ślicznej pogody i wśród klasycznych wysp, zbliża się do brzegów Azyi mniejszej i przepływa między Troją a Theodos, gdzie widzisz duchy bohaterów Homera. Pod wieczór wpływa w Dardanelle. Inne tu już oświetlenie i inne powietrze niż w Helladzie; pierwsze mniej promieniste, drugie o wiele mniej przeźroczyste a i stopień ciepła mniejszy. Rosyanie znajdujący się na statku, przypatrują się z natężoną uwagą Dardanellom i ich umocnieniom, Anglicy obojętnie. A przecież właśnie z tej strony Turcy zwolna, ale wciąż zabezpieczają swoje ostatnie schronienie, za poradą Niemców, jak twierdzą Rosyanie. Dziwne to uczucie, znajdować się między dwiema częściami świata, między Europą i Azyą a w niem tkwi nie tylko urok, ale i znaczenie i doniosłość tych miejsc i tego odwiecznego jabłka niezgody, do którego się zbliżam. Świat do którego zdążam, dla oczów moich nowy, uosabia mi rodzina muzułmańska usadowiona w trzeciej klasie statku; stary Turek ozdobny niewzruszoną powagą; otoczony krewnymi i sługami, na przemian modli się i pali fajkę, podawaną przez murzyna — dziewczę tureckie uzbrojone w niesłychaną, niecierpliwą bierność i obojętność, siedzi na pace, w tem samym miejscu, nieruchome od Aten do Dardaneli.

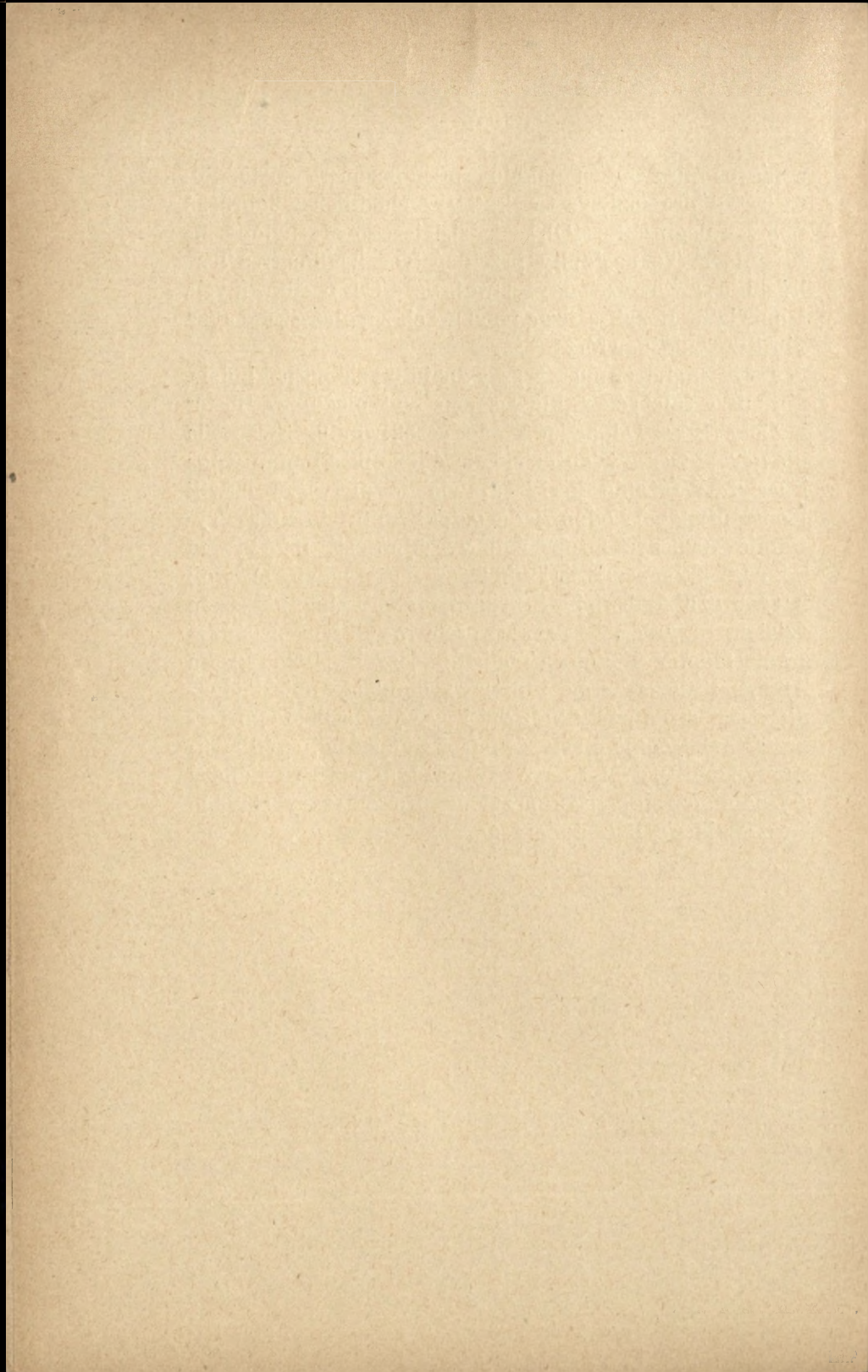
*18 kwietnia zrana.*

Statek przepływa obok San Stefano. Młody, miły, pełen ognia i zapału, Rosyanin, wojskowy pełnomocnik w Atenach, którego tam poznałem, odwraca się i nie chce patrzeć na główną kwaterę wojsk rosyjskich. Pytam zdumiony dla czego i dodaje, że pojmowałbym, gdyby się odwrócił od Berlina, ale nie od San Stefano. „Bo trzeba było wkroczyć do Konstantynopola, odpowiada,

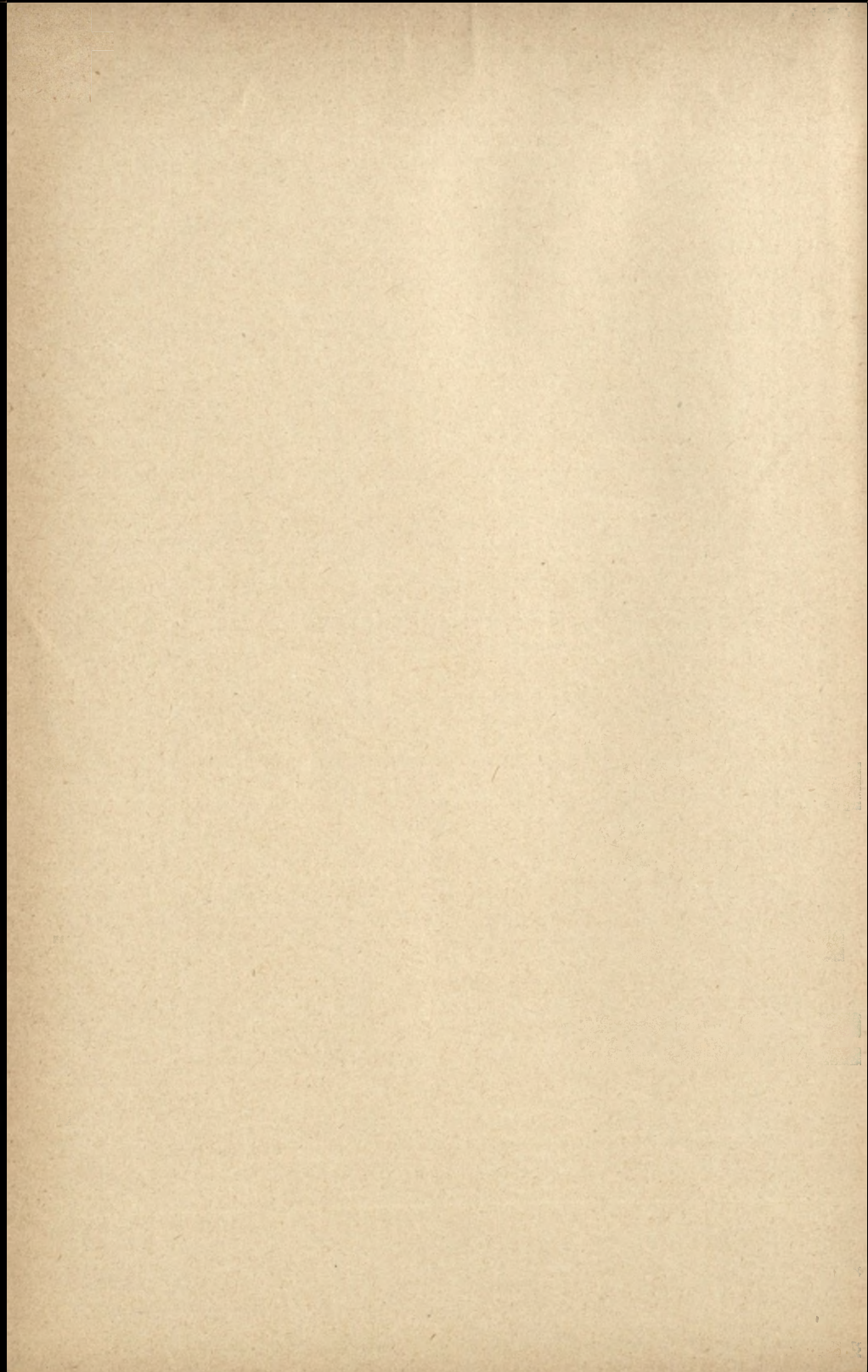
a nie podpisywać tu pokoju, przemazanego następnie; to wstyd prawdziwy, to skutek zachodnich wyobrażeń poprzedniego cara. Oh! za dzisiejszego nie byłoby się to stało“. Tu nastąpiły przekleństwa na kongres berliński a zwłaszcza na Szuwałowa. Co o nim myślą i mówią w Rosyi, sądząc po słowach zapalczego syna Moskwy, nie powtórzę.

Od piątej zrana wszyscy znajdują się na pokładzie, aby uczestniczyć w klasycznem wpłynięciu w Bosfor i Złoty Róg. Odpowiada ono oczekiwaniu. Św. Zofia nie góruje wcale w obrazie, całość jego pochłania uwagę i oczy. Wrażenie jakie sprawia w pierwszej chwili Konstantynopol, odpowiada oczekiwaniu; to które wywołuje Wenecya swoją nadzwyczajnością, przewyższa takowe. Wenecya jest najwyższem wysileniem woli i wyobraźni ludzkiej, Konstantynopol najpiękniejszym dziełem przyrody — oraz tworem wynikłym z pomieszczenia plemion i panowań najróżniejszych. Niema uroku Aten, bo nie łączą się z nim wspomnienia najszlachetniejszych stron istoty ludzkiej i najwytworniejszego wykształcenia. Zdaje mi się, że lepiej widzieć najprzód Konstantynopol, potem Ateny. W każdym razie tu kończy się odmłodzenie, tu kończą się uroczyska czasów szkolnych i przestaje się być studentem.

---



KONSTANTYNOPOL



*Konstantynopol 18 kwietnia 1890 r.*

Nie doznałem zapowiedzianego mi przy wylądowaniu rozczarowania, bo tu wszystko ma dziwne, dziwaczne, ale niezwykle piętno. Nareszcie widzi się coś, co nie jest podobnem do wszystkiego innego, jak wszystko inne. Nawet słynny brud ma swoje znamię odmiennie; nie tyle jest skutkiem dzisiejszego, jak raczej historycznego zaniedbania i bizantyńskiego rozpasania. Starożytny to brud, pochodzący z pomieszczenia plemion, z niezliczonych najazdów, panowań najrozmaitszych a przechodnich, mniej lub więcej tymczasowych, powikłanych dziejami i religiami.

Nikt tu nie czuł się bezpiecznym i zupełnie u siebie, nikt też gruntownie nie porządkował. Hałas wielki, barwność, ale i pstrokacizna ludności i gmachów jeszcze większa; psy najmądrzejsze istoty; bo najzupełniej obojętne na ludzi i ich czynności, sfinksowe, strzegą gromadnie odwieczny brud; wszystko to sprawia, że po pierwszym zachwycie, po pierwszym oczarowaniu pięknosciami przyrody, następuje oszołomienie, zwłaszcza w głowie tego, który nigdy nie był na Wschodzie.

Przesadnemi są opowiadania o trudnościach i przykrościach przy wylądowaniu. Grzeczny, mówiący po francusku urzędnik odbiera paszport i natychmiast oddaje go witając uprzejmie. Straż celna staje się gładką, wprawdzie zapomocą kilku piastrów, dość, że się bynajmniej nie czuje kłopotów komory, a wpojona we mnie

obawa o książki okazuje się płonna. Dla Turków mam współczucie może dla tego, że także nieszczęśliwi, że znikają z wolna z widowni świata. Nie odczuwa się już dziś ani zadowolenia z ich zagłady, ani chęci tej zagłady, raczej jakiś głos wewnętrzny mówi ci: szkoda ich, jeszcze potrzebni.

W pierwszej chwili nie odnosi się wrażenia ani państwa, ani miasta w upadku i rozkładzie, ale czegoś wyjątkowego w świecie, pozostającego pod naciskiem warunków życia i postępu, zupełnie sprzecznych z istotą i treścią tego czegoś.

Zamieszkałem w najlepszej podobno gospodzie Pery, *Grand Hôtel*. Na wstępie wielka różnica na gorsze z wzorową *Grande Bretagne* ateńską. W Atenach skończyły się były greckie święta wielkanocne; tu znowu jutro zaczyna się Ramazan; trzeba zatem dziś jeszcze zobaczyć Derwiszów kręcących się i Słodkie wody Europy odwiedzić, gdyż przez miesiąc, pierwsi kręcić się nie będą, drugie pozbawione zostaną głównej ozdoby, kobiet muzuhnańskich; przedtem trzeba jeszcze spieszyć na dzisiejszy Selamlık, chcąc zobaczyć Sultana.

Dzięki uprzejmości naszej ambasady, otrzymałem natychmiast zaproszenie do *Kiosku gwiazd*, Yildiz-Kiosku; jadąc spotykam pędzący i zmiatający wszystko przed sobą huragan, to straż ogniowa, ochotnicza, lecąca na miejsce pożaru, pieszo i boso w lachmanach, ale z niewypowiedzianą gwałtownością; zdawaćby się mogło, iż ci ludzie spieszą raczej rabować niż ratować. Otóż to jedna z tych rzeczy, które nigdzie indziej nie zobaczysz.

W jednym z licznych kiosków sułtańskiego mieszkania, ugrzeczniony oficer pałacowy z wytworną ogląda, przyjmuje gości; naprzeciw wznosi się skrzydło świeżo wybudowane dla cesarza Wilhelma II. Przesuwają się straszne postacie czarnych rzezańców. Z boku stoi w pełnym rynsztunku piękny pułk ulanów. Koło pałacu i meczetu Hamidjie rozstawiona piechota, jeden



z najlepszych w świecie żołnierzy, którego pięćkroćstoty-  
sięcy niebaczną Europą lekkomyślnie poświęciła. W głębi,  
przy meczecie tradycyjny karzel. Po chwili oczeki-  
wania wyjeżdża Sułtan Abdul Hamid w dwukonnym  
powozie; przystojny i poważny, a smętny, choć z uśmie-  
chem na ustach; taki jak go znamy z rysunków pism  
angielskich i francuskich; obrońca Plewny Osman  
siedzi na przodzie. Przepychu w tem wszystkim  
mało. Jedna z pań, Francuska, wyraża zdziwienie  
i żal, że Sułtan nie okazuje się w czterokonnym po-  
wozie; odpowiadam, że odcięto mu lejcowe konie —  
Bułgaryę, kraje serbskie, armeńskie, Cypr, Egipt, Tunis,  
Bośnię i Hercegowinę. Mniej tu gorąco w południe, niż  
w Atenach, ale przecież dobrze ciepło; a dowiaduję się  
od znajomego, który otrzymał list z pod Preszburga, że  
u nas cztery stopnie zimna. Sułtan przejechał i podążył  
nie do poblizkiego, jak było zapowiedzianem, Hamidjje  
meczetu, ale do innego, dalszego — łatwo się domyśleć  
przyczyny tej raptownej zmiany. Oficer pałacowy przy-  
nosi nam pozdrowienie Sułtana.

Spieszę na ostatni przed Ramazanem taniec Der-  
wiszów. Nie zobaczę, ani usłyszę już wyjących, gdyż  
znajdują się w Skutari, a podczas Ramazanu także nie  
wyją i nie wpadają w zachwyt, który, jak mi zaręczają,  
wcale nie jest anielskim i nie doznają przez miesiąc  
rozkoszy, które nie całkiem są niebieskimi. Na widok  
Derwiszów kręcących się, ja doznaję przerażenia na myśl,  
do jakiego stopnia dojść może zboczenie rozumu i wiary  
ludzkiej — skoro coś podobnego uchodzi za miłe Bogu.  
Nie dostrzegam upojenia tańcem, ale raczej spełnienie  
sumienne, nużące obowiązku. Podczas tańca odnosi się  
wrażenie, iż czynią to z przekonania religijnego; po  
zakończeniu wrażenie słabsze i zacierza się.

Zdążam do Słodkich Wód Europy; te słowa obie-  
cują coś niezwykle wykwintnego, coś nadzwyczaj po-  
wabnego i — słodkiego. Tymczasem na okropnej drodze

gorzki kurz i upał niesłychany. Najniwygodniejsza ta zaiste w świecie wycieczka, ma barbarzyńskie znamiona. Prawda, że odbyta nie powozem, ale od strony Złotego Rogu łódką, nabiera niezwyklego wdzięku i świeżości. Kobiet haremowych w powozach, z rzezańcami na kozłach, bardzo dużo, jeźdźców konnych także, przekupniów również, szmeru i hałasu nie mniej. Wrażenie maskarady pod gołym niebem. Ostatnia to przechadzka przed Ramazanem. Brzydkie i stare kobiety nie całkiem zakryte, ładne i młode zasłonięte. Niemal wszystkie za zasłoną wydają się ładnymi, a zwłaszcza pięknymi ich oczy — malowane. Niektóre są niewątpliwie ponętne, te są zasłonięte zupełnie, jednak przezroczyście.

Wpadłem jeszcze na chwilę do Bazaru. Tu świat odrębny, świat kupujących i handlujących, zalecających towar, ceniących go wysoko, sprzedających o połowę taniej; świat, w którym pełno światków, zupełnie nowy dla mnie, istny labirynt. Ileż tu wspaniałości i bogactw, ujętych w najbrudniejsze ramy! Słowem, wszystko tu ma cechę odmienną od innych krajów i społeczeństw i wszystko właściwe sobie piętno.

*19 kwietnia.*

Okropne łóżko! Trudno pojąć, żeby na miękkim Wschodzie tak twardem było! Święta Zofia, tak jak dziś jest obudowaną i okropnie pomalowaną przez Turków, z zewnątrz, nie sprawia wrażenia, raczej jest zawodem. Półksiężyc u góry, dla zrzucenia którego i zastąpienia go krzyżem, Rosyane nie ośmielili się pospieszyć z San Stefano do Stambułu, wcale wspaniałym nie jest, raczej przyczepionym tymczasowo. Wrażenie świątyni wewnątrz ogromne, wrażenie nadzwyczajnej wspaniałości i dzieła wiary ponurej, nie całkiem jeszcze świadomej siebie samej. W jednym kącie olbrzyma,

siedział na kolanach wychudły o lśniących oczach szeik i doniośle, przenikliwym, ostrym głosem tłómaczył koran paruset wiernym, koło niego skupionym. W głosie i spojrzeniu, w wyrazach wylatujących ze zeschłych ust, drgało wiekowe zagorzaństwo, gotowe jeszcze na wszystko i udziało się widocznie słuchaczom. Było w tem wszystkim coś przerażającego, co wywoływało ów dreszcz, odczuty tak długo przez świat chrześcijański wobec muzułmańskiego. Było jednak także coś przyciągającego, ale mój tłómacz Maziński, Polak z pochodzenia, lecz który nie umie już po polsku, odradził mi zbyt zbliżyć się, twierdząc, że podczas Ramazanu, namiętności tych ludzi grają silniej niż zwykle. To pewna, że inni wierni modlący się w zakątkach lub pod filarami, z wielkiem, niekłamanem czynili to przejęciem.

Z hipodromu Justyniana, Teodory i Sary Bernhard, nic się nie zostało, prócz wielkiego placu, pięknego obelisku Teodozjusza, kolumny węzowej i piramidy. Próżnia tam, gdzie wrzało życie pełne pychy i przepychu.

Prześwietna Porta wcale świetną nie jest: ten ogromny, nie kończący się, lecz brzydki budynek, zdaje się uosabiać ducha biurokratycznego wszystkich czasów i posiada wszystkie jego wdzięki i powaby. Żółto pomalowany, przedstawia zazdrosną żądzę władzy, wszelkich biurokracyi. Groby sultanów, tak zwane *turbe*, są pośmiertną wspaniałością władców wiernych, niepozbanioną wdziękiem, w każdym razie niezwykle piętna. Mieszczą się w zgrabnych, zwykle bogatych pałacykach. Komnata, w której znajduje się trumna padyszacha, jest wspaniałą. Ustrojona z przepychem wschodnim zawiera nieraz trumienki licznych pomordowanych dla ułatwienia następstwa tronu dzieci, oraz rozłożony koran. Te groby w podwojach mniej są przerażające, aniżeli w lochach, chociaż przywodzą na pamięć straszne nieraz wypadki. Trumny Mahmuda i Abdul-Azisa,

olśniewające, kapie z nich złoto, srebro, moc klejnotów, i — krew. Naprzeciw obelisku Teodozyusza znajduje się muzeum, w którym zachowano podobizny i stroje wytępionych przez Mahmuda Janczarów. Przejeżdża się następnie przez dziedziniec dawnego seraju, który nazwać można — dziedzińcem okrucieństw. Położony jest opodal miejsca, gdzie się wznosił pałac cesarów bizantyńskich. Tu staczały się niezliczone ścięte głowy; tu je wystawiano przez wieki na widok publiczny. Ze też nigdy nie można nic politycznie wielkiego i potężnego skleić bez obfitego rozlewu krwi ludzkiej. Tej krwi zdaje się brakło w dziejach Polski. Gdyby się w niej było w ostatnich dwóch stuleciach potoczyło tyle krwi, ile wina, Polska zapewne istniałaby jeszcze.

*20 kwietnia.*

Gdyby Rosyane podczas ostatniej wojny byli wkroczyli do Stambułu, zatknęli krzyż na św. Zofii, zwołali kongres i zapytali na nim — co zrobić z Konstantynopolem i św. Zofią? — nie wiedzieć wprawdzie co by się było stało; ale w każdym razie byłiby mieli piękną w dziejach kartę, a w polityce zadowolenie wielkiego Europy kłopotu. Nie śmieli! I oto skutek, gdy się w wielkich, historycznych chwilach, nie śmie śmieć. Traktat San Stefano przemieniony w Berlinie; tysiące na Wschodzie zawodów; może chwilowe i znikome, ale niezawodne, jeżeli nie już wyparcie, to zaszachowanie wiekowego Rosyi na nim wpływu, w każdym razie zaciemnienie jego uroku, chociaż nie usunięcie odwiecznej przed nim trwogi; wreszcie wpełnienie w niepewną, zaciemnioną przyszłość, celu ostatecznego oraz chwały zatknięcia na św. Zofii krzyża; podczas gdy jednocześnie wytworzyły się nowe warunki, wśród których już inni chrześcijanie mogliby tego dokonać.

W dalszem następstwie pełno błędów i fałszywych w szczegółach kroków, oraz rozgoryczenie i żal do wszystkich — tem większe, że samemu sobie przypisać należy główną winę i zwrot niepomysłny. A przecież pomimo tego, jedyną groźną nad Konstantynopolem chmurą pozostała Rosya i w nią się wszyscy, Turcy i Europejczycy z przerażeniem wpatrują. Rosyanie mogą dziś od morza Czarnego wpaść do Bosforu, bo chociaż niezbyt na niem silni, przecież są dostatecznie, aby nie liczyć się ani ze słabemi od tej strony twierdzami, ani z gnijącemi w Złotym Rogu, ostatniemi tureckimi okrętami; podczas gdy silniejsze nierównie umocnienie Dardanelli, posłużyćby mogło jedynie do opóźnienia lub uniemożliwienia odsieczy. Rzeczą jest jednak zapisaną w dziejach, opartą na prawach strategicznych, iż Konstantynopol zdobywa się od lądu. Turcy przeszło półwieku usadowieni byli w Europie i Adryanopolu zanim zajęli Bizancyum. Na razie ważności nabrała Bułgarya, bo może jest tylko firanką, przecież zasłania od lądu Konstatynopol.

Tę jej ważność odczuwają tu wszyscy ci, którym jeszcze w jakiejkolwiek mierze na Konstantynopolu zależy, a w coraz wyższym stopniu, w miarę, jak sami Bułgarzy zdają się przedstawiać rękojmię bytu samostnego i niezależnego. Słowem, Bułgarya uchodzi tu za ostatnią zaporę w ostatnim okresie. I właśnie dlatego silnem jest przeświadczenie, że Rosya nie spocznie, dopóki zapory w ten lub ów sposób nie usunie, że zatem na razie mnożyć się będą zamachy przeciw istniejącemu w Zofii antyrosyjskiemu porządkowi rzeczy, choćby sto nieudanych poprzedzić miało ten, który się powiedzie. Bez usunięcia bowiem owej zapory, droga do Konstantynopola pozostałaby dla Rosyi zamkniętą, a jej miłość własna narodowa upokorzona, co sprzecznem byłoby z dziejowemi dążeniami i domorosłą dumą. W tem położeniu przywiązują tu wielką wagę do dwóch bułgar-

skich portów: do Warny i do Burgas, które Bułgarzy skwapliwiej też wzmocnili, niż Turcy Bosfor. Ale nie w Warnie ani Burgas znajduje się klucz bytu i przyszłości Bułgaryi, ani zasłonięcie i bezpieczeństwo Konstantynopola; lecz w stosunkach europejskich, w istotnej sile i żywotności przynierzy, w męskim lub miękkim wystąpieniu w chwili psychologicznej. I dlatego też uwaga ogólna zwraca się tu jeszcze przeważnie w stronę Europy, a podczas gdy trwogę sieje północny sąsiad, wszyscy inni wzbudzają podejrzenia lub co najmniej zwątpienie. Jest poczucie, może niebezpieczne, iż w chwili rozstrzygającej każdy będzie jedynie myślał o swoim bezpieczeństwie i zysku i że nikt już upatrywać ich nie będzie w utrzymaniu bytu Turcyi.

Nie najmniej w Konstantynopolu — gdzie więcej niż gdziekolwiek zajmują się polityką — ostatnie wypadki europejskie zajęły uwagę wszystkich i upadek ks. Bismarcka wywołał zdumienie, zwiększone oddaleniem od widowni na której zaszedł.

Ktoś trafnie powiedział, że tego jednego ks. Bismarck nie przewidział, iż upadnie, i że tego jednego nie odgadł, iż obejść się będzie można bez niego. Czy prawdą jest lub nie, iż w chwili rozgoryczenia zawołać miał: *Renvoyé comme un laquais*, to pewna, że w życiu tego człowieka powstała przerażająca próżnia i że zwrot rzeczy ludzkich, oderwał go od wszystkiego co sobie cenil i namiętnie upodobał z bezwzględnością, w której był mistrzem. Naraz przeciętymi zostały wszystkie druty, które z całego świata zbiegały się w jego żelaznej dłoni, co umiała niemi tak kierować, iż zdawało się, jemu przed innymi, że on jeden porusza ludzkie maryonетки. W tych warunkach przemiana z wszechwładnego i wszechwiedzącego w prostego śmiertelnika, musi być jedną z najokrutniejszych męczarni, na jaką bogowie skazać mogą w swoim gniewie człowieka, a do nich

dołączyły się jeszcze zawiedzione, chociaż nieuzasadnione nadzieje ojcowskie i dynastyczno-bismarekowskie.

A temu wszystkiemu towarzyszy przygrywka: „Nie się nie zmieniło!“ I tutaj także ze wszystkich stolic i stron, nadchodzą najuroczystsze zapewnienia, iż istotnie nie w zewnętrznem położeniu i stosunkach przymierzowych nie zmieniło się; że nawet tam, gdzie najbardziej zależeć może na tem, aby zawodne losy, które dotknęły kanclerza, nie naruszyły sojusów, że w Wiedniu, po pierwszej chwili zdumienia i minucie niepewności, nastąpiło chłodne ocenienie zwrotu i spokojna wiara, iż nie przeistoczy on położenia europejskiego, chociaż zwałił jego twórcę.

A przecież nasunąć się musi każdemu pytanie, czy chęć starczy w tak ważnych rzeczach i tak naprężonych stosunkach i czy zastąpić może umiejętność wyjątkową, doświadczenie, niezaprzeczony urok, samowiedzę własnej nad innymi wyższości, przy przeświadczeniu innych, o ich niższości? Słowem, czy w dzisiejszych czasach zamiar utrzymania dotychczasowego porządku rzeczy europejskiego i pokoju wystarczy, aby górować nad ludźmi i wypadkami, w tej mierze, co ten, który stworzył ten porządek rzeczy, i strzegł po zwycięskich wojnach zbyt kosztownego dla niego pokoju.

Inaczej jednak nieco przyjmują zaszłą zmianę w obozie przeciwnym, poza szrankami potrójnego przymierza i jego zwolenników. Rosyanie nie tylko w Petersburgu i Moskwie, ale i nad Bósforem, zdają się budować gmach nadziei na upadku ks. Bismarcka, a w sposobie, w jaki nastąpił, widzą oznaki i zapowiedzi pożądanych dla nich rozluźnień; mniemają, że się rozprzeże z czasem potrójne przymierze, że się rozwolnią węzły rzeszy niemieckiej, że zbyt gwałtowne i hałaśliwe pukanie cesarza Wilhelma II do bram niebezpiecznych zagadek przyszłości, przedzielających dziewiętnaste stulecie od dwudziestego, obudzić może odśrodkowość i czujność

ksiąząt. Jeżeli te nadzieje czy życzenia są w znacznej mierze bezpodstawne, to przecież przewyższają je jeszcze o wiele francuskie złudzenia, nie rozsądnych i roztropnych ludzi oraz dyplomacyi, lecz dziennikarzy zapalnych, oraz wrażliwych usposobień i optymistów, którzy zawsze w każdym wypadku upatrują ziszczenie swoich pragnień i wyobrażeń. Nie mówię tu już o tych, co mogli przypuścić w oszołomieniu pierwszej chwili, iż z upadkiem ks. Bismarcka sprawa alzacko-lotaryngska da się pojednawczo rozwiązać; ci bowiem zapominają o węzle gordyjskim i sposobie, w jaki rozciętym został i zapominają, że w tej sprawie tkwi inna bo granica Renu i że Niemcy do ostatniej chwili będą przenosić nieprzyjaźń Francyi z powodu Alzacyi i Lotaryngii, nad spór o granicę Renu, oraz groźbę starcia, nad niebezpieczeństwo utracenia tej granicy i nie pojmują oni, że gdyby który z Hohenzollernów zdradził zamiar ustępstw w tej mierze, obrócićby się to chyba mogło tylko na korzyść bismarckowskiej dynastyi. Ale są jeszcze inni, co zbyt niezawodnie spieszenie wyciągając z ostatnich zmian pomyslnie dla siebie widoki, radziby się upoić niezwykłym wprawdzie zwrotem rzeczy ludzkich, jakoby już tryumfem i poświęcić może tylko marzeniem, istotne korzyści na tym Wschodzie, na którym przypada Francyi wielkie i piękne posłannictwo, byle umiała je spełnić, a nie sprzedała za misę soczewicy zwłaszcza opieki Chrześcijan.

Konstantynopol jest jedną ze stolic, w której najbardziej, także najbarwniej zajmują się polityką. Na brak rozmowy politycznej skarżyć się tu niepodobna. Więcej jednak tu można usłyszeć rozumowań, niż wiadomości, rozumowania obejmują świat cały, tak dalece losy Konstantynopola zależnemi są od całego świata. Między innymi słyszałem nieco śmiałe zdanie, że cesarz Wilhelm podniósł w pamiętnych reskryptach sprawę socyalną na to tylko, aby rozwiązać bismarckowską.



Konstantynopol przemienia się z wszechnicy zabiegów w szkołę plotek, ta niebezpieczną jest dla dyplomatów, zwłaszcza w początkach zawodu; jej rozwojowi dopomaga potężnie, jak wszędzie tak i tu, ale tu więcej i szkodliwiej niż gdzieindziej — dziennikarstwo.

Najmniej skarżyć się tu można na brak różności wszelkiego rodzaju i we wszelkich kierunkach; jest to różność wielkiego światowego gościńca. Co za mnogość pierwowzorów miejscowych i przejezdnych! Siedziałem dziś przy stole obok Amerykanki. Jest to żona słynnego w San Francisco lekarza; zna osobiście panią *Modjeską*. W sile wieku odbyła już podróż około świata, następnie pół podróży około świata, teraz odbywa jedną trzecią. Przedsiębrała je wszystkie dla odpoczynku męża, który ugina się pod pracą i liczną klientelą, a inaczej nie zażyłby wywczasu. Co jednak najciekawszego, że ta pani, gdy przedsięwzięła podróż około świata, nigdy przedtem nie była się ruszyła na krok z rodzinnego domu.

Z kraju odbieram same żalobne wieści; ile razy otworzę *Czas*; znajduję wspomnienie pośmiertne. Po najboleśniejszej dla mnie stracie, nastąpił szereg zgonów osób, które się czeiło lub cenilo. Śmierć w naszym społeczeństwie przedstawia mi się stąd, w tej chwili, gromadnie, a znikają znaczący i celni ludzie.

Otrzymałem dziś miłe słowo od ambasadora Sir Williama. A. White; on, który wszystko i o wszystkim wie, dowiedział się już, że przyjechałem. Łączy nas rodzinna, od trzech pokoleń trwająca, oraz osobista przyjaźń, która jest dla mnie zaszczytem. Przyjechałem tu w znacznej części dla niego i przyjechałem teraz dlatego, że on tu teraz jest. Mam jednak mój sposób przy odwiedzaniu miejsc, których nie znam: zanim udam się do znajomych, przyjaciół lub osób, którym jestem polecony, oglądam to, co jest przystępniejszem do widzenia; gdyż

nie chcę nudzić oprowadzaniem tych, dla których to wszystko nie jest nowością, lecz chlebem codziennym, który nieraz się im przejadł.

*21 kwietnia.*

Niezglębnionemi są piękności Bosforu; niezbadanemi wdzięki Konstantynopola. Niezmiernym tu jest sumpt przyrody. Bosfor i Złoty Róg, to Akropol i Partenon Sztambułu. Ruch wielki, fatalistyczny i fantastyczny; wszystko tu zdaje się fatalizmowi i fantazyi ulegać; nawet psy, które dopiero w nocy rozbudzają się i przy których rozhovorach zasypiam, podczas gdy budzę się przy nadmorskim szmerze, południowej ludności — który z Neapolu ciągnie się do Konstantynopola.

Kawas ambasady angielskiej przyszedł zrana, aby mnie do ambasady dostawić. Zastałem Sir Williama, po trzech latach niewidzenia, niezmiennego, zawsze tego samego, obejmującego podniosłym umysłem wielkie sprawy świata i najdrobniejsze szczegóły, dotyczące znajomych i przyjaciół, wiernego im zarówno sercem, jak zdumiewającą pamięcią. Tylko wyjątkowych istot przywilejem — dziś coraz radszym — jest: łączyć dobroć z rozumem, zacność ze zręcznością i niestarzejącą się bystrością.

Po serdecznem wspomnieniu, poświęconem Arturowi Potockiemu, którego stratę dla społeczeństwa polskiego i sprawy publicznej, które zawsze i we wszystkim on miał na sercu oraz zasługi i szlachetne zamiary określić i ocenić umiał Sir William White nadzwyczaj trafnie, uczuciem i rozumem, pokazał mi przepychy ambasady angielskiej. Zewnątrz zbudowana na wzór pałacu Farnerów, posiada ona ogród z niezrównanym na morze widokiem.

Znaczenie ambasadorów jest tu innem niż gdzieindziej i jeszcze nierównie większem: mają też na usługi

zasobniejsze środki i używają bytu szerokiego, wspólnego. W zamian dyplomacya ma więcej do czynienia i więcej pracy istotnej. Wielka polityka jest tu podobną do gry w szachy; trzeba do niej mieć wrodzone usposobienie, połączone z długą wprawą. Ale robotą poważną, wspólną wszystkim, rozwija się nieraz z trudem i mozolem w dziedzinie handlowej i pieniężnej, w dziedzinie małej polityki codziennych stosunków, nie małej przecież wagi. Po temu też mają ambasady — zwłaszcza angielska — na usługi całe konsularne wojsko. Po długiej rozmowie, z której więcej nauczyłem się na razie, niż z kilkunastoletniego dziennikarskiego zawodu a po której świat polityczny okazał mi się, jakby w przezroczystym powietrzu greckiem, pożegnałem ambasadora, chcąc dziś jeszcze zwiedzić Bosfor.

Przejażdżka po nim jest szeregiem olśniewających niespodzianek. Jest tu kilka Capri, ale niema przecież żadnej tak kunsztownie wyrzeźbionej, jak ta, którą z nieznużonym nigdy zachwytem podziwia się z Neapolu. Odczuwa się nie raz, ale kilkakrotnie wrażenie, które wywołuje zatoka neapolitańska; tam rysunek wytworniejszy, lepiej wykończony; tu mnogość obrazów, tam jakoś obrazu zdumiewa; brak tu Wezuwiusza, tego „szczytu piekła który wznosi się w raj“ jak powiedział Goethe, za to jest się, między dwiema częściami świata. Brak także dzieł wielkiej sztuki architektonicznej; są pełne wdzięku dziwactwa budownicze, które się przebacza, jak ładnej kobiecie zachcianki. Pałace i kioski dla tego głównie są piękne, że się kąpią w Bosforze. Pałac *Dolma-Bagche* lśniący, ogromny, to znowu zgrabny, nieco bezrozumny, o wytwornej a obfitej ozdobie; „jakby dzieło waryata“ mówi turecki poeta! Dalej ogromny z ogromnym ogrodem pałac, w którym strzeżonym jest były sultan Murad — żyjąca zagadka. Terapia i Bujuk-Dere, urocze letnie mieszkania ambasad. Już to powiedzieć trzeba, że ambasadorowie

wiodą tu monarszy żywot; mają na rozkazy dwa pałace: jeden w Pera, drugi w Therapii lub Bujuk-Dere, statki parowe, niezliczoną służbę, kawasów, laufrów, niemal niewolników, dragomanów, sekretarzy i najczęściej dziennikarzy bez liku. Ci, co nie żyją jak baszowie, żyją jak królowie, a bezpieczniej niż oni od czasu, jak ich nie zamykają w siedmiu wieżach. Ambasady jednak nie są tutaj synekurami.

Gdy się odwrócisz od lśniącej wiosną Therapii, zarośniętej kwitnaceni, bezliściowemi drzewami Judei, widzisz w głębi Olimp Bitynski, okryty śniegami. Znajdujesz się na wielkim światowym gościńcu przechodów i napadów ludów. Spostrzegasz w dali Czarne morze z tajemnicami przyszłości. I nigdzie w tym stopniu, co tu, nie leży jak na dłoni ważność polityczna i strategiczna miejsca, oraz jego powab.

Cieśniny od strony Czarnego morza nie są dobrze umocnione, podczas gdy od Egiejskiego silniej są zabezpieczone. Stąd zagraża wróg, stamtąd przyjaciele. Dziwnem jest uczucie, czy przecucie Turków, które sprawia, że spieszniej umacniają się od strony obrońców i opiekunów, niż od nieprzyjaciół i pogromców; może dlatego, że jak napisanem jest w koranie: Bóg zsyła nieprzyjaciela, ale fałszywego przyjaciela djabel.

Mówią, że teraz wywartym jest nacisk niemiecki, aby także się umacniać od strony, z której Bóg ześle nieprzyjaciela. Turcy czynią to leniwo nie ze względów pieniężnych, ale z obawy zbytniego naprężenia struny i w przekonaniu, że gdyby pękła, niktby jej już nie nawiązał.

Na stronie azyatyckiej Bosforu, Słodkie Wody Azyi dalej Skutari kąpią się w morzu, a po obu brzegach liczne haremy; w zakratowanych ich oknach, siedzą czasem smętne kobiece postacie. Cały porządek rzeczy oparty na zazdrości, strzeżony przez rzezańców.

Był na statku jeden z oficerów niemieckich, którzy mają odrodzić armię Sultana. Pierwowzór rudego Germana.

Złożyłem dziś moje uszanowanie ambasadorowi naszemu, baronowi Calice. Rysy twarzy i postawa polskiego karmazyna, chociaż kropli krwi sarmackiej nie ma w żyłach. W zajmującej rozmowie, ocenić mogłem doskonałą znajomość Wschodu oraz zdrowy, czerstwy sąd o położeniu, trafne poglądy na nasze wewnętrzne stosunki i ludzi kierujących w przeszłości i terażniejszości. Droga do ambasady austro-węgierskiej jest nieco karkołomną, co wcale nie uosabia naszej terażniejszej na Wschodzie polityki.

Zwiedziłem meczet Yeni — Valide-Dżami, słynny z fajansów, zdobia go one oraz znajdujące się w nim podwoje Sultana.

Podczas modlitwy, w czasie Ramazanu, niewierni nie schodzą do meczetów, przypatrują się jej tylko z ganków wewnętrznych. Rozpoczęcie Ramazanu zapowiedziały ze zejściem księżyca w Mece, strzały armatnie. Ramazan jest sfinksem, na pół postem, na pół zapustami; postem najściślejszym między wschodem a zachodem, obżarstwem największym, między zachodem a wschodem słońca i zagadką, dlaczego tak mądry człowiek, jak Mahomet, nakazał rzecz tak niezdrową.

Konstantynopol to ciągle maskarada, barwna i ożywiona, nieraz dziwaczna, nawet dzika i to właśnie stanowi jej urok.

Zakończyłem dobę, wycieczką do św. Zofii na nocną modlitwę. W gospodzie wspomniano coś, iż nie całkiem jest ona bezpieczna, że należy być podczas niej baczny i ostrożny, chociaż dalekimi są czasy, kiedy na jadącą konno po ulicach Stambułu, generałową Zamoyską, rzucono kamieniami. Przesady osłabły wraz z potęgą Turcyi, zagorzałość zmiękła, ale budzi je jeszcze czasem, post Ramazanu i głoszona wtedy nauka koranu.

Już na wielkim moście, zawieszonym nad Złotym Rogiem, czarujący przedstawił się widok. Wszystkie minarety Stambułu oświetlone, opasane lampionami, niby brylantowemi naszyjnikami. Obok nich w powietrzu tworzą się zwolna, z odrywanych zręcznie lampionów, wiersze koranu. Myśl poetyczna i poetyczne zjawisko! Raptem na wstępie do krużganków św. Zofii powstają nieprzewidziane, coraz nieprzyjemniejsze trudności. Dozorca tej części meczetu, nie chce wpuścić licznego towarzystwa; rozpoczynają się układy i ożywione między nim a kawasami i dragomanami rozprawy. W jednej chwili zostaje wepchniętym ciężką ręką w ciemny, samotny przedsionek, którego drzwi z łoskotem zatrzasnęła ta sama ręka. Po minucie, nierównie jeszcze bezwzględniej owa ręka wypycha mnie z przedsionku. Pokazuje się jednak, że nie o haracz krwi, ale złota rozchodzi się, i że Maziński, oraz inni tłumacze i kawasi niedokładnie omówili warunki pieniężne zwiedzenia w nocy św. Zofii. Usuwamy natychmiast trudność i blask oraz majestat oświetlonej świątyni, olśniewają nasze oczy. Zaczarowany to gmach olbrzymów! Gmach tajemniczy. Święta Zofia wspaniałą i bogatą jest zabranami ze świątyń pogańskich kolumnami, które tworzą wokół niezgłębione, niekończące się przysionki. Jej architektura sprawia wraz z jej wielkością i przepychem wrażenie cywilizacji tonącej w barbarzyństwie. Więcej jeszcze, jak budowa i dyamentowe oświetlenie czterdziestu tysiącami lampionów, przejmującym i wspaniałym jest widok, tysiąca głów, uchylających się jednocześnie jak na komendę zgodnie, na jedno słowo koranu wypowiedziane doniosłym głosem przez szejka. Z tych ludzi dobrzy są żołnierze — bo wierzą. Wobec widocznej, niewątpliwej wiary, skupienia duchowego i wielkiego przejęcia całej tej rzeszy, dziwne sprawia wrażenie bezmyślne bieganie dzieci wzdłuż i wszerz olbrzymiego meczetu.

Z powrotem jechałem przez znamienne, nie całkiem bezpiecznie wyglądające, ciasne zaułki Stambułu. Były jednak z powodu Ramazanu oświetlone rzęsiście i ożywione nocnymi jego zabawami. Przesuwały się malownicze postacie starych Turków w turbanaach; był ruch wielki tramwajów i powozów, pieszych i licznych jeźdźców na koniach krajowych szybkich i zwinnych.

Tu, z nielada zadowoleniem, widzi się jeszcze laufrow i lektyki; cały ten świat niezwykle wre jakimś dziwnym życiem, w którym powaga i obojętność, łączą się z gorączką. Jednocześnie psia rzeczpospolita pędzi na ulicach wolny żywot z niczem niezachwianym spokojem.

Jedną z chwil wyjątkowo obrazowych i znamionujących świat inny od naszego, świat wschodnich zachwyków i poezji, jest ta w której z balkonów minaretów *muezini* wzywają automatycznie wiernych, do modlitwy.

Jedyna to stolica, w której nie zwiedza się darmo, a nieraz opłaca się znaczny haracz. Konstantynopol jest też dla przejeźdnego względnie drogiem miastem, podczas gdy osławiony Bazar względnie jest tanim.

Powiedziano, że św. Zofia jest powiększonym świętym Markiem; dziś jednak mniej bogatym i ozdobnym dziełem sztuki. Rozszerzając porównanie, możnaby uchwycić pewne podobieństwa między Konstantynopolem a Kijowem i rzec, że Kijów jest zmniejszeniem Konstantynopola, z tą różnicą, że zamiast Bosforu, Złotego Rogu i morza Marmora, ma Dniepr. Nie rozciągnę porównania do Lwowa, już z powodu Pełtwi.

22 kwietnia.

Że też nikt przed Konstantynem nie pomyślał o założeniu stolicy wielkiego państwa w tem miejscu, tak dobrze znanem starożytnemu światu, jakby stworzonym po temu i tylu powabami bogatym, otoczonym

tylu pięknościami. Być może, przeczucie mówiło, że właśnie w tych nadzwyczajnych i lśniących warunkach nie silnego, zdrowego i dającego rękojmię długotrwałej, istotnej potęgi, prawdziwej wielkości, stworzyć się nie da, że wpływ otoczenia oddziała wkońcu, zmiękczy i osłabi ludzi, oraz każdy całokształt społeczny i polityczny; a może i głos wewnętrzny, że założona stolica nad Bosforem, stanie się wiecznym przedmiotem pożądliwości.

Do dziwactw i dziwolągów, którymi napelniony jest Konstantynopol, należy i to, że tu kobiety za mało, psy za wiele mają wolności. Nie przeszkadza to kobietom, mniej lub więcej zasłoniętym, ukazywać się publicznie, pieszo czy w powozach, i więcej ich się tu spotyka na ulicach, niż w Atenach. Psy nie nadużywają wolności i nigdy nie przemieniają jej w swawolę, strzegą ściśle swojego prawa historycznego i każda gromada pilnuje zazdrośnie swą dzielnicę. Podobno bardzo rzadko się wściekają, chociaż opowiadają, iż na Wyspach Książęcych, grasuje właśnie teraz między nimi ta straszna choroba, co przerażeniem przejmuje, na myśl samą coby za okropne rozmiary przybrać mogła kłeska w Konstantynopolu. To pewna, że psy nikogo nie zaczepiają, nikogo nie napastują i nikogo nigdy nie kłają. Mówią, iż raz tylko pokąsały rosyjskiego ambasadora, jakby w przeświadczeniu, że z tej strony grozi niebezpieczeństwo ich także panowaniu na ulicach Pery i Stambułu.

W obecnej chwili utartą jest rzeczą mówić, iż wpływ niemiecki jest tu najznaczniejszym. Inne jednak zupełnie, niż wszędzie, ma ten wyraz znaczenie u Złotego Rogu. Każdy wpływ tutaj objawia się tylko na powierzchni, nie sięga w głąb, dlatego zmiennym jest w nieskończoność. Siłą rzeczy, siłą powodzenia i wyjątkowego w Europie stanowiska, Niemcy mają tu istotnie pozory wyjątkowego stanowiska, zwiększone ostatnią bytnością cesarza Wilhelma II nad Bosforem. Jeżeli jednak nie myślę się, nie ma ono ani



silnej podstawy, ani warunków trwałości; te uczucia niemieckie i ta dla Niemiec serdeczność, podobne do dekoracyi, którą przy pierwszej zmianie inna zastąpi. Gdyby wpływ niemiecki był rzeczywistym, powinniłby go wywierać oficerowie niemieccy, będący w służbie Sultana. Tymczasem zastałem, ku niemałemu zdziwieniu, wprost przeciwny w tej mierze stan rzeczy.

Teraz co wieczór, strzał armatni ogłaszając zachód słońca, oznacza koniec postu całodziennego; natychmiast wszyscy mahometanie w jednej chwili, gdziekolwiek się znajdują, rzucają się na strawę; większa jednak część, zapala przedtem papierosa. Byłem obecny temu rozpoczęciu codziennych zapust Ramazanu, na dworcu kolei. Wnet wre życie i ruch, twarze Turków wypogadzają się z chwilą, jak spragnionemi usta dorać się mogą papierosa, wody i jedzenia. Zresztą Konstantynopol, to ciągle reduta, która miejscami i chwilami przemienia się w krakowską.

Zupełnie odrębne życie wiedzie europejska osada w Pera, a jak mnie zapewniała przybyła tu od niedawna, pełna wdzięków Paryżanka, w tym roku towarzystwo Pera było tak ożywionem, że jeszcze nie uczuła nostalgii Paryża. W dzień mojego przyjazdu odbyła się w ambasadzie francuskiej *venta*, która bez zarumienienia przeglądać się mogła w Bosforze.

Dzięki ambasadorowi W. Brytanii, zwiedziłem dziś w licznej towarzystwie angielskim stary seraj, skarbiec i Dolma-Bagche. Potrzebne do tego *irade* sultańskie, a nie zawsze łatwo podczas Ramazanu otrzymać je. Grzeczność i akuratność tureckie w ciężkie tym razem popadły podejrzenie. Czekaliśmy z kawasem ambasady angielskiej pięć kwadransów u bram Dolma-Bagche na oficera pałacowego, który miał nas oprowadzać. Podziwiałem cierpliwość spokojną Anglików i pań angielskich i mówiłem sobie — coby to było utyskiwań i hałasu, gdybym się znajdował wśród rodaków i rodaczek.

Powtarzaliśmy sobie wzajemnie, że Turcy nigdy się nie spieszą, i że teraz zwłaszcza jest to zrozumiałem, albowiem nikt nie spieszy się umierać. Kawas i dragomani nie dziwili się opóźnieniu. „Pamiętajmy, mówili; że jesteśmy w Turcyi i że Turcy zwykli mówić Jak Bóg da! Chwała Bogu! Poczekajmy“. Pokazało się wreszcie, że zaszła pomyłka, że trzeba było czekać na oficera u bram starego seraju i że od niego rozpocznie się zwiedzanie. Młody oficer pałacowy, którego tam zastaliśmy, wprowadził nas w żadne tłumaczenia, ale grzecznie i uprzejmie spełniał nie zbyt wesole zadanie przewodnika, nie wiem, już po raz który. Zaulki seraju zapełniają miejsce, na którym wznosił się pałac Konstantyna, Justianina i wszystkich władców chrześcijańskich. Przechodzi się przez dziedziniec okrucieństw, co jest czerwoną w dziejach kartą. Stoi jeszcze stare, wyniosłe i rozłożyste drzewo, jawor, na którym wieszano i zawieszano lby ofiar. Przed kilku dopiero miesiącami usunięto studnię i kamień; studnię w której kat i ofiara myli sobie przed ostatnią chwilą ręce; kamień na którym ścinano głowy; rzucono go w dół i tam podobno jeszcze leży.

Przy bramie seraju spotykamy starego, białego rzezańca; uderzające podobieństwo ze słynnym Albertem Wolfem, współpracownikiem słynnego w świecie całym *Figara!* Biali rzezańcy wstrętniejsi są od czarnych, jak gdyby skóra tych ostatnich, lepiej zakrywała ich upodlenie i upokarzającą niemoc. Stajemy przed skarbcem, cały pułk urzędników w fezach tworzy szpaler; skarbnik łamie pieczęcie, któremi drzwi są opatrzone — poprzedza nas rota urzędników, z których każdy zajmuje miejsce w kątach podwoi i bacznie wyteża oczy.

Skarbiec w pierwszej chwili nie olśniewa. Stopniowo ocenia się jego bogactwa, wspaniałości, wielkość drogich lecz po największej części nieoszlifowanych kamieni, piękność broni wszelkiego rodzaju, i wszelkich

okresów, sutość makat i tkanin. Każdy sultan ma obowiązek złożenia tu w tym skarbcu, jakiegoś kosztownego przedmiotu; posądzam niektórych, iż z niego musieli niektóre zabrać, bo ostatecznie nie daje dziś wyobrażenia o połączonych bogactwach Europy, Azji i Afryki.

Bardzo zajmującym działem jest ten, w którym znajdują się lalki, przedstawiające wszystkich sultanów, w ich własnych za życia noszonych szatach, aż do Mahmuda, który pierwszy przywdział fez i strój europejski, co krwią janczarów oblać musiał. Nadzwyczaj bogate, lśniące od drogich kamieni kity u turbanów dają wyobrażenie o dawnym przepychu wschodnim z *Tysiąca i jednej nocy*. W takim przepychu i jakby wśród opowiadania takowego, znaleźliśmy się w kiosku Bagdadzkim, naprzeciw meczetu, w którym złożona jest święta chorągiew i szaty proroka, nieprzystępne i niewidzialne dla niewiernych. Kiosk zaczarowany nie tylko tem, co się w nim widzi, ale zwłaszcza tem, co się z niego i naokoło niego widzi. Młody Anglik z najzimniejszą krwią zapisał sobie dla pamięci, iż taki sam musi u siebie postawić; wziąłem go za ramię i wskazując widok na Bosfor rzekłem: „Tamto może zdołasz naśladować i mieć, ale tego nigdy“. Doznaliśmy rozkoszy, jakby na granicy rajy Mahometa, gdy usiedliśmy we wznoszącym się naprzeciw pałacu, mając przed sobą widok na morze Marmora i Bosfor. Dzięki gościnności sultana, służba jego podała różanny sorbet hurysek i kawę wybrańców, w filiżankach, ozdobionych ogromnymi dyamentami i pysznymi drogimi kamieniami.

Kobiet w komnatach starego seraju niema już, są puste; w jednym skrzydle chowają i kształcą dziewice z grona których sułtanka — matka, wybiera jedną, aby ją oddać piętnastego dnia Ramazanu sułtanowi, czy chce, czy nie chce.

Z opuszczeniem wiekopomnego seraju przez Mahmuda, który, jakby przerażony wyróżnieniem jancza-

rów, uciekać się zdawał przed własnym czynem, gasi stopniowo jego blask, równolegle upadała potęga sultanów. Strach pędził ich odtąd coraz dalej, coraz to wyżej, aż zapędził ostatniego do Yildiz-Kiosku. Dzisiaj stary seraj jest ciałem, z którego życie uleciało i to ciałem wyniszczonem. Wznosi się na jednym z dziedzińców odosobniona, starożytna kolumna koryncka; piękniejsza i szlachetniej wyniosła, niż wszystkie pozostałe, olśniewające gmachy seraju. Urąga barbarzyństwu połączanemu. Na *kaikach* sultańskich, o ośmiu wioślarzach, po wzburzonych nieco falach Bosforu, przepłynęliśmy do Dolma-Bagche.

Niepodobna tutaj uwierzyć w siłę budowy i w powagę architektury, wogóle wydaje się ona w Konstantynopolu wątłą, tymczasową, jak panowanie tureckie; nie wzbudza zaufania. A przecież pałac Dolma-Bagche jest zgrabny, bogaty, śliczny; wewnątrz olśniewający. Po co i na co te wielkie podwoje, w których nigdy się nie tańczy, których nigdy kobiety nie zapelniają? Jak można nie mieszkać w tym pałacu, kiedy się go posiada? Jak zwłaszcza można nie wskrzesić monarszej siedziby na końcu starego seraju? Lekkość i przepych łączą się zgododźwięcznie w wielkich schodach Dolma-Bagche. Jest tu pomieszczenie miejscowych znamion z przypodobaniami europejskimi. Niesłychaną wspaniałością jest, łaźnia sultana, cała z alabastru.

Niemniej udała jest olbrzymia, z ogromną u góry kopułą, komnata tronowa.

Wracając, przejechałem koło wielkiego cmentarza, który znajduje się wśród miasta. Jest to las cyprysów.

23 kwietnia.

Kąpiel turecka nie jest ani tak straszną, ani tak miłą, jak ją opisują. Nawet w sztuce masowania prze-

ścignięto już w zachodniej Europie, zwłaszcza w Aix les Bains, Turków; są chwile przyjemne podczas tej kąpeli, zwłaszcza stopiowe ochładzanie. Pod względem czystości o wiele większe osiąga się skutki, niż w naszych kąpielach, w których siedzi się nieruchomie w wannach. Rzymskie kąpiele z wonnymi olejkami i umiejętnem masowaniem, musiały mieć więcej powabów, a że były wspanialsze — to wiemy.

Staram się poznać Turków, zwłaszcza zajmujących polityczne stanowiska, a mam do kilku listy polecające. Ale Turków znaleźć nie łatwo. Nigdy dokładnie dowiedzieć się nie można, czy i kiedy szukać ich należy w mieszkaniach, lub w biurach, w kioskach i pałacach, czy też w Porcie; podczas Ramazanu trudność się zwiększa, gdyż wtedy nie ma stałych godzin urzędowania, a przykry post dzienny nie usposabia ich do przyjmowania cudzoziemców, o ile mogą zamykają drzwi przed obcymi a wieczór licznie się zbierają, ale między sobą. Dotarłem przecież już do kilku, wszędzie znalazłem miłe przyjęcie, bo uprzejme, bez przesady. Gdy w jednym takim domu tureckim, czekałem w przed-sionku bocznym, ujrzałem uaraz — rzecz niezwykłą, wyjątkową, nader przypadkowe zdarzenie — kobiety schodzące z haremu schodami i nie zakryte. Niedługo jednak widziałem je, z piorunującą szybkością zasłoniły się.

Byłem dziś na śniadaniu w ambasadzie angielskiej w towarzystwie Greków i Serbów, między którymi znajdował się miły i wykształcony minister serbski przy Prześwietnej Porcie, Nowakowicz. Można się domyśleć, iż rozmowa, jak zresztą zwykle w Konstantynopolu, była przeważnie polityczną. Mówiono wiele o zwrocie rzeczy, jaki nastąpił w Belgradzie w skutku abdykacyi Milana i nie przypisywano mu, lub też przypisywać nie chciano tego zewnętrznego znaczenia, które mu nadano w Europie, a którego przybiera pozory. Samodzielność, uwolnienie się od wszelkich zewnętrznych

wpływów, pokój i dobre stosunki ze wszystkimi mocarstwami — oto powtarzane hasła, nie nowe i wiele, lub też nic nie znaczące, podług tego, w jaki sposób będzie się im wiernym.

Że jednak zaślepienie, co się tyczy Rosyi nie ogarnęło wszystkich w Belgradzie, dowodem obecny na tem śniadaniu Vladań Georgevicz, literat i człowiek znany i znaczący, który przygotowuje książkę, opartą na nieogłoszonych papierach, dotyczących kongresu berlińskiego, w której dowiedzie — co zapewne nie przyjdzie mu z trudnością — że Serbia, Austrii o wiele więcej zawdzięcza niż Rosyi, na co rzekłem, iż wtedy chodziłoby już tylko o stopień niewdzięczności. Georgevicz ma zarazem dokładnie obliczyć, ilu przypada Serbów poległych, na jeden rubel rosyjski, ofiarowany na sprawę serbską. Gdy rozmowa zwróciła się w stronę Grecyi, nie tailem mego przekonania, które nie wszyscy podzielali, iż narodowi greckiemu przypada ważne na Wschodzie zadanie i może świetna przyszłość, a zwracając się do znakomitego, obecnego Greka dodałem, byle nie zgubił się dawnymi wadami, zwłaszcza walkami i nienawiściami osobistemi, owem współzawodnictwem między Arystydesem i Temistoklesem, którego objawy widziałem w Atenach. Na co musiałem przejść przez upokorzenie, iż jeden z obecnych Serbów zawołał: „I to mówi Polak! Nie wierzę moim uszom“. — Niepozostało mi jak odpowiedzieć ze smutkiem: „Z doświadczenia“.

Dziwne po doskonałym śniadaniu, z angielską wytwornością podanem, sprawiają wrażenie, wygłodniałe i spragnione twarze Turków na ulicach. Niemal wszyscy, wielcy i mali, sumiennie wypełniają przepisy Ramazanu, wprawdzie tak samo dzienne jak nocne. „Przestrzegam ściśle Ramazanu — mówił mi jeden z ministrów — nie dlatego abym wierzył i przypuszczał, że to miłem być może Bogu, ale dla przykładu“ i dodał: „Od rozpoczęcia Ramazanu czuję się jakoś lekszym i zdrowszym. Prorok

wiedział co robił, kiedy ustanowił Ramazan“. Nie bardzo te słowa przemówiły do mojego przekonania, tem więcej, że nie dostrzegłem wcale na dygnitarzu podobnych do kuracyi Schweningera skutków.

Wyszedszy z ambasady angielskiej udałem się do francuskiej, aby złożyć uszanowanie hr. Montebello. Umiejętność grzecznego i wytwornego przyjęcia, które kształtami przyjemne sprawia wrażenie, pozostało przywilejem Francuzów. Do niczego ono nie zobowiązuje, ale jedna zaraz na wstępie. W obejściu hr. Montebello jest pewien odcień angielski, najlepszego gatunku, nabyty wskutek rodzinnych i towarzyskich stosunków. Hr. Montebello zdaje sobie doskonale sprawę z ważności stanowiska, które zajmuje; trzeba być na niem wciąż czynnym, nietylko w stosunkach z Portą i innemi mocarstwami, także i głównie w pieczy i obronie spraw poddanych francuskich i donioślejszych jeszcze a licznych duchowych wielkiego, a od dawna na Wschodzie posiadającego wyjątkowe stanowisko narodu francuskiego. „Czytam w dziennikach, że Excellencya często bardzo odwiedzasz Portę“. Na co hrabia uśmiechając się odrzekł: „Wysyłają one mnie tam, nawet wtedy, gdy się do niej nie udaję“. W ambasadzie francuskiej zastałem pana Jaroszyńskiego, z którym zabraną znajomość, zaliczam do najprzyjemniejszych podczas podróży. Nielada to zjawisko i rzadkość, szlachcie polski, który jest pierwszym sekretarzem ambasady Rzeczypospolitej francuskiej przy następcy Proroka! Ażeby tym wszystkim warunkom odpowiedzieć jak się należy, trzeba — zwłaszcza w dzisiejszych czasach — mieć niezawodnie wiele taktu, a znowu żeby w młodym jeszcze wieku, zająć to stanowisko i zajmować je zaszczytnie, z odznaczeniem, trzeba z pewnością wyjątkowych zdolności, pracowitości i wytrwałości nie polskiej.

Na pochwałę Turków zapisać należy, iż od pewnego czasu gromadzą i porządkują zabytki starożytne, które

znajdują na wyspach i w dawnych osadach greckich, pozostałych pod ich panowaniem. Powstało z tych poszukiwań muzeum, wybudowane wśród murów starego seraju. Są tu niepospolite marmury, bronzы wielkiej wartości. Jest arcydzieło, popiersie z brązu, utraconego posągu, którego nogi złożone są obok. Dozorca Turek nazywa go Achillem i istotnie postać odpowiada doskonale pojęciu homerycznego bohatera; zapał, zamach, żądza i pewność zwycięstwa istnie achillesowskie. Przypomniało mi się wspaniałe określenie wojny przez Napoleona, zapisane w pamiętnikach świętej Heleny:

*Achille était fils d'une déesse et d'un mortel: c'est l'image du génie de la guerre: la partie divine c'est tout ce qui dérive des considérations morales, du caractère, du talent, de l'intérêt de votre adversaire, de l'opinion, de l'esprit du soldat qui est fort et vainqueur, faible et battu selon qu'il croit l'être: la partie terrestre c'est les armes, les retranchements, les positions, les ordres de bataille, tout ce qui tient à la combinaison des choses matérielles.*

„Achilles był synem bogini i śmiertelnika: jest to obraz geniuszu wojny; część boska, to wszystko co wypływa z czynników duchowych, z usposobienia, talentu, zamiarów przeciwnika, sądu, ducha żołnierza który jest silnym i zwycięskim, słabym i pokonanym, stosownie do tego jakim się być nmiema; część ludzka, to broń, szance, stanowiska, porządek bojowy, wszystko co dotyczy zestawienia rzeczy namacalnych“.

W każdym razie posąg przedstawia zapaśnika pierwszorzędnej piękności, a wspaniały ruch ramienia, zapowiada tysiące pogromów.

Prócz wielu innych znakomitych dzieł jest hermafrodyta stojący; zwykle w starożytności przedstawiano go leżącym.

Zwiedziłem tak nazwaną cysterne Konstantyna o tysiącu i jednej kolumnach, podziemną; rzecz wielka,



olbrzymia. Na jednej z kolumn ma się znajdować krzyż, którego jednak nie mogłem dostrzedz.

Polityczny świat turecki dzieli się na dwie części, na posądzanych i posądzających o sprzyjanie Rosyi.

Między światłymi dygnitarzami tureckimi, dbającymi więcej o sprawę niż o własne osoby, zatem nie oddanymi Rosyi, przeważa poczucie, że wszyscy mniej więcej podkopują byt Turcyi i jak rzekł jeden z nich, podmulają ją, lecz, że jedna tylko nawałnica północna, zwali ją kiedyś. Mówią oni we właściwym wschodnim ludom, obrazowym sposobie: Jest sęp, który krąży w powietrzu, tam w górze i ma daleko sięgający wzrok, lecz który zarazem nie spuszcza z oka raz upatrzonej ofiary, który wlepia je w jedno miejsce, a tem miejscem jest Bizancium — dlatego, że Bizancium! Sęp czuwa długo nad ofiarą, głaszcze ją wzrokiem, a jak spada na nią, to wiadomo: jak piorun, wtedy gdy się nikt tego nie spodziewa.

W bardzo zajmującej rozmowie ze znakomitym, wysokie stanowisko zajmującym dygnitarzem tureckim, przypisywał on świeży, niepomyślny na półwyspie zwrot, przeważnie, zdaniem mojem przesadnie, powrotowi do Belgradu królowej Natalii — *cherchez la femme*, mówił mi — a znajdziesz istotną przyczynę zabiegów, niepokojów i zmiany wpływów; nie należało pozwolić, aby powróciła, to był błąd. Na to starałem się dać do zrozumienia, że najpierw nie miało się żandarmów na granicy serbskiej, aby przeszkodzić powrotowi królowej; że zwrot, jaki nastąpił w Belgradzie, poprzedził przyjazd królowej i że ostatecznie jej tam pobyt jest sprawą wewnętrzną, wyłącznie serbską, w którą nikt, ani prawa, ani ochoty niema się mieszać. Zmianę — mówiłem dalej — przypisać należy raczej zawodowi, jaki wszystkim i wam także zgotował król Milan składając koronę a jeszcze więcej temu, iż przyszło budować zawiele na jednym człowieku, nie na silnem stronictwie, gdyż takim nie

było Garaszanina. Na to usłyszałem odpowiedź, iż za bytności swej w Konstantynopolu król Milan dowiedział sultanowi, iż położenie jego stało się było niemożliwym, że w żaden sposób nie mógł pozostać na stanowisku.

Nareszcie dodałem: „Królowa Natalia może, gdy chce, oczarować jako kobieta, ale ci co ją znają, nie przyznają jej zdolności politycznych, nawet dostatecznych do większej kabaly, chociaż jest na wysokości małych, drobnych, codziennych zabiegów“.

Pomimo przekonania, jakie wyraziłem, że Grecy na teraz przynajmniej szczerze pragną uspokojenia na Krecie, oskarżono ich, w naszej rozmowie, o łakomstwo i cheiwość bez granic: „Daliśmy im dwie śliczne prowincye, dla świętego spokoju, przez wzgląd na Europę, gdyż bez takowego bylibyśmy ich zgnietli — czegoż chcą jeszcze więcej? Pan Trykupis zapewnia o pokojowych zamiarach i wypiera się Krety; ale czytaj pan, co piszą dzienniki greckie, co mówią deputowani, co się dzieje na zebraniach ludowych“. „Jedziesz do Zofii, mówił dalej dygnitarz — jeżeli będziesz miał sposobność, powiedz Bułgarom, aby byli roztropnymi, niech niczem nie przyspieszają wypadków. Powinni przecież czuć, że jeżeli oni nas zasłaniają, to o nas należy się im oprzeć“.

W dalszym ciągu rozmowy usłyszałem co następuje:

„Szczęściem dla Turcyi i Europy jest, iż panuje nad nami ten właśnie sultan, który nie tylko zrozumiał, że nic mu nie pozostaje, jak być neutralnym, lecz który umie nim pozostać i ma dość siły woli, aby neutralność, wśród najrozmaitszych prądów i krzyżujących się wpływów, utrzymać. Nasz władca posuwa neutralność aż do bierności, ale słusznie czyni i ma zasługę, gdyż uroczyście zaręczyc mogę, że ciągle i potężne pokusy oraz złudzenia optyczne, podsuwane i nasuwane mu są przez jedną i drugą stronę, aby się na jedną lub drugą przechylił; pokusy zewnętrzne i wewnętrzne. Jedni go ciągną ku potrójnemu przymierz, inni ku platonicznemu związ-

kowi rosyjsko-francuskiemu. Abdul Hamid, nasz pan i władca, ma niezachwiane postanowienie, pozostania neutralnym, bo ma głębokie przekonanie, że przechylenie się jego na jedną lub drugą stronę wywołałoby i już byłoby wywołało starcie, wojnę, burzę. Burza zaś długo trwać nie może, po niej nastąpiłoby obliczenie się, a Jego Ces. Mość czuje, iż onby jeden na niem stracił, iż padłby ofiarą *et qu'il payerait les pots cassés*. Wszyscy chwalicie się, że waszem dziełem i zasługą utrzymanie pokoju, ale rzeczywiście, zawdzięczacie go sultanowi. Sultan mieć może osobistą skłonność, jak obecnie do cesarza niemieckiego, ale ta nie sprowadzi go z raz obranej politycznej drogi“.

„W razie przyspieszenia wypadków, mówił turecki mąż stanu, jedniiby żądali Bosforu, drudzy i słusznie, natychmiast Dardaneli, o tę smugę idzie wszystkim, bo idzie o Bizancyum — dlatego że Bizancyum. Gdyby niespodziewanie wybuchła burza, niepodobna powiedzieć, jakieby na razie powzięto postanowienie. Przedewszystkiem pomyślanoby — a temu dziwić się nie można — o względnie najlepszych dla siebie korzyściach i bezpieczeństwie, sultan zaś także wziąłby w rachubę swoje bezpieczeństwo i wtedy albo uczepiłby się pazurów sępa pod niebezpieczeństwem, iż te by go zdusiły“... Równałoby się to końcowi Poniatowskiego — dorzuciłem... — „lub gdyby okoliczności, czas i wiara w skuteczność dozwoliły, rzuciłby się w objęcia strony przeciwnej, a wtedy jeżeli nie co innego, to spotkałby go przynajmniej piękny, bohaterski koniec, podobny do końca nie Poniatowskiego, ale tego Konstantyna, który padł broniąc Bizancyum przed Mahometem II. Ale niech Bóg sprawi, aby chwila postanowienia usunęła się w najdalszą przyszłość, aby pokój został utrzymanym“.

Zamieniliśmy jeszcze kilka uwag co do Bulgaryi; do której i Turcy przywiązują ważność. Może ona jednak, dodano, niepokoić na razie, bo przecież ogólnem

jest poczucie, iż jej stanowisko prawne wymagać będzie rozwikłania i uporządkowania, a to wywołać jest zdolnym nielada nieporządku i kłopoty. Gdym poruszył myśl zalatwienia rzeczy za pomocą uznania Ferdynanda Koburgskiego, jako księcia Bułgarii i generalnego gubernatora Rumelii, odpowiedziano mi: „Wolimy, aby kto inny a nie my, zapoczątkował to“. A gdy zauważyłem że to niepodobna, bo traktat berliński wyraźnie wymaga aby to uczyniła Porta — schylono ze smętnym uśmiechem głowę, z uśmiechem, który zdawał się mówić: „Nie! Na to wziąć się nie damy“. Pożegnałem się słowy: „Jako Polakowi i Austryakowi możecie wierzyć, iż pragnę, abyście jak najdłużej trwali i istnieli“. „Zwłaszcza jako Polakowi“, odpowiedziano mi, na co rzekłem przecząc: „Czyż nie widzicie i nie pojmujecie, kto sieje podejrzenie i przerażające przepowiednie? — Przecież w Salonicki zamiar wy nie wierzyć“.

*24 kwietnia.*

Od dwóch dni jest tu nieco chłodno. Tak w tureckim, jak dyplomatycznym świecie panuje jeszcze niepewność co do następstw upadku ks. Bismarcka, ale żądze są w skutku niej rozbudzone, a licznymi i różnorodnymi są one w Konstantynopolu. Właśnie dlatego, że leży nad Bosforem, który płynie między Europą i Azją, wzniecać musi zawsze pożądliwość lub zazdrość przeważnie tych mocarstw, które są europejskimi i azjatyckimi zarazem.

Konstantynopol podobny do łoża, około którego czuwają nad bezpotomnym, skazanym przez lekarzy, podupadłym bogaczem, wielcy i mali spadkobiercy. Lecz, że żaden z nich nie wie, co mu się dostanie z resztek mienia a każdy obawia się, aby drugi za dużo nie otrzymał, zatem sami już nie wiedzą, czego sobie życzyć mają więcej, czy prędkiego zgonu, czy przedłużenia konania.

Ktokolwiek jednak przypatrzy się nieco bliżej tu-tejszym stosunkom, nabrać musi przekonania, że wprawdzie Turcy jest chorym niewyleczalnym, lecz z niewyleczalną chorobą żyć może długo i dłużej jeszcze konać. Dopóki lekarze nie zgodzą się na zakończenie, raczej męczarni własnych pożądlivosti, niż cierpień chorego; będzie on chromał i bolał, ale żyć będzie jak kaleka a z pewnością samobójstwa nie popelni.

Stan jego jest zawiklaniem, różnych wrodzonych kalectw oraz chorób, których się nabawił oraz niemocy wskutek dokonanych ucięć, a przecież pozostał silny całokształt wyjątkowy, twardy i jest nabyta umiejętność obchodzenia się z własnymi ułomnościami, wreszcie nawiąknienie do nich.

Bezrząd i przekupstwo w wyższym, ale zwłaszcza w niższym zarządzie. Zarząd ten najgorszy, stoi na przeszkodzie wszystkiemu, nietylko postępowi, także należytemu zużytkowaniu obecnego stanu rzeczy, przecież są tu jeszcze źródła bogactwa, z których czerpaćby można, gdyby chciano i umiano, ale nikt nie umie, bo nikt nie chce. Wojsko pięknie wygląda, ale tylko podczas Selamliku; gdzieindziej, zwłaszcza w krajach obdarte i niepłatne. Wojskowych nauczycieli niemieckich nikt nie słucha, od góry do dołu. Wogóle nikt w wojsku czy zarządzie nie jest płatnym, przez pięć miesięcy, a przecież Turek poddaje się temu bez szemrania, składając na fatalizm brak wynagrodzenia przez pięć miesięcy i dziękując Allah, że przez siedm jest płatnym. Oto co się tu z miarodajnych stron słyszy, po części samemu widzi.

Miałem sposobność rozmawiania z kilku osobami, które ani do dyplomacyi, ani do urzędowego świata tureckiego nie należą, lecz które przez dłuższy pobyt i stosunki w najlepszych może znajdują się warunkach, aby bezstronnie a trafnie ocenić stan rzeczy.

Oto, co się z tych zajmujących rozmów dowiedziałem.

Do tego, o czem aby się przekonać, trzeba być na miejscu, należy rzecz niezrozumiała zdaleka wobec objawów niesłychanej dla Niemiec przyjaźni i wiary w nie, iż ani rząd, ani wojskowi tureccy, nie słuchają ani rad, ani nauk wojskowych niemieckich, którzy jak pod koniec osiemnastego, tak pod koniec dziewiętnastego stulecia, powołani zostali nad Bosfor, jako słynni na świat cały lekarze.

Nie słuchają ich, ale po wchodniemu, na sposób bizantyński, udają i klną się na wszystko, że słuchają. Przyjmują wszystkie myśli, chwalą takowe niezmiernie, ale żadnych nie wykonują. Przecież kilka napraw zalecanych przyjęło się, ale są one bez znaczenia wobec braku całości i ciągłości. Co najciekawsza, że podczas gdy wojskowi niemieccy narzekają wobec Turków na bezowocność swej pracy i służby w Turcyi, oni którzy zawsze chcą być zadowolonymi, odpowiadają najrozumniejszymi pochwałami i uwielbieniami na cześć nauczycieli germańskich i twierdzą w oczy, że wiele już zdziałali, że nieskończenie wielkimi są ich zasługi. Tem to zabawniejsze, czy smutniejsze, że ci wojskowi sami przestali wierzyć w skuteczność swej działalności i możność spełnienia zadania. Prawo o ogólnej służbie wojskowej zmienionem zostało i unicestwionem, dodaniem przez sultana jednego wyrazu, który wykluczył niemahometan. Żołnierz turecki pozostał doskonałym, przejętym on jest uczuciem obowiązku, poczuciem spójni plemiennej i nadzwyczaj silnem przekonaniem religijnem; niewymagający w życiu codziennem, wierzy w niesłychane rozkosze rajy Mahometa. Wszystkie te zalety, okazały się niedawno temu w pełnem świetle podczas powołania pod broń, spowodowanego wypadkami bułgarskimi. Świat turecki jest jeszcze społeczeństwem zdobywców, ale dziś zdobywców, którzy

czują że są zagrożeni w bycie i bezpieczeństwie. Turcy, mają się wciąż za arystokrację wśród innych ludów. Odczuwają niezmiennie pogardę dla chrześcijan i teraz w stopniu najwyższym, bo objawia się politowaniem. Z tem wszystkiem pozostają pod wpływem ciągłego strachu, to znowu zaslepienia bez granic; uniżeni w potrzebie, zarazem zdradzieccy już nie na wielki sposób, lecz podług „miary krawca“, są ostatecznie zepsutymi jako bizantyńczycy.

Wpływ, mówiono dalej, tych uroczych miejsc, klimatu, tego morza, które widzimy przed nami, nieba, słońca i księżyca, zawsze i nieodmiennie ten sam, jacyby ludzie byli i skądkolwiekby nadciągnęli, rozmiękcza obyczaje i usposobienia. Od czasu, jak tu założoną została stolica, wszędzie, zawsze i u wszystkich widzimy ślady tego, co się zwie bizantynizmem i dowody jego rozkladowego działania. Nawet rycerze krzyżowi, łacinnicy, Franki, którzy zaiste, ani miękkimi, ani zepsutymi wygórowanem wykształceniem nie byli, ulegli zepsuciu pod wpływem Złotego Rogu, ulegli rozkładowi i temu, co po wieczne czasy nazywać się będzie bizantynizmem, a co sprawiło, że dali się wyprzeć nawet przez Greków. Ten sam bizantynizm zwolna oddziałał na Turków, co także miękkimi nie byli, gdy tu przyszli a byli postrachem świata. Dziś w nich już więcej bizantynizmu niż tureczymu, nie tylko w obyczajach, także w zwyczajach i przyzwyczajeniach, nawet w zarządzeniach dworskich a zwłaszcza w bezmyślnym strachu, który zapędził sultana aż do Yildiz-Kiosku. I ani wątpić, że panowanie, które zastąpiłoby tu kiedyś tureckie, uległoby wkońcu wpływowi tego samego bizantynizmu, powolno-rozkladowemu. Zdanie to zresztą wyraził już Moltke, mówiąc o następstwach dla Rosyi usadowienia się w Konstantynopolu.

Jak za czasów Bizancyum, tak teraz Turcy powołują cudzoziemców, radzą się ich, udają, że rad słuchają,

a nie słuchają i podejrzewają. Niedawno temu, ciągnięto dalej, Goltz-basza chciał bez wynagrodzenia przedsięwziąć przegląd wojsk w Azji Mniejszej, sultan grzecznie, nawet serdecznie podziękował, lecz nie pozwolił. Gdy ten sam Goltz-basza trzechkrotnie był nieobecnym na Selamliku, zwróciło to uwagę Abdul-Hamida i dopypywał się skwapliwie o niego, nie tyle z troskliwości, jak z niepokoju, gdzie jest i co robi. Jest tu obecnie młody Moltke, synowiec wielkiego marszałka, służył w wojsku rosyjskiem, opuścił je, bo znane ukazy nakazywały przyjąć obywatelstwo rosyjskie, którego wziąć nie chciał; pragnie wejść do wojskowej służby tureckiej; ma listy polecające od stryja; sultan odesłał jego podanie do Porty, dla rozpatrzenia, co już nie jest dobrą wróżbą.

Gdyby ministrowie wiedzieli, że sultan dba istotnie o współpracownictwo wojskowych niemieckich i chce napraw, które doradzają, to pomimo odkładania, opieszalności i niespieszenia się, ostatecznie wprowadzone-miby one zostały w życie — ale oni o tem wcale nie są przekonani. Panuje bojaźń wszelkiej zdolności i wyższości, prawdopodobnie Osman basza dlatego niema dowództwa, tylko bardzo wysokie stanowisko dworskie, że był obrońcą Plewny. Są w armii zupełnie niepospolici wyżsi oficerowie tureccy, lecz kryją się z uzdolnieniem, nawet jeden z nich przybiera czasem postawę błazna, co uspokaja pana i władcę, jemu zapewnia bezpieczeństwo. Znowu to wszystko czysty bizantyzm a obrazem także bizantyńskim, było to co widzieliśmy przed paru dniami, kiedy podczas obiadu, dla księcia Meiningen, sultan, zwrócił się do gościa i rzekł, wskazując na wielkiego wezyra i ministra spraw zewnętrznych: oto moi najwierniejsi słudzy — a ci nieskończenie niskimi i niekończącymi się ukłonami, w głębokiem milczeniu wyrazili swą Padyszachowi wdzięczność.



Sultan, o którym w poufnych rozmowach Turcy mówią, iż jest Armeńczykiem przez kobiety, czy też z winy kobiety, jest bystrym, nawet rozumnym, wielce sprytnym, co nie pociąga za sobą, aby zawsze był rozsądnym; opanowany strachem bizantyńskim, żyje w odosobnieniu; odcięty od świata i jego rzeczywistości, otoczony sztucznem i niezdrowem powietrzem, pracuje wciąż umysłem, a w tym umyśle wytwarzają się dziwactwa i dziwolągi. Sam wiele robi i o wszystkim rozstrzyga. Nie lubi ludzi, którzy niczego od niego nie żądają, bo ich podejrzywa o niezawisłość i siłę woli. Niezmiernie zadowolony z tych, którzy coś od niego żądają, choć nie zaraz i nie zawsze daje, czuje się z ich strony bezpiecznym, bo widzi, że go potrzebują. Bizantynizm najczystszej wody.

Z bojaźni sultan nie zasłania się od morza Czarnego. Prawdopodobnie przemyśliwa w razie ostatecznego szturmie nie bronić się a to dla uzyskania dobrych warunków emerytury. W bezbronności bezpieczeństwo! Jak w Polsce. A ponoś głaszcą jego słuch zapewnieniami, że chociażby przyszło zażądać Bosforu i Dardanelli, to nie przeszkodziłoby wcale jego pozostaniu i panowaniu w Konstantynopolu.

Z tem wszystkim — taki był koniec rozmowy — zadanie wschodnie, od którego i europejskie jest zależnem, tak jak tamto pozostało od europejskiego zawisłem, jest dziś więcej, niż kiedykolwiek niezbadanem.

Rozwiązania nikt nie ma gotowego, ale bodaj czy wypadki i okoliczności nie zmuszą do szukania wzoru w tem, co się stało w Egipcie. A kto ma się podjąć naśladownictwa? — zapytałem. Bóg raczy wiedzieć — odpowiedziano.

Rzecz godna uwagi, iż wszystko, co Turcy biorą z wykształcenia europejskiego, raczej przygniata niż przeobraża ich społeczeństwo; wzmocnić zaś je i nowego w nie wlać czerstwego życia, stanowczo nie może. Nawet

łatwość połączeń drogowych, nawet koleje żelazne, które tak bardzo gdzieindziej przyczyniły się do przeistoczenia stosunków, tu mały względnie na nie wywarły wpływ. Wprawdzie niema ich jeszcze do zbytku, ale budować ich będą coraz więcej i wszędzie na Wchodzie, w Grecyi i Turcyi, a także, jak mnie zapewniono, w Azyi Mniejszej spotyka się inżynierów i przedsiębiorców którzy pracują już, lub dopiero badają nowe tory. Nie one jednak rozwiążą zagadkę wschodnią.

Dziś wieczór błyszczy półksiężyc na meczetach i na niebie. Półksiężyc to najlepsze, najpiękniejsze, najbardziej uroczne oświetlenie Konstantynopola. Dopiero przy księżycu, we właściwym świetle, wspaniale przedstawia się stolica państwa muzułmańskiego. Jest jakies pokrewieństwo, między księżycem a tutejszą architekturą.

W daleką puściliśmy się podróż nocną ze znajomym moim Szwajcarem, który od Aten towarzyszy mi. Podróż wymarzona, przez wyłącznie tureckie dzielnice, w samym środku Stambułu. Na oświetlonych z powodu Ramazanu uliczkach i w zaułkach znamienych, same turbany z cybuchami. Zdażaliśmy na Karaghucz, czyli teatr turecki; są to tureckie, chińskie cienie, jednak gadające, to jest, że w imieniu ukazujących się postaci, odzywa się z za kulis doniosły głos. Bohaterem przedstawienia jest Karaghucz, przez pół Falsztaf, przez pół Polichinell, postać komiczno-bohaterska. Te przedstawienia odbywają się w bardzo skromnych izbach, które są na tyłach niektórych kawiarni; gdy izba przepelniona, reszta publiczności przypatruje się z zewnątrz przez otwarte okna, które zamieniają się w łoża. Publiczność była bardziej zajmującą niż przedstawienie, któremu od czasu do czasu towarzyszyła hałaśliwa i piskliwa muzyka. Publiczność złożoną była przeważnie z dzieci, między którymi prześliczne głowy chłopców i dziewczynek, prawdopodobnie pochodzenia arabskiego.

Dzieci te nadchodziły same, bez opiekunów, oddane na łaskę Allahy i to na przedstawienie, które gdy się rozumie po turecku, wcale podobno nie jest dla pańien. Wprawdzie my nie mogliśmy się doczekać zapowiadanych zajęć bezwstydných i sprośnych. Przeciwnie, cała rzecz wydała się nam dość mdłą i jednostajną i tylko wyśmiewanie Persa, który w tureckim teatrze zajmuje mniej więcej to samo stanowisko co Żyd w naszym, ożywiało nieco widowisko. Publiczność małoletnia nadzwyczaj się bawiła; głośnemi wybuchami śmiechu wyrażała swoją radość; starsza była nader dla nas uprzejmą i przyzwoczicie poufałą. Przy wyjściu z kawiarni ujrzeliśmy poważne, nieco ponure postacie starych Turków w turbanach, przedstawiających przeszłość bez przyszłości. Istne cienie chińskie.

25 kwietnia.

Ambasadorowie prócz dwóch pałaców na lądzie mają kiosk i pałac na morzu, to jest mały statek, tak zwany *Mouche* i duży *Yacht*. Znalazłem się na morskim kiosku ambasady angielskiej w licznym towarzystwie z ambasadorową i ambasadorem na czele. *Mouche* dopłynęła do stojącego opodal w Bosforze *Yachtu* i wszyscy wsiedli na niego, aby podążyć do przeciwległego brzegu azyatyckiego. Między gośćmi najbardziej zajmującym był Goltz basza. Nie wiem dlaczego, słysząc wiele o nim dawniej i teraz tutaj, wyobrażałem go sobie jako posiadającego w bojach rycerza. Tymczasem Goltz basza, w sile wieku, raczej jeszcze młody, przystojny, bardzo i wszechstronnie wykształcony, jest wielce bystrym, przytem miłym i wcale a wcale nie sztywnym. Ze wiele wie o Bosforze i jego okolicy, nawet o seraju, domyślać się można. Wątpię, aby tu zakończył zawód i mniemam, że poważną ma przyszłość we własnej ojczyźnie.

Nietylko trudno, ale niepodobna zwiedzić Bosfor w lepszych warunkach jak te, w których odbyłem dziś po nim przejażdżkę. Płynęliśmy do Skutari. Część towarzystwa wraz z ambasadorem udawała się na ślub w rodzinie angielskiej, oddawna tu osiadłej; druga, do której należałem, skorzystała z tego, aby pieszo zwiedzić wielki cmentarz w Skutari. Między innymi był baron Hirsch — nie wielki baron, tylko jego brat stryjeczny, ożeniony z jego siostrą, która przybyła nad Złoty Róg, raczej dla Hirschów, Róg obfitości. Były trzy Angielki, panny najlepszego niezawodnie gatunku, podróżujące same po najdalszych stronach świata — dla przyjemności; mówią tylko po angielsku, a są nieodstępni od Aten mojemu towarzyszkami, nietylko w podróży, ale gdziekolwiek się krokiem ruszę, aby coś zobaczyć lub zwiedzić. Ile razy odwrócę się i spojrzę za siebie, widzę je, niby trzy Parki Michała Anioła.

Cmentarz w Skutari, to ogrom; las cyprysów i marmurów; wygląda jak wielkie pobojowisko, na którym stoczona została bitwa marmurów i kamieni. Przy wejściu znajduje się klasztor derwiszów, ani kręcących się, ani wyjących, lecz *derwiszów o wszach*, żebraków i kalek. Każdy z nich ma jakieś kalectwo. Wielkiem było nasze zdziwienie, gdy wszedłszy w mury zakładu, ujrzeliśmy rodzaj kaplicy — miejsce modlitwy, nadzwyczaj schludne i czyste. Za kilka piaszców, które składa się na kamieniu, zaśpiewali nam hymn na cześć Allaha. W pobliżu spotkaliśmy największego kalekę, derwisza obłąkanego.

Opodal od wielkiego mahometańskiego cmentarza, znajduje się inny, angielski, z czasów wojny krymskiej. Jest to piękny ogród, w środku wznosi się pomnik dla poległych, staraniem królowej Wiktoryi wystawiony. Muszą tu i Polacy spoczywać. Jeden nagrobek poetyczny: trumna z kwiatów odradzających się. Rosną tu drzewa Judei o wspaniałym kwiecie ciemno-bzowym, które

jeszcze w Wiedniu polecila mej uwadze piękna pani, zalecając, abym się znalazł w Konstantynopolu w chwili ich rozkwitu. Przypomniały mi one jej wdzięk.

Wracając z przystani Złotego Rogu pieszo z ambasadorem, stanęliśmy przed zgrabnym kioskiem, w którym podpisanym został pamiętny protokół, nadający prawną moc połączeniu Rumelii z Bułgaryą, w czem Sir W. White przeważny wziął udział. Zauważyliśmy zajezdne domy, przypominające rozkładem i budową polskie karczmy. Polska wskutek licznych z Turcyą walk i stosunków wiele sobie przyswoiła z niej szczegółów.

Śliczna znowu tu pogoda i słońce prześwietne. Turek nigdy niczemu się nie dziwi i nigdy się nie spieszy; w czem ma słusność, bo dziwić się już nie może niczemu, a gdyby się spieszył, przyspieszyłby swój koniec.

Poznałem znowu dwóch tutejszych dygnitarzy, dwóch dyplomatów tureckich, przecież dwa odmienne pierwowzory.

Artin basza, Armeńczyk i chrześcijanin, sekretarz stanu w ministerstwie spraw zewnętrznych, światły, rozumny i wymowny. Miał przez czas naszej rozmowy wnuczkę na kolanach, śliczne dziecię i twierdził, że wnuki miłsze są jeszcze niż dzieci. Wspomniał uprzejmie o *Czasie*, dodając, iż wiedzą tu, że nie żywił nigdy nienawiści do Turcyi a umiał za słusnością się odezwać. Wspólnemi stały się nasze nieszczęścia — rzekł — lecz zapóźno odczuta została wspólność spraw.

Rozmowa tutejszych ludzi jest słodka, głaszcząca i barwna, jak klimat i oświetlenie.

Munir bey, sekretarz jeneralny w ministerstwie spraw zewnętrznych, Muzułmanin, prowadzi dom na sposób turecki z haremem. Inna to zupełnie postać niż Artin basza. Elegant turecki, który zna Paryż i inne stolice europejskie, ale nie przeistoczył się wcale; posiada oglądę, wstrzemięźliwym jest w mowie i uzbro-

jony w tę bierność, która stała się tu hasłem. Urządzenie mieszkania na pół wschodnie, na pół europejskie. Dużo fotografii wiedeńskich, między innymi ku niemałemu memu zdziwieniu, prześliczna, bohaterki zbyt głośnego i bolesnego dramatu w Mayerling.

Munir bey mieszka w nowej dzielnicy, która się zabudowuje, którą sam nazwał *Laskiem Bulońskim* — Konstantynopola. Na czym mu nie zbywa, to niezawodnie na sprycie. Należy do tych, u których milczenie jest rozumne.

Oblewają tu nieco zimną wodą moją dla Greków dzisiejszych życzliwość. Przedewszystkiem znawcy twierdzą, że wojsko greckie wiele pozostawia do życzenia i że plagą w niem jest brak karność; czego jaskrawym objawem stało się przed kilku laty, rozpoczęcie przeciw Turcyi kroków nieprzyjacielskich, bez rozkazów z góry i bez wypowiedzenia wojny. Grecy, mówią mi, a także i Serbowie, ale Grecy zwłaszcza, wpatrują się zbyt mocno w przeszłość; jedni w Maraton, w Kosowe pole drudzy, nie dosyć patrzą w przyszłość. Grecy dzisiejsi mają przedewszystkiem wykształcony zmysł oceny, nie mają twórczego; zdolni są bardzo niezaprzeczenie, ale to sprytne i bystre próżniaki. Bułgarzy o wiele więcej od nich są pracowitymi i rzeczywistymi; robią szybkie postępy i dlatego prędzej dojść mogą do celu, dlatego do nich może przyszłość należeć.

Do oznak rozkwitu bizantynizmu tutaj należy upodobanie sultana w donosach, które jak twierdzą, sam stworzył i mozołnie urządził; lubi on donosicielei nawet fałszywych. Turków przyjemnych, nawet światłych i rozumnych jest wielu na różnych a i ważnych stanowiskach, ale wszystko zabija administracya wadliwa i zła z gruntu. Urzędnik, biurokrata turecki, jest ohydny. A bronią odporną całego tego świata od góry do dołu, jest — podstęp z obawy podstepu.

Zakończyłem dzień w ambasadzie angielskiej, na obiedzie danym dla ambasadora perskiego i szwedzkiego poselstwa, udającego się z polecenia króla do Teheranu. Zabawnym jest stosunek między Turkami a Persami; dziwny to stosunek, gdyż szach nie uznaje sultana jako naczelnika świata mahometańskiego, przecież ma przy nim ambasadora z konieczności, gdyż wielką jest liczba Persów zamieszkałych w państwie padyszacha i w samym Konstantynopolu, a sprawy są liczne i ważne. Ambasador perski ma wspaniałą, obszerną pałac. Persowie są odszczepieńcami i tworzą rodzaj protestantyzmu mahometańskiego; między innemi nie obchodzą Ramazanu i żartują z niego. Turcy drwią z Persów a Persowie z Turków, pierwsi zawsze podśmiechują się, mówiąc o drugich.

26 kwietnia.

Jest w Konstantynopolu człowiek przywiązujący do siebie który przez długi pobyt, liczne stosunki i zaszczytną pracę, stał się poniekąd wschodnim, a nie przestał być pierwowzorowym Anglikiem, zachowując wszystkie poważne zalety swojego wielkiego narodu, pozbawiając się niektórych właściwych mu przywar. Jest nim Mr. Edgar Whitaker, wydawca *The Levant Herald*, drukowanego na pół po angielsku, na pół po francusku; prawdziwa opatrność cudzoziemców, zwłaszcza przejezdnych, chcących wiedzieć, co się dzieje w świecie i w Turcyi, a mieć o tem dokładne i prawdziwe wyobrażenie, wolne od plotek, przesad i zamiaru z góry powziętego, któremi najczęściej karmią publiczność tutejsze dzienniki, pisane po turecku lub w innych językach.

Mr. E. Whitaker był sprawozdawcą *Times* podczas ostatniej wojny wschodniej i widział, jak dopiero po-

czworna siła zwyciężyła żołnierza tureckiego — który dotąd jest doskonałym, małem się zadawałniam a to małe sam sobie umie dostarczyć.

Latwość życia na Wschodzie, klimat i słońce, ciągly bal maskowy, sprawiają może, że się nawyka do tego życia i że miłemu wydawcy *Levant Herald* już teraz przyszłoby z trudnością zamieszkać w Anglii. Ale to życie ma swoje niebezpieczeństwa: niebezpieczeństwo zmiękczenia i tego co tak dobrze oznacza wiedeńskie wyrażenie *vertrottelt*, którego każdy rozumny a przezorny Europejczyk unika, biorąc urlopy i robiąc wycieczki do krajów mniej od przyrody uprzywilejowanych.

Śniadałem w ambasadzie francuskiej z katolickim patriarchą armeńskim. Dobry smak jest flagą, po której się poznaje Francję w najodleglejszych stronach. Flaga ta powiewa nad ambasadą francuską w Pera. Odznacza się nią wielka, piękna komnata o kształtach istnie ambadorskich, urządzona ślicznie, ozdobna pysznymi gobelinami; jej wdzięk stanowi uniejętne połączenie paryskiej wykwiutności ze wschodnią barwnością.

Hrabina Montebello z wszystkimi zaletami Paryżanki posiada pewną międzynarodową wytworność, która pozwala jej być nie wyłącznie i nie zawzięcie Paryżanką. Przywilejem ambasadorowej francuskiej w Konstantynopolu jest mieć ze swojego buduaru najpiękniejszy może na świecie widok, na Stambuł, kończynę starego seraju, morze Marmora i Bosfor, Wyspy Książęce, Chalcedonię i Skutari — widok godny oczów dzisiejszej ambasadorowej.

Obfitość i piękność kwiatów na stołach i w salonach Pera, zwłaszcza w tej porze roku, są ich ozdobą nie lada.

Hrabina Montebello miała oczywiście wszelkie ułatwienia, aby zwiedzić haremy, opowiadała mi o wielkiej uprzejmości, z jaką kobiety tureckie przyjmują



odwiedzające je panie, o ich grzeczności bez przesady i zakłopotania; uderzyło ją to zwłaszcza, że nigdy nie trąca, ani wpadają w pospolitość. Wobec czego zgodziliśmy się, iż pokazuje się, że pospolicieje się tylko w zetknięciu ze światem.

Obecność patriarchy armeńskiego była mi dowodem, że Francya nie zaniedbuje na Wschodzie sprawy chrześcijan i katolików, która jest jej cywilizacyi sprawą, jak to kiedyś stwierdził słusznie minister Goblet w jednej ze swoich mów.

Patriarcha Cylicyi, Azaryan z długą, spiczastą brodą, jest postacią malowniczą i pierwowzorową; rozumny, przenikliwy, rozmawia z łatwością i nie źle po francusku; wie wiele o wszystkich kościołach armeńskich, nawet o galicyjskim, chociaż ten nie podpada pod jego zarząd, nad czem ubolewa, zwłaszcza nad tem, że Armeńczycy katolicy na Węgrzech, nie zostali podciągnięci pod jego władzę, o co się w Rzymie starał, czemu zawsze sprzeciwiał się stanowczo rząd węgierski. Ma jedną dyecezyę w części Armenii, odpadłej do Rosyi, którą mu pozwalają dotąd bez zbytnich trudności zarządzać.

Zwiedziłem najbardziej znamienną, najwyłączniejszą dzielnicę, około meczetu Eub, nieprzystępnego dla niewiernych, w którym znajduje się miecz proroka. Europejczyk spotyka się tam z podejrzliwemi spojrzeniami oczów wyglądających z pod turbanów. Meczet widziałem tylko z zewnątrz, naokoło niego w ogrodach i na krużgankach, pełno było wiernych, tak jak u nas podczas odpustu. Stamtąd objechałem mury Konstantyna, które jako mury są zwaliskami, jako zwaliska dziwnie dobrze zachowanemi. Są to sterczące, olbrzymie nagrobki, nie ludzi, ale wszystkich narodów i panowań, które kolejno łbem o te mury uderzały. Zakończą je siedm wież, w których Turcy już nie więżą ambasadorów, od czasu jak sami są w ich więzach.

Ta sama miła pani, która w Wiedniu zaleciła mojej uwadze drzewa Judei, chciała abym zwiedził mury Konstantyna. Droga około nich jest okropną, straszną, jak wogóle bruk tutejszy; powróciwszy, musiałem się położyć do łóżka, lecz czegoż się nie przebaczy ładnej kobiecie, tem więcej, iż znaczna w tem wina moja, gdyż należy zrobić tę wycieczkę konno, a ulegając lenistwu, przedsięwziąłem ją niebacznie powozem, powozem zaś to istna męczarnia. Dość, że mam dosyć wycieczek. Te mury weszły mi w kości.

Spoczywając, przemyślałem nad ludami i ludźmi, którzy odznaczają się, jak tutaj, dobrocią dla zwierząt i mówiłem sobie, że zwykle okrutnymi są dla ludzi. Nareszcie zastanawiałem się nad zdaniem, które wciąż słyszę, które brzmi mi w uszach, jakoby jedyne rozwiązanie zagadki: „Cierpliwości! Jesteśmy w Turcyi“.

27 kwietnia.

Podczas gdy w Egipcie zakazano właśnie teraz, pod wpływem purytanizmu angielskiego, gry publiczne, tu kwitnie ruleta, za kulisami wszystkich *Śpiewających kawiarni*, ruleta o dwudziestu czterech numerach i dwóch zerach, przedstawionych słusznie przez dwa drapieżne ptaki. A przecież znajdują się gracze, wobec czego nie wiedzieć, co bardziej podziwiać, czy bezdenność głupoty, czy potęgę namiętności ludzkiej. Nigdy nie widziałem nic bardziej ponurego i smutnego jak te rulety, nic bardziej sprzecznego z wyobrażeniem o grze i jej upojeniu.

W Konstantynopolu trzy najmniej są dni świąteczne na tydzień: selamlik turecki w piątek, sabat żydowski w sobotę i niedziela chrześcijańska, a każdy z tych dni świątecznych, oddziaływa na wygląd miasta, na ruch handlowy, na sklepy, nawet na wrzące życie Bazaru.

Dziś w niedzielę kościół austriacko-węgierski na Pera był przepelniony. Życie wśród świata muzułmańskiego, ożywia i wzmacnia wogóle uczucia religijne chrześcijan. Sultan jest jeszcze bardzo potężnym w swym świecie i w swym państwie, nietylko władzą rządową, ale także duchową i religijną; jeszcze na jego skinienie społeczność mahometańska, ruszyłaby się i zdobyłaby się na wszelkie czyny, gotowa na wszystko. Turcy podnoszą, iż sultan tej władzy nie nadużywa.

Minarety strzelają w niebo, jak wieże kościołów gotyckich; wiara jest tu silną i gorącą, jakby w pierwszych czasach, lub też znikła zupełnie.

Spróbowałem tutejszego sposobu palenia tytoniu zapomocą przepuszczania dymu przez wodę. Wysilenie niesłychane i ciężka praca, której nie podolałem, zaniechałem jej i zapaliłem doskonałego papierosa. Co tu z dymem idzie wybornego tytoniu i co się tu pije wody! Turcy zapewne dlatego są tak często otyli, że zawiele piją wody. Mówią, że potajemnie niektórzy piją teraz i wino; to pewna jednak, że się po ulicach nie spotyka pijanych Muzułmanów.

Podczas gdy wysilałem się bezowocnie nad wodnym cybuchem, powstał w okolicy pożar, który jest, jak wiadomo, w tutejszym obyczaju. W jednej chwili przeleciał przez ulicę Pera uragan, ochotnicza straż pożarna. Ratunek i obronę przeciw klęsce pożarów, urządził bardzo umiejętnie w Konstantynopolu, magnat węgierski Széchényi basza, syn wielkiego węgierskiego patryoty i statysty, a brat hr. Beli, znajomego mojego jeszcze z uniwersytetu w Bonn, znanego z dalekich podróży, który tu właśnie przybył ze slicznymi córkami. Zasługi Széchényjego baszy są uznane przez wszystkich i przez sultana. Liczne budynki z drzewa, nieład i rozgardyaszczyzna, który tu panuje, słońce pałace, czynią z pożarów klęskę zwyczajową. Domostwa tutejsze płoną równie prędko, jak się odbudowują.

A ma się wciąż naprzemian wrażenie, które sprawia pałac i buda.

Aby wyczerpać wszelkie miejscowe przyjemności, zajądałem sorbetu, ale nigdzie nie dostałem takiego, jak ten, który nam z łaski sułtana podano wśród murów starego seraju.

Jeżeli rulety tutejsze są ohydne to w zamian klub na ulicy Pera *Cercle d'Orient* ma wspaniałe krużganki i komnaty oraz urządzenie angielsko wschodnie, szkoda, że te podwoje najczęściej są puste. Spotyka się Turków, Persów, Armeńczyków, Greków i wszelkiego pochodzenia Europejczyków.

Bawił tu Dr. Virchow z powrotem z Troi. Chociaż nie ma powodów osobistych rozczulania się nad upadłym Bismarckiem, przecież ma wielkie wątpliwości, co się tyczy usunięcia go i następstw. Podobno cesarzowa Fryderykowa, która również miłych nie może mieć wspomnień z czasów żelaznej wszechwładzy, miała wyrazić zdanie -- że szkoda się stała.

28 kwietnia.

Czytam ostatnią budżetową mowę ministra Dunajewskiego i znajduję, że jak do wielu u nas rzeczy, tak też do polityki austriackiej tutaj, da się zastosować zdanie przytoczone przez mowcę: „Idzie wprawdzie powoli, ale przynajmniej idzie“. Wymagać więcej, zważywszy stosunki obecne i położenie, byłoby nietylko niesprawiedliwym, ale i nierozważnym. Każdy przyspieszony krok byłby tu fałszywym; czuje się to zwłaszcza na miejscu. Umieć jednak iść powoli, lecz ciągle, nie następować na nagniotki, a przecież dać czuć zawsze swoją obecność, to zasługa a zadanie wymagające wiele cierpliwości, spokoju i rozumnego zaparcia się miłości własnej, raczej próżności. Temi zaletami odznacza się

na Wschodzie obecna polityka naszego zarządu spraw zewnętrznych i mniemam, że trafnie zastosowaną jest do terażniejszych wewnętrznych i zewnętrznych warunków tak Austro-Węgier, jak też i półwyspu Bałkańskiego. Każda inna mogłaby bardzo spieszenie przemienić się w karkołomną; ta zaś nie narażając terażniejszości, nie przesądza przyszłości. Od chwili jak — czy to wskutek zrozumienia konieczności i zastosowania się do niej, czy też z innych powodów, przyszło odstąpić od zasad ks. Metternicha co do Wschodu, polegających na strzeżeniu nietykalności Turcyi — polityka austriacka w Oriencie nie łatwo zorientować się mogła i skazaną była iść nieco po omacku, szukając i próbując nowych dróg, zatem musiała i musi „iść powoli wprawdzie“, ale koniecznie „iść“. A właśnie wciąż się tu czuje, że wprawdzie powoli idzie, przecież idzie i przyznać należy, że zawdzięcza to sposobowi przyjętemu wobec nowo wytworzonych stosunków, przez hr. Kálnokyego, nieraz tak dobitnie i szczęśliwie wyłożonemu w Delegacyach wspólnych. Każdy inny stosowany przez Austro-Węgry, dolewałby dziś tylko oliwy do ognia. Czas, wytrwałość i ścisłość w obranym kierunku, muszą zatrzeć wspomnienia jeszcze niedawne, które wciąż są z umysłu wskrzeszane i użytkowywane, gdy jednocześnie się się zręcznie nieufność i podejrzenia, stwarza się bajki i straszidła dla niweczenia dobrych skutków polityki roztropnej, zachowawczej i rozumnie niezachłannej. Tu się dopiero widzi, jak na każdym miejscu i na każdym kroku, przychodzi oddziaływać i walczyć z ukartowaną przez rosyjską dyplomacyę potwarzą i ze złością, która ścierpieć nie może, iż „idzie się wprawdzie powoli, ale przynajmniej idzie“.

Jak już wspomniałem, Europa i dyplomacya dopiero po każdym pogromie Turcyi, na który zezwała, odczuwa jej potrzebę i przerażenie, na myśl zniknięcia jej z widowni świata. Te uczucia mają dziś znamiona

krańcowe, są albo rozpaczliwemi, albo natchmionemi poddaniem się. Ogólnem jest poczucie, że już teraz Turcyja nie tylko bronićby się nie mogła, ale nawet stawić oporu. Stąd rozumowanie, iż losy jej nie zależą od lepszego lub gorszego wojska, gdyż to choćby najbitniejsze nie poddało samo zadaniu, lecz od obmyślenia środków ochraniających Turcyję od uduszenia. Trzeba potemu wytworzyć naokoło niej warunki zdrowotne, wśród których oddychaćby mogła i które zapewniłyby jej swobodę ruchów; wtedy dopiero mogą nabrać znaczenia jej siły wojskowe tak europejskie jak azyatyckie. Stąd ważność na razie Bułgaryi, którą o ile widzę, oceniają także Turcy. Słyszę też zdanie, którego trafność dopiero z czasem okazać się może, iż po zaszytych w Berlinie zmianach, lepsze tam w tej mierze może wziąć górę zapatrywanie, już dlatego, że nowi ludzie nie podlegają pruskiemu nawyknienu do Rosyi, którego nigdy książę Bismarck i jego dynastya nie byłaby się pozbyła.

Śniadanie dzisiejsze wyłącznie angielskie, zaliczam do miłych i nauczających chwil, które w Konstantynopolu przepędziłem. Zaprosił mnie na nie wydawca *Levant Herald* Whitaker, który mieszka wspólnie z tutejszym konsulem Wielkiej Brytanii, mężem światłym i wytrawnego umysłu; posiada on cenny i piękny zbiór broni wschodniej. W towarzystwie Anglików jest się na wielkich gościńcach nie już Europy, ale pięciu części świata. Zajmująca też rozmowa obejmowała je wszystkie, a niemało do jej ożywienia przyczynił się jeden z gości, o którym powiedzieć można, że był wszędzie. Wrodzona ciekawość i obowiązki służby publicznej, zawiodły go już za młodu w najodleglejsze, zwykłym śmiertelnikom nie dobrze znane strony i zakątki kuli ziemskiej.

Rozmowa przeniosła nas z Japonii do Turcyi, z Chin na Sybir. Podniesiono to dziwne zjawisko, że Japończycy, którzy jak wiadomo, popadli w gorączkę reform,

szukają obecnie nowej religii. Zwykle religia wyrasta ze społeczeństwa, lub też narzuconą mu jest. Japończycy chcą na zimno, wybrać nową dla siebie z pomiędzy istniejących, a skoro już przyjęli konstytucyę pruską, to zapewne przyswoją sobie i pruską religię.

Podzielone były zdania co do niebezpieczeństw, jakie ze strony Chin, raczej Chińczyków grożą Europie i naszej cywilizacyi. Przeważało to, iż je wogóle przeceniają, chociaż jest to naród, który ma w sobie nietylko przeszłość, ale pewne warunki przyszłości, zwłaszcza więcej twórczości niż Japończycy. Na jedno się zgodzono, że Chińczycy mogliby się stać groźnymi dla sybirskich granicznych posiadłości rosyjskich, gdyż Rosya ma tam stanowiska odsłonięte i nie jest w stanie przeciwstawić niezliczonym zastępom chińskim odpowiedniej sily. Byłby to nie polityczny, ale gospodarsko-robotniczy najazd.

Z kolei rozmawialiśmy o stosunkach Syberyi. Opowiadano, że najzaszczytniejsze między skazańcami miejsca, zajmują zesłani za udział w wypadkach 1863—1864 r. Z tego wyrobił się obyczaj udawania, że się było wmięszanym w powstanie z 1863 r. gdyż to daje stanowisko, a niejedn złoczyńca, skazany za pospolite występki, stroi się w powstańcze pióra. Pomimo, iż Sybir stanowi świat oddzielny, przecież w całej pełni panuje tam obyczaj rosyjsko-biurokratyczny. Jeden z obecnych musiał w jednym z miast Sybiru dłuższy czas zabawić; porobił znajomości, raptem rzucono na niego podejrzenie, iż nie jest tym, za którego uchodził i wszyscy od niego się usunęli, tak, iż wśród ciężkiej choroby, został całkiem opuszczonym; gdy wyzdrowiał, z wielkiem zdziwieniem ujrzał się znowu serdecznymi przyjaciółmi otoczonym. Nie mógł sobie wytłómaczyć tych raptownych zmian. Pokazało się, że zasiągnięto w Petersburgu wiadomości o nim, a między zapytaniem i odpowiedzią uznano za stosowne całkiem go nie znać,

ani szklanki wody podczas choroby podać. Ten sam podróżnik widział i znalazł oficera skazanego na wysłanie za kazirodne ze siostrą stosunki. Po pewnym przeciągu czasu, został kapitanem statku parowego, na jednej z wielkich rzek tamtejszych i prowadził żywot małżeński ze siostrą.

Dziś właśnie rozstrzygniętą została sprawa, która poniekąd na dwa obozy dzieli świat turecki i dyplomatyczny. Podpisaniem zostało *irade* o zamianie wewnętrznego długu tureckiego i częściowego zewnętrznego. Przecież dziennikom, wraz z niemi *Levant Heraldowi*, nie wolno o tem donieść, zatem o jedynie zajmującej na razie rzeczy; może dlatego, że jak się to zwykle dzieje, choć *irade* podpisane, zawiera zastrzeżenia, które przeistaczają rzecz tak, iż nie można powiedzieć, że zamiana nastąpi.

Teraz mówiono — niema już istotnych w Turcyi i Konstantynopolu stronnictw; są współzawodnictwa i zabiegi. Minęły, zdaje się, niepowrotnie czasy wielkich i małych przeobrazicieli, oraz wynikających stąd walk. Reszyd basza był ostatnim z głębszą myślą. Midat był tylko pokostowym reformatorem, przecenionym przez Europę; jego naprawa dotyczyła przeważnie trunków gorących i kobiet; chciał pod temi względami zaprowadzić europejskie obyczaje i od siebie samego rozpoczął; dobry zarządca w krajach, nie był nigdy na wysokości zadania u steru państwa. Ale Reszyd czy Midat wywoływali opór Staroturków i zajmującą, żywotną jeszcze walkę polityczną oraz społeczną. Dziś śladu już tego niema, dziś różnice zatarły się, znikły, w obojętności i drzemce.

Na zakończenie stwierdzono, że Anglik był pierwszym, który w środkowej Azyi wywiesił chorągiew rosyjską. Kupiec angielski Jenkins za Elżbiety i Iwana Groźnego, otrzymał pozwolenie odbycia podróży przez Rosyę do tych dalekich, wówczas nieznanych krajów



pod warunkiem, że obok angielskiej, używać będzie rosyjskiej flagi.

Wiadomem jest, jakie były następstwa. Jakie jeszcze być mogą, przeczuwać wolno, a przewidywania w tej mierze są ważnym także czynnikiem sprawy wschodniej. A tak tu, nad Bosforem, rozgrywają się jeszcze losy Europy, Azji i Afryki.

*29 kwietnia.*

Wczorajszy bal w ambasadzie angielskiej, na który Lady White uprzejmie mnie zatrzymała, był obrazem, który tylko nad Złotym Rogiem widzieć można; świetne jego barwy, różnaitość postaci, ożywienie, połączenie znamion zachodnich ze wschodnimi, europejskich z azjatyckimi, różnorodność pierwowzorów i strojów, całość i szczegóły przedstawiały w skróceniu Konstantynopol i dzisiejsze nad Bosforem życie. Do tego obrazu nadawały się doskonale ramy wspaniałego pałacu ambasady, a jego obszerne krużganki zdobiły go malowniczym, na drugim odrysie widokiem. W tem prawdziwym dziele sztuki, w jego ożywieniu, znać było umiejętną rękę pani domu, której zawdzięczało zgododźwięczność i powab. Dar przyjmowania i przewodniczenia licznym zebraniom i światowym uroczystościom, jest właściwym paniom z naszych stron; posiada go w całej pełni Lady White, niemniej cenny zastosowania do wszystkiego i wszystkich, do okoliczności i ludzi właściwej miary. Przyjęcie mające znamiona przyjemnej, bo pełnej prawdy gościnności angielskiej, zdobiła wytworna uprzejmość córki domu pani Gayer, żony szwedzkiego dyplomaty, która miłe jako panna, zostawiła w Krakowie wspomnienie chwil przepędzonych przed trzema laty wraz z ojcem, podczas świąt wielkanocnych.

Przed pałacem naprzeciw szeregu powozów, szereg lektyk, w przedsiódkach hajduków, kawasów, służby bez liku; na schodach dwóch majtków angielskich, nieruchomych, wybornych, przedstawiających i na tem stanowisku, poczucie obowiązku; w wielkiej pięknej komnacie, istna ruchoma wystawa błyszczących ognistych gwiazd i krzyżów.

Cała dyplomacya i urzędowy świat turecki. Brakowało ambasadora niemieckiego, bo choć bal danym był po części dla panien Radowitz, nie mogły przybyć z powodu odry, która się w ich domu pojawiła. Był ambasador rosyjski Nelidow, nader miły i uprzejmy w stosunkach towarzyskich. Był Said basza, minister spraw zewnętrznych; odznacza się on pewną dobroduszną prostotą i zdrowym chłopskim rozsądkiem, przytem łatwością w obejściu. Podczas rozmowy, którą mnie zaszczycił, zbliżył się Mr. Salomon Hirsch, poseł Stanów Zjednoczonych przy Wysokiej Porcie; nie nauczył się on jeszcze po francusku a umie po niemiecku. Said basza zaś zapomniał już mówić po niemiecku; przez chwilę zatem służyłem za tłumacza, pomiędzy Turcyą a Ameryką. Said basza opowiadał nam, iż gdy był ambasadorem w Berlinie, władał językiem niemieckim i zawsze rozmawiał po niemiecku ze starym cesarzem; przed dwoma laty umarł służący Niemiec, którego wziął był ze sobą i teraz wyszedł zupełnie z używania; przecież obiecał ambasadorowi niemieckiemu, że znowu niebawem poduczy się, gdyż weźmie w tym celu za żonę Niemkę. Zauważyłem, że to nietylko najłatwiejszy, ale i najprzyjemniejszy sposób; co uśmiechając się, przyznał. Podczas dłuższej rozmowy wyraził Said basza, historyczne wstecz zdanie, iż Polacy, Węgrzy i Turcy zapóźno zrozumieli, że nie należało im się wzajemnie osłabiać i niszczyć. Wreszcie rzekł: „A teraz idźmy przypatrzeć się tańcom“. „Tak jest — odrzekłem — idźmy Excellencjo poszukać żony“.

Poznałem na balu uczonego dygnitarza tureckiego Munif baszę, ministra oświecenia, który, jak mnie zapewniono, wielkiego dokłada starania, około rozwoju zakładów naukowych i powszechnego używa szacunku. Nie mógł się nadziwić, dlaczego Serbowie obchodzą jako uroczystość narodową, rocznicę bitwy na Kosowym Polu, na którym „zwyciężyliśmy, wyróżniliśmy i do upadku doprowadziliśmy ich“. Pomyślałem sobie, że tylko zmartwychwstałym narodom wolno obchodzić uroczystości klęski, dlatego że pomimo nich, odżyły, podczas gdy umierające nawet nie święcą dawnych zwycięstw.

Spotkałem się i uściskałem dłoń Muzaffer baszy Czajkowskiego, który jest wyższym oficerem, dzielnym a wielce cenionym i szanowanym. Polaków wogóle mało się tu teraz spotyka. Jest ich jednak jeszcze nieco zwłaszcza pochodzenia polskiego; na dworcu przy głównym odbiorze pakunków, zastałem młodego człowieka, urodzonego z polskich rodziców, który doskonale mówi po francusku, lecz nie umie po polsku.

Wreszcie przedstawiono mnie okrytemu orderami, podeszłego wieku Turkowi, który widocznie był jakąś znaczącą osobą. Wśród szmeru balu nie dosłyszałem jego nazwiska ani godności, podczas długiej rozmowy, dostrzegłem istnie wschodni zakrój rozumu i znamienny, zwykły tutejszym ludziom spryt dobroduszny. Wyrażał się z trudnością po francusku, nieco jak szach perski telegraficznie; ale każde słowo wychodzące z ust jego, miało znaczenie i to podwójne tak, iż drugiego trzeba się było domyślać. Między innymi zapewniał mnie, że ministrowie i rząd pragnęli, aby postąpiono sobie surowo w Kretą i dano przykład, jak należy poskramiać bunty, „lecz dodał, nasz pan i władca jest zawsze za łagodny i przeciwny rozlewowi krwi, zatem łagodność przemogła“. Nie pochwała, że okręty tureckie wiecznie stoją z zapuszczoną kotwicą w Złotym Rogu;

„Nie zaszkodziłaby im od czasu do czasu przejażdżka po morzu“. Wreszcie ku niemałemu mojemu zdziwieniu zapytał mnie: czy ks. Bismarck jest istotnie tak znakomitym człowiekiem, za jakiego uchodzi? „Czy mamy o tem wątpić, odrzekłem, dla tego że upadł“. „Nie, ale przecież on za młodu we własnej ojczyźnie, uchodził za waryata. Bodaj więc, czy go wielkim nie zrobiły okoliczności“. Nie były to wcale komunały; w sposobie ich wypowiedzenia, tkwiła cała nauka fatalizmu, zastosowana do zawodu żelaznego kanelerza.

Austro-Węgrom przyznano na balu palmę; zdobyły ją dwie uroczę córki hr. Beli Széchényjgo. *Mater pulchra, filia pulchrrior!*

Odbyłem dziś na yachcie angielskiej ambasady pożegnalną przejażdżkę do Wysp Książęcych, wraz z poselstwem szwedzkim wysłanem do Persyi. Przyłącza się do niej zięć Sir W. White, Gayer; rusza ona jutro w dalszą podróż. Niełatwo przychodzi zrozumieć, co może mieć do czynienia w Persyi szwedzkie poselstwo. Jest ono ze strony króla wywzajemnieniem się za przysłanie przedstawiciela króla królów, na kongres wschodni w Sztokholmie, oraz za udzielone wtedy orderzy. Są tacy którzy przypuszczają, że Szwecya, która ongi tak zdumiewająco wielkie w dziejach zajęła stanowisko, nigdy wyzbyć się nie może, jeśli nie zachcianek, to tęsknoty mocarstwowej. Poselstwo do Teheranu odróżnia ją od Belgii, Szwajcaryi i innych małych państw, które nigdy wielkimi nie były. Są to psychologiczne odcienia dumy, czy próżności narodowej.

Wjeżdża się w zaczarowany labirynt wysp, każdej rysunek inny, śliczny; świetna na tych Wyspach Książęcych zieloność, rzadka tutaj. Odnaczają się one znakmionami europejskimi. Turcy nie mieszkają na nich, lecz przeważnie Grecy i cała rzesza Lewantyńczyków. Podczas przejażdżki zastawiono na yachcie wykwinne śniadanie, któremu przewodniczyła Lady White. Amba-

sador nie towarzyszył nam, gdyż on, który nigdy nie choruje, był już na wczorajszym balu mocno zachrypniętym i lekarz zabronił po morzu przejażdżki. Wychyliliśmy kielichy na szczęśliwą podróż poselstwa szwedzkiego, a ja, jeden bardzo serdeczny, na cześć lady White, której i uprzejmość i gościnność nietylko pozwoliły mi poznać Konstantynopol ze strony wielce zajmującej, lecz którym zawdzięczać będę najmiłsze, niezatarte z mej podróży wspomnienia.

Pomimo tych wspomnień, cennych bardzo dla mnie, pomimo wszelkich wspaniałości tutejszych, wolę Rzym niż Bizancyum, wolę nowoczesny Babilon niż Konstantynopol, i nie pragnę tu zamieszkać, chyba, że zostanę ambasadorem.

Dziwny to stan rzeczy, w którym góruje strach wewnętrzny i zewnętrzny i w którym strachem tym rządzą się, gdy dawniej panowało się postrachem.

Gdybym był sultanem, raczej bałbym się pozostać w domu, niż ukazywać publicznie, przecież przeciwnie Abdul Hamid, nie opuszcza swoich komnat, nigdy nie widać go ani w obozach, ani na ulicach, z wyjątkiem uroczystości Proroka. Zapewniają, iż wyższy wojskowy popadł w niełaskę dlatego, iż władcy doradzał bliższe zetknięcie się z wojskiem i z narodem.

Schronił się on w Yildiz-Kiosku, rozszerzył i ozdobił tę siedzibę i w niej stworzył sobie świat odrębny, niby bezpieczny. Jest to świat obszerny. Ogrody, jeziora, cieniście drogi; wśród nich kobiece pałace, mieszkania urzędników i koszary wznoszą się na przemian. Pełno kosztownych gmachów naokoło sultańskiego Yildiz-Kiosku. Szalas-Kiosk i Merassim zamieszkały w zeszłym roku przez cesarza Wilhelma. Jest teatr i ujeżdżalnia. Abdul-Hamid jest zapamiętałym jeźdźcem. Siada z największem upodobaniem na nieujeżdżone, nawet dzikie konie i puszcza je po drogach Yildiz w sposób tak szalony, że przejmuje to dreszczem wi-

dzów. I ten sam człowiek, ze strachu, schronił się tutaj i nie wychodzi, nie wyjeżdża stąd. Szereg małych twierdz opasuje siedzibę; a w koszarach stoi wyborowe wojsko Padyszacha.

Sultanowi, który silne ma postanowienie pozostać neutralnym aż do ostatecznego kataklizmu, podsunęła już raz Rosya zobowiązanie neutralności na wszelki wypadek. Nie wziął go Abdul-Hamid ze strachu, przed stroną przeciwną.

W. wezyr Kiamil basza, za przykładem swego pana, mało się pokazuje i udziela; mówią, iż jest pochodzenia żydowskiego, coby wcale nie wykluczało sprytu i biegłości odpowiednich, trudnemu a zawilemu położeniu; dodają, że ojciec jego przeszedł na islam, że brat jest jeszcze Żydem.

Nigdzie w tym stopniu, co w Konstantynopolu, nie czuje się, że Rosya stoi po jednej stronie, reszta Europy po drugiej, nie wyjmując Francyi. Pomimo bowiem wytworzonej dla niej konieczności, dobrych i coraz ściślejszych z Rosyą stosunków, nie odpowiada wcale jej korzyści ani nadziejom, aby Rosya znajdowała na swej drodze wschodniej, ułatwienia i aby dopięła ostatecznego celu. Tę prawdę widzi się tutaj może lepiej niż gdzieindziej, wznosi się ona ponad pozory i dzienne uprzejmości dyplomatyczne. A celem ostatecznym Rosyi dla każdego, kto raz widział Konstantynopol, nie może być co innego jak — Konstantynopol.

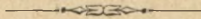
Aby o tem być przekonany, nie trzeba wcale wierzyć w wiarogodność testamentu Piotra W. Przyrodzone prawo pcha i pchać musi Rosyę aż do Bosforu i Dardanelli, a kto raz zamarzył o Konstantynopolu, ten się nigdy z jego pragnienia nie wyleczy, choćby było niezdrowem a miało się stać w następstwach zgubnem. A tak dwa przeważne wschodnie czynniki, składają się na politykę rosyjską w tych stronach i łączą się w jej działaniu — fatalizm i fantazyja. I dlatego,

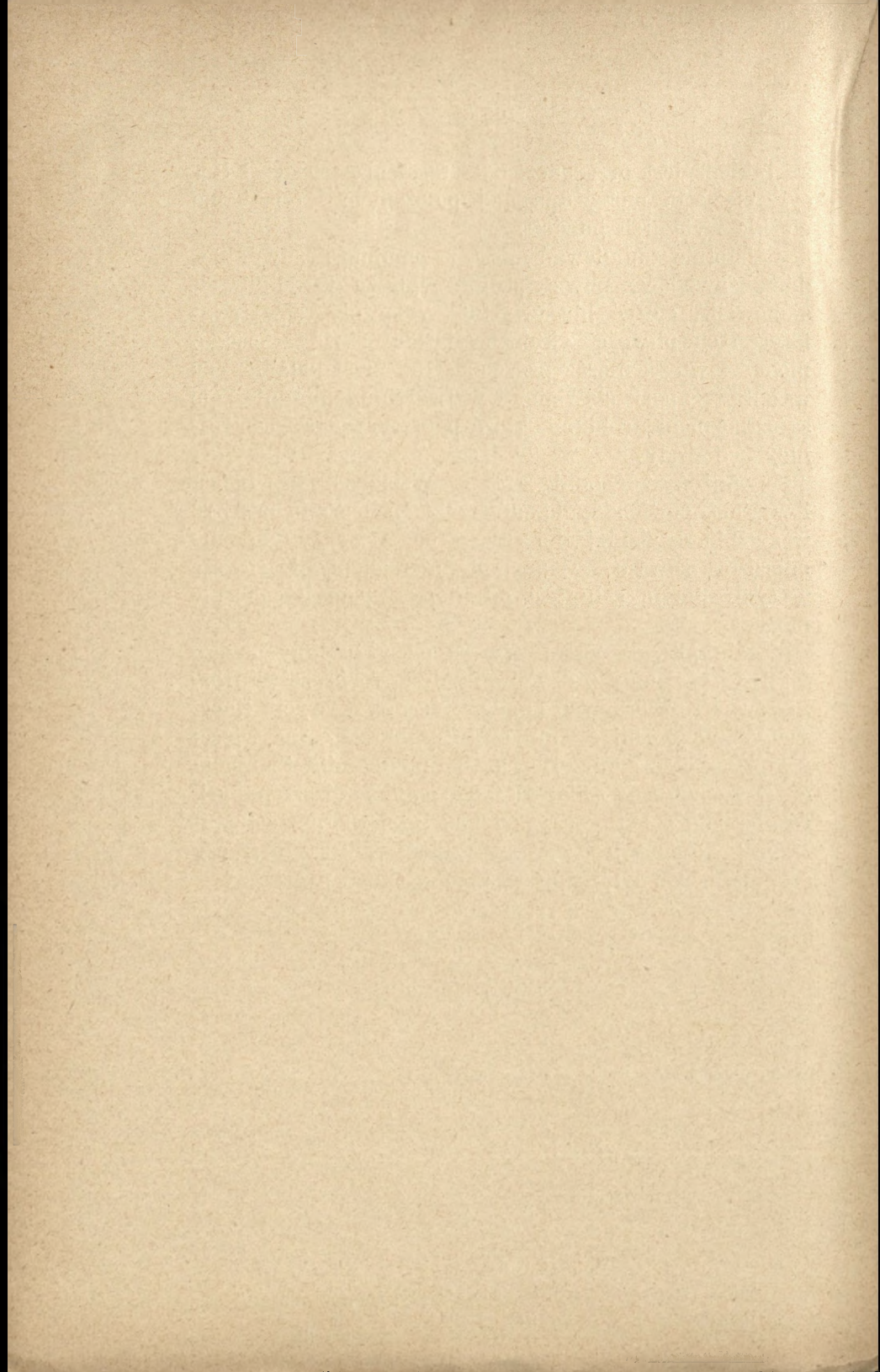
że takim jest przeznaczenie i takimi są pociągi Rosyi, cięży tu ona jedna nad położeniem i ona jedna ciężkie wytwarza powietrze.

Istotnie zdumiewać może, iż pomimo licznych błędów, zawodów, nawet straty wpływu i niektórych stanowisk, ciężyć nie przestaje wyłącznie, z wytrwałością i cierpliwością, które zdają się mówić — czekać mogę. I wtedy nieraz przychodzi na myśl pytanie, czy wszelkie zapory stawiane i wytwarzane mozolnie, nie są sztucznymi groblami, które poprzerywa przy nawałnicy pęd wody?!

Znużony zachodnią grą na Wschodzie bez końca i wyjścia, pewien dyplomata rzekł: „Niema to jak być w służbie rosyjskiej, bo zawsze się jest czynnym, nie napróżno, zawsze w jednej niezmiennej myśli, zawsze w tym samym celu, co do którego pomylić się nie można“.

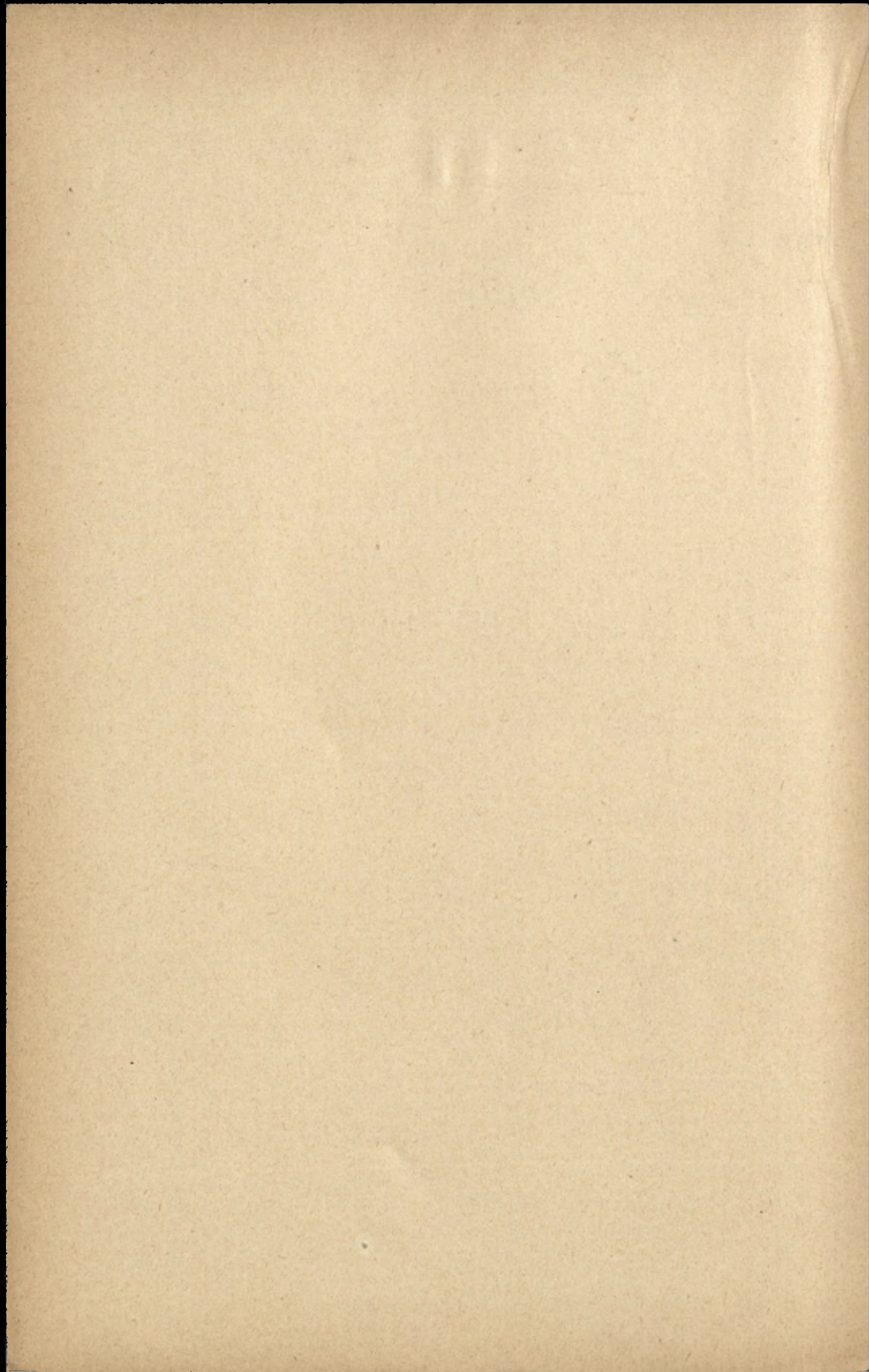
Ale prawdą jest także, że cięży tu inny jeszcze fatalizm — znany z dziejów fatalizm rozpoczętych rozbiórów i rozbiorowych zmów, wskutek których Rosyi wolno było rozbijać Turcyę, a Europie zabierać więcej niż to dotąd uczyniła Rosya. I dlatego nikt tu niema czystego sumienia i dlatego także pomimo niesłychanych różnic, położenie tutejsze pod koniec dziewiętnastego stulecia, podobnem jest z wielu względów, do stanu rzeczy w Polsce, pod koniec przeszłego wieku.







ZOFIA I BELGRAD



*Zofia 30 kwietnia 1890 r.*

**W**śród murów starego seraju, na których stoją słupy telegrafu, ruszył wczoraj wieczór pociąg, którym tu dziś przybyłem. Takie sprzeczności i świadectwa zmienności i marności rzeczy ludzkich, już ani dziwią, ani sprawiają wrażenia, nawet do filozoficznych nie pobudzają rozmyślań. Przesyceni zmianami i przemianami, zamętem wyobrażeń, pojęć i zdarzeń, pod obuchem najrozmaitszych obaw, które splatają się w jedną ogólną trwogę przed przyszłością, jedziemy pospiesznie dalej zobojętnieni, aby dokończyć stulecia i przeżycia.

Dopiero w Mustafa na granicy tureckiej przebudziłem się. Wokoło pustkowie. W Harmanli, na granicy byłej Rumelii, dziś połączonej z Bułgarią, zobaczyłem pierwsze pierwowzory bułgarskie — chociaż byłbym mógł je widzieć nierównie wcześniej, gdyż ludność bułgarska niemal do murów Stambułu dociera. Popy, niezwykłej brzydoty kobiety, żandarmi podobni do aresztantów, oficerowie przez pół praporszczyki rosyjscy, przez pół polscy powstańcy; nareszcie chłopci olbrzymi, nadzwyczajnej postawy i siły, nieco dzieci i gburowaci, wyglądają raczej na najeźdźców kraju, niż na wyswobodzonych jego mieszkańców. Raptem zimno czuć się dało i roztoczyła się przed okiem okolica, która wcale rozkoszy Bosforu nie przypomina. To bliskość Bałkanów, na których śnieg spoczywa. Wśród dwóch pasm wzgórzy, szeroka, długa,

daleko sięgająca dolina, bardzo żyzna i wcale dobrze uprawiona — to pierwsza wskazówka, czem stać się może ten kraj pod wpływem zapobiegliwych rządów i uporządkowanych stosunków. Przerażony zostałem tureckim napisem na przystanku; pytam, czy się pociąg cofnął, czy też może ja zaniechałem zmienić wagonu — nie — to napis, który się z dawnych czasów został.

W Filippopolu śniadanie. Miasto malownicze, jakich mało, z rodzajem Akrokoryntu, miasto na skałach, wśród skał. Gospoda wyglądała jakby podczas wojny i szturm; wciąż i wszędzie przewaga mundurów oficerskich. Bułgaria wydaje się być więcej pod bronią niż nawet reszta Europy. Zwłaszcza na dworcach mnogość wojskowych jest uderzającą. W połączeniu z przeważającym pierwotnym wzorem sprawia to, iż się zdaje w pierwszej chwili, że się przebyło — granicę rosyjską — mundur wojskowy bowiem to bardzo-nieznaczna odmiana rosyjski. Pozostał takim, od czasu zajęcia a zmiany nie wielkie, nieśmiało wprowadzają ręką.

Błysnęły przedemną bogato ubrane huzary i zjechał na dworzec ks. Ferdynand koburgski, odprowadzał ministrów: Stambulowa i Mutkurowa, którzy tym samym co ja pociągiem wracali do Zofi. Obejście księcia wzorowe, doskonale, widocznie wyrachowane na zdobycie wzięcia, jak to koniecznym jest w tych wschodnich stronach, ale z potrzebnym odcieniem godności i powagi; ścisnął za rękę licznie zebranych oficerów, nawet obywateli ale tak, że nie wiedząc, odgadnąć można było, że to ktoś. Trudy panowania, nieuznanego przez Europę księcia, odbiły się na nim i nie jest to już znany mi młodzieniec z salonów i wyścigów wiedeńskich — to coś więcej. Książę zmężniał znacznie. Bądź co bądź w tym dalekim kraju, wśród ram Bałkanów, u stóp skał filippopolskich, dziwne sprawia wrażenia wspaniały burboński nos. Książę lubi przebywać w czarodziejsko położonym Filippopolu, ponos chętniej niż w Zofi. Matka

jego księżna Klementyna jest tam także, nieco dziś cierpiąca. Cokolwiek się stanie w przyszłości - kiedy tyłu książąt straciło chęć do rządów, ks. Ferdynand odróżnia się wyjątkowym, zaszczytnym do nich zapalem i zasługa jego tem większa, że ma odwagę sprawiać je tutaj, że dotąd wśród trudnych okoliczności umiał wytrwać.

Znalazłem się w wagonie z wyższym oficerem sztabu głównego, który wraz z innymi przybył do Filippopolu na uroczystość ustanowienia medalu żołnierskiego za odwagę. Uroczystości przewodniczyli ks. Ferdynand i ks. Klementyna. Mój towarzysz wychowaniec akademii wojskowej w Petersburgu już po ostatniej wojnie wschodniej, za młodym był, aby w niej brać udział, ale walczył pod Sliwnicą, gdzie jak mówi, zjednoczyła się Bułgarya z Rumelią. Zdaniem jego — a pochodzi z Filippopolu — obecny stan rzeczy zawdzięcza się rewolucyi filippopolskiej, która położyła koniec kłamstwu rozdziału przez góry, jednego i tego samego narodu. Macedonia jest cała bułgarską, a jeżeli w Adryanopolu samym przeważa żywioł grecki, dawniej wspierany przez Turków, to okolica jest nawskróś bułgarską. Społeczeństwo było, jest i pozostanie demokratycznym, ale nie wywrotowym, bo jest karnem i posłusznem. Zresztą wojsko, zwłaszcza oficerowie, wiedzieć powinni i muszą, co się w świecie dzieje, ale ostatecznie ich rzeczą jedyną: iść gdzie im każą. — Ktokolwiek każe? — miałem chęć się zapytać.

Mój towarzysz nie zbyt chętnie a obojętnie mówił o ks. Aleksandrze Battenbergskim, o ks. Ferdynandzie, o Rosyi i manlicherach. O tych ostatnich powiedział, że właśnie nadeszły i że „zobaczymy dopiero co warte“ -- przecież lepsze niż te, których dotąd używano. A gdy przyjdzie je zmienić z powodu bezdymnego prochu? — zapytałem. „Wtedy coby to kosztować miało, zmienimy je na odpowiedniejsze, na to żałować nie będziemy

i na to znajdują się pieniądze — bo widzisz pan, jak się tyle cierpiało, tyle ofiar poniosło i tyle krwi przelano, to nie na to, aby być komukolwiek podległym, nie na to, aby zmienić tylko jedno obce panowanie na drugie. My musimy być narodem wojskowym, narodem pod bronią, bo dziś siła jedynie coś znaczy“. „Turkom — mówił — od chwili wyzwolenia się nie byliśmy, nie jesteśmy i nie będziemy przeciwnymi, nie potrzebujemy się już ich obawiać, a dziś są rzeczy które do pewnego stopnia nas łączą. Współzawodnictwo główne jest — z Grekami, których Turcy ongi wspierali i pozwolili się im wzmóc w Bułgarii; Grecy są podstępni, Turcy szczerzy, wierni, rycerscy; Grecy to Żydy; zresztą Turcy u nas nie pozostaną; ci, co jeszcze są, zachowują się dobrze, a zwolna wyginą, lub wyniosą się“.

Jeżeli oficer obojętnie wyrażał się o książętach dawnym i obecnym, to z najwyższym uznaniem mówił o jadącym tym samym pociągiem ministrze Stambulowie: „To najczystszy człowiek na całym półwyspie bałkańskim“. Obiecywał, że prawdopodobnie przyjdzie do naszego wagonu, lecz nie doczekaliśmy się go. Zobaczyłem jednak na przystanku Stambułowa. Wcale a wcale nie wygląda, jakby go sobie można wyobrażać po jego postępowaniu, po tem co zrobił i co robi i wcale nie wygląda na to, czem jest. Jeżeli kiedy, to tu powiedzieć można, że pozory są zwodnicze. Twarz kałmucka, wzrost mały, zresztą pierwowzór znany z naszego ostatniego powstania.

Mój towarzysz twierdził, że wielkie jest podobieństwo między mową bułgarską a rosyjską, że zawsze można się wzajemnie zrozumieć — chociaż, dodałem, nie zawsze porozumieć.

„Najlepiej — ciągnął dalej — nie sąsiadować z wielkimi mocarstwami, ale otoczyć się drobnymi i niezbyt silnymi“. Wkońcu zapytał, co miała znaczyć i po co wybuchła wojna wydana przez Serbię Bułgarii? Nie mogłem dać odpowiedzi, ale zgodziliśmy się na to, że

ogromną oddała Bułgarii usługę, bo dała jej sławę wojskową, krwią przypieczętowała jej jedność i rozbudziła poczucie samoistności państwowej. Takich wrogów — rzekłem — co tyle dają i przysparzają, życzyć sobie zawsze można.

Stopniowo zwiększała się liczba oficerów, którzy do naszego wchodzili wagonu, a mogłem dostrzedz, jak dalece rozwinętem jest w wojsku serdeczne życie koleżeńskie; w tem wojsku, jedynem w swoim rodzaju, w którym niema jednego starszego wiekiem oficera, ani też jednego posiwiąłego w bojach wojownika, chociaż są młodzi, co w boju dzielnie się odznaczyli. Istotnie jest to armia młodych, lub co najwięcej w sile wieku ludzi, zatem armia, w której zapał i dzielność, także chęć odznaczenia się i dojsčia, mogą przeważnymi być czynnikami. Nawet minister wojny Mutkurow może mieć nie więcej jak czterdzieści lat.

Jeden z oficerów który przyłączył się do nas, kształcił się w Pradze. Karty wojskowej topograficznej własnego sztabu, nie posiada jeszcze Bułgarya, ale ma, jak twierdzą oficerowie, wyborną, sporządzoną przez sztab rosyjski podczas zajęcia, ofiarowaną w darze wskrzeszonemu narodowi, w czem Rosyanie inaczej sobie postąpili niż Napoleon I, który jak mi opowiadał Sir W. White, do tego stopnia posuwał nieufność czy przezorność, iż we własnym głównym sztabie, złożyć kazał fałszywe karty topograficzne Hiszpanii, dokładne i prawdziwe zachował u siebie w Tuileriach. Stąd wiele pomyłek i to grubych w dziele Thiersa. Co jest najwyborniejszem dodał Sir W. White, że gdy dowiedziono historykowi pomyłki i jej powodu odrzekł: „Mniejsza o to, nie chce mi się przerabiać“. Jeżeli gdzie to tu powtórzyć przychodzi — tak się pisze historię!

Proces o spisek Panicy, jak mnie zapewniali oficerowie, rozpocznie się zaraz, sędziowie wojskowi już wyznaczeni. Smutna sprawa — rzekł jeden z nich.

Otworzono koszyki, w których były sporządzone śniadania; mój pierwszy towarzysz, którego babka mieszka w Filippopolu, miał przez nią starannie przygotowaną ucztę, która składała się przeważnie z wieprzowiny. Grzeczność i gościnność tych panów, podobną była do naszej dawnej, zatem połączona nieco z przymusem; musiałem wziąć udział w śniadaniu i wychyliłem wcale niezłym winem krajowym, kielich na zdrowie i dalszą pomyślność armii bułgarskiej.

Pod wpływem skromnej zresztą uczyty, rozwiązały się nieco języki i po raz pierwszy w naszej rozmowie usłyszałem: Rosya. Stopniowo dowiedziałem się, że Rosyane wyswobodzili Bułgarów, bo im to potrzebnem było, aby dojść do Konstantynopola. Zapytano, dlaczego nie wyswobodzają innych Słowian, co nie leżą na drodze do Bizancyumu i zawołano w końcu: „A z Polakami co zrobili?!“

Jechaliśmy żyznemi polami Rumelii, która jest perłą nowego, małego państewka, co państwem szerokiem i długiem staćby się mogło. Uprawiają tu ryż i tytoń i haremowy olejek różanny wyrabiają. Po jednej stronie widać Bałkany z Szypką, po drugiej góry Rodope, wslawione niedawnymi nieszczęściami dwóch poddanych austryackich porwanych przez rozbójników, którzy, — jak mi zaręczają, wytępieni zostali. Zwolna zaczęliśmy się wznosić coraz wyżej ponad poziom morza, była to przeprawa pociągu przez Bałkany; spuściwszy się z nich przerzynał on znowu szeroką i długą równinę, otoczoną znowu z dwóch stron górami — to Bułgarya. W środku tej równiny leży Zofia ładnie, u stóp odnogi Bałkanów, pokrytych śniegiem, pod pięknym Witoszem. Zdaleka Zofia przyjemnie wygląda, zdaje się posiadać świeżość młodości; wjechawszy do miasta z dworca złą drogą, ma się uczucie osady wśród pól. Wszystko tu w przeobrażeniu i robocie i wszystko, co się nie wali lub nie burzą — nowe. Wrażenie zmartwychwstania! Znać je



na każdym kroku, a co za myśli budzi, co za dreszcze wywołuje! Ale to nowe zmartwychwstania życie, innem jest niż zwykle, czuć je jeszcze grobem.

*Zofia 1 maja.*

Widzę z okien mojego pokoju, w *Hôtel de la Bulgarie* lepszym niż konstantynopolskie gospody, pałac książęcy z ogrodem i dziedzińcem, widzę kształtny budynek ministerjum wojny. Chociaż to wszystko niedawno wybudowane, jakież już odegrały się na tej malej przestrzeni, między pałacem, gospodą i ministerjum wojny, wypadki i zmiany, które się o Europę odbiły!

Zaraz wczoraj wieczorem udałem się na wstępie, do naszego przedstawiciela pana Buriana; zatrzymał mnie uprzejmie na obiad; mieliśmy długą rozmowę, w której uderzyły mnie ze strony młodego jeszcze, bardzo obiecującego i już dotrzymującego dyplomaty: trafność poglądów, połączona ze spokojnym, wytrawnym sądem, wszechstronne odczytanie i głębsza nauka, znajomość nie tylko położenia, ale i dziejów tych krajów. Mało jest dziś stanowisk równie ważnych i trudnych, jak to, które chlubnie, a szczęśliwie dotąd zajmuje pan Burian, ze swobodą, jak ten, któremu łatwo przychodzi niemalą dzwigać ciężar. Wyborny oczywiście znawca stosunków wschodnich, mógł zbadać to, co z nimi jest w głównym i bezpośrednim związku, był bowiem kilka lat konsulem w Moskwie. Niebawem nadszedł hr. Starzeński, który od lat ośmiu godnie przedstawia w austro-węgierskiej dyplomacji nazwisko polskie, a który temu lat parę, zręcznie, małym kosztem wy dostał się tu z rąk rozbójników.

Osada austryacko-węgierska w Zofi jest liczna, jest przeszło tysiąc poddanych austro-węgierskich, stąd dla agencji wiele roboty, zwłaszcza, że osada dotkniętą

jest chorobą pieniactwa, wskutek wielkiej liczby mecenasów tutejszych, którzy szukając spraw, namawiają do sporów. Dom, w którym znajduje się nasza agencja dyplomatyczna, jest wcale ładny i wewnątrz wytwornie urządzone przez obecnego bezżennego przedstawiciela monarchii. Ciało dyplomatyczne tutejsze, obecnie niepełne i wciąż jak na lodzie, założyło *Union Club*, w którym przepędziliśmy wraz z panem Burianem i hr. Starzeńskim wczorajszy wieczór. Jest to mały *Resurs*, ale istotnie wielki, dla dyplomacyi; jedna z pociech w życiu tutejszem i miejsce zborne na śniadania gotowane przez dobrego kucharza francuskiego, oraz wieczór po ósmej. Poznałem tam ajenta włoskiego hr. de Sonas i tureckiego Rechyda bey. Ten ostatni niezawodnie sprytny, lecz może z powodu doniosłości stanowiska za młody; zresztą bawi tu tylko jako komisarz do *wakufów*. Dowód, jak Porta obchodzi się ze sprawą tak wielce ważną w pierwszym rządzie dla niej. Ten młodziutki ajent turecki tutaj, to jakby ostrożne uwzględnienie rosyjskich drażliwości.

Widziałem i poznałem dziś dosyć ludzi tak z dyplomacyi, jak z urzędowego i politycznego świata bułgarskiego. A najprzód miłego o wytwornem wzięciu Mr. O'Conor *Agent et Consul général de S. M. Britanique*, który po ośmiu latach służby dyplomatycznej w Paryżu, przedstawia teraz u stóp Witosza królową W. Brytanii i cesarzową Indyj. Dalej ajenta rumuńskiego.

Wielki mnie jednak spotkał zawód. Pomimo słowa polecającego od pana Buriana, Stambułow nie przyjął mnie, przepraszając, że zachorował na oczy; wczoraj był zdrow i jechał tym samym co ja pociągiem; może zatem, powiedziałem sobie, dyplomatyczna choroba, z powodu troski spowodowanej procesem Panicy, lub też wywołana słuszną zresztą obawą, przed wędrownymi dziennikarzami. Dwóch żandarmów stoi zawsze

przy domie Stambułowa; do posylek mówią jedni, dla bezpieczeństwa twierdzą drudzy.

Pan Stoilow jest także znaczącym i cenionym politykiem, jak mi ktoś powiedział: „Byłem i przyszedłem ministrem oraz najlepszym w Zofii mecenasem“. On sprowadził ks. Ferdynanda Koburgskiego, następnie wyszedł z gabinetu; o ile sędzę, cięży mu nieco bismarckowski sposób Stambułowa. Pan Stoilow, konserwatysta, jest przecież za większą swobodą dzienników, którą w tej chwili przygniata żelazna ręka pierwszego ministra.

Byłem między innymi u ministra spraw zewnętrznych Stranskiego. Mieszkanie skromne, schludnie urządzone, na stole książka z pamiątkami Moskwy.

Pan Stranski zaczął długą rozmowę, której łaskawie mi udzielił, od słów: „Jest to szczęściem lub nieszczęściem Bułgarii, że wszyscy się nią zajmują, wszyscy mają na nią oczy zwrócone i wszyscy wciąż po niej czegoś nowego oczekują; podczas gdy tu się nic nie zmieni, nic nowego nie znajdzie, zaręczyć to mogę. Mówię o ogólnym porządku rzeczy i kierunku, gdyż co się tyczy szczegółów i zmian osób, te nastąpić mogą, jak wszędzie tak i tu“. „Oczywiście — odparłem — skoro nawet ks. Bismarck ustąpił“.

Po godzinnej rozmowie pan Stranski rzekł: „Prezes ministrów jest cierpiącym; powrócił wczoraj z Filippopolu i zasłabł dość dotkliwie na jedno oko. Trzeba panu wiedzieć, że chociaż jestem ministrem, nie przestałem być lekarzem; zabroniłem Stambułowskiemu wszelkiej pracy i wszelkiego zetknięcia ze światem przez dni kilka; złe mogłoby się z łatwością przenieść do drugiego oka?“

„Słusznie Ekscelencyo, bo te oczy cenne dla Bułgarii i powinny dobrze i daleko widzieć!“

Pomyślałem sobie, że to bardzo patryarchalnie i bardzo dla prezesa gabinetu wygodnie, mieć w mini-

strze spraw zewnętrznych zarazem lekarza; ale w tej uwadze było może nieco żółci, że Stambułowa nie poznałem.

Wyszedłem był zrana na miasto. Wygląda jak po bombardowaniu z powodu zupełnego przekształcenia, które przedsięwzięto. Hausmannują Zofię. Wszędzie zburzone domy, a nie wszędzie nowo wybudowane. Obecnie jest panowanie rumowiska. Dziś Zofia podobna jeszcze do większych miast wschodniej Galicyi, niebawem przybierze postać tuzinkowo-europejską. Za prędko i za wiele budują, jakby na drożdżach; znać pośpiech, jakby nie mieli czasu do stracenia. Ogólną jest też obawa przesilenia, wskutek zbyt wielkiej liczby nowych domów. Myślą także o urządzeniu mineralnych kąpieli w mieście; są już w bliskiej okolicy i podobno skuteczne na reumatyzm. Został się jeden meczet i jeden minaret i te znikną wskutek przekształceń. Kościół katolicki schludny. Jest znana z opisów wszelkich uroczystości tutejszych, stara katedra bułgarska prawosławna, obok niej ohydna rudera, to mieszkanie Archimandryty. Dosyć szkół i zakładów naukowych. Zbyt słynna szkoła kadetów, co się niewdzięcznością dla ks. Aleksandra splamiła. Ogród miejski, jak naród w zarodzie. Pięknym gmachem jest apteka Straskiego, brata ministra spraw zewnętrznych. Konsulat rosyjski, niby pałac ambasady, czy też generał-gubernatora dziś pusty, wskutek zerwania stosunków dyplomatycznych, spowodowanego antyrosyjską polityką Stambułowa.

I dziś w nocy było zajście. Kupiec tytoniu Wasil Lassin, Rosyanin, miał ostrą sprzeczkę z kupcami Bułgarami, jeden z nich poskarżył się w policyi. Komisarz Krotew, bardzo tu znany i ceniony, bo sprężysty, zawezwał Wasila do siebie, lecz ten oświadczył, że jest poddanym rosyjskim, że policya nie ma prawa powoływać go bezpośrednio, że stawi się dopiero jeżeli przyjdzie po niego kawas konsulatu niemieckiego, który ma

sobie w zastępstwie poruczoną opiekę nad poddanymi rosyjskimi. Na to komisarz udaje się do sklepu Wasila z policją; zastaje go zamkniętym, słyszy z wewnątrz obelgi na Bułgaryę, księcia i Sambułowia; wylamuje drzwi; Wasil daje strzał z rewolweru, którym na miejscu kładzie Krotewa; policyanci wpadają, rąbią podobno Wasila i prowadzą do więzienia. Tak rzecz opowiadają. Przechodziłem temu chwilę, przed sklepikiem Wasila u drzwi stoi dwóch żandarmów z bronią w ręku.

Tutaj, tak samo jak w Konstantynopolu, jest poczucie fałszywego położenia, sztucznego i niezdrowego. Księżę, który rządzi i rządzi dotąd dobrze, który posiada ciche uznanie Europy, a nieposiada dyplomatycznego, chociaż zeuropeizował tron na którym zasiadł, to istotnie stan rzeczy nieprawidłowy, zatem, mówią, nie może być długotrwałym. Przypuszczają, iż co najwięcej przedłuży się jeszcze przez dwa lata, że w tym czasie musi się rzecz rozstrzygnąć na jedną lub drugą stronę. Dwoma biegunami rozstrzygnięcia są: uznanie księcia przez Europę lub ogłoszenie niepodległości przez Bułgaryę. Uznanie mogłoby nastąpić tylko za początkowaniem Porty, a ta choćby miała chęć uznania, niema chęci śmieć uznać. I znowu zawsze to samo, zawsze ta sama obawa zajrzenia w oczy, co prawdopodobnie udałoby się tym razem, jak pod Maratonem, a bezkrwawo. Inne mocarstwa, co się tyczy uznania, współdziałać poniekąd tylko mogą. Sprawa niedawno temu poruszoną została pośrednio w rozmowach dyplomatycznych, ale wcale nie urzędownie. *Zielona Księga* włoska uczy nas, że pomimo szumnej przyjaźni Crispiego dla Bułgarii i ks. Ferdynanda, on pierwszy wyrwał się — jak Filip z Konopi — i polecił br. Blanc, aby jak najstanowczej odradził Porcie uznania, czem w niemały wprowadził kłopot ambasadora, gdyż rzecz nie stała bynajmniej urzędownie na porządku dziennym. To też w odpowiedzi na polecenie ministra, br. Blanc wije się jak wąż i ostatecznie nie

wie, co począć. Być może, iż pan Crispi był tu, jak zwykle, tylko odgłosem Friedrichsruhe i że go popchnęła zbytńia gorliwość względem ks. Bismarcka, na usługi którego pospieszyła nieuśmierzona wiekiem, gorąca krew południowa. Tem to jednak dziwniejszem było, że z niemieckiego zarządu spraw zewnętrznych, nie nadeszło było do ambasady w Konstantynopolu żadne w tej mierze polecenie, tylko ogólnikowe, aby zalecić Porcie, wstrzymanie się z wszelkimi ważniejszymi postanowieniami do przybycia cesarza Wilhelma II.

Ogłoszenie niepodległości to loterya, to na los szczęścia, to przygoda, którą Turcy zwłaszcza — jak wiadomo z tego com powiedział wyżej — odradzają, doradzając Bułgarom roztropność i umiarkowanie. Wobec czego jednak przytoczyć winienem słowa młodego wprawdzie dyplomaty, który, gdy mi pewien dygnitarz turecki wykladał ową *ad usum* Bułgarów naukę, zawołał: „Ależ gdyby Bułgarzy byli zawsze roztropnymi i umiarkowanymi, czyżby byli doszli tam, gdzie dziś są“.

Bułgarzy mają tę wyższość nad ludźmi pochodzenia słowiańskiego, że są obdarzeni zmysłem politycznym. Kiedy Grecya podniosła myśl związku państw bałkańskich, Bułgarya odpowiedziała, że się na nią zgadza pod warunkiem, że Turcy do niego należeć będą. Żołnierz bułgarski jest karnym, ale oficerowie nieco rozbałamuceni, zajmują się zbytęcznie polityką. Duchowieństwo z niskim bardzo stopniem wykształcenia, podrzędne zajmuje stanowisko; nie jest wogóle przejęte duchem rosyjskim; zresztą Bułgarzy wcale nie są gorliwie pobożnymi, a czei księdza nie mają.

Prezes gabinetu Stambułow jest tu dziś wszystkim, w nim streszcza się położenie i władza; nad pierwszym dotąd góruje, drugą dźierży nietylko silnie, ale i bezwzględnie. Podziela on widocznie zdanie ministra policyi Napoleona I Fouché, który mawiał: *J'ai la manie de vouloir être le maître quand je gouverne.*

„Chcę być panem kiedy rządę“. Nie wszyscy dzierżący władzę w ten sposób rozumieją ją, a to dla tego, że jeżeli — jak powiedziano — mało trzeba rozumu, aby ludźmi rządzić — jeszcze mniej go potrzeba, aby nimi nie rządzić.

A przecież przyjaciele Stambulowa twierdzą, iż nie jest wykluczonem jego usunięcie się, choćby dla przekonania, że systemat nie zaczyna i nie kończy się na nim, lecz wytworzył ludzi i aby wbrew temu, że zwykle kierujący ministrowie uchodzą chęć za niezbędnych — okazać, że w jego szkole wykształcili się następcy. Nie wierzę w to, albowiem Stambulow zbyt ma wielkie poczucie władzy, aby się jej dobrowolnie pozbywał. Zachowałby on jednak, dodają wprawdzie przyjaciele, wielki wpływ — a strasznym ma być zwłaszcza w opozycji.

Stanowisko dyplomacyi jest dziwaczne — oparte na zmyśleniu nieuznania panującego, a uznaniu jego rządu. To zmyślenie dyplomatyczne pod koniec dziewiętnastego stulecia jest tak wyborem, jak lektyki i laufry w Konstantynopolu! Ks. Ferdynard Koburgski wykluczony z zawziętością przez Rosyę, podczas gdy inne mocarstwa wypierają się go aczkolwiek najgorętsze dla niego żywią życzenia, omijany przez książąt domów panujących, jest uosobieniem obecnego stanu Europy, która stoi pod bronią, a dotknięta jest niemocą czynu i przyjmuje rzeczy dokonane bez ich potwierdzenia prawnego, na które zdobyć się nie może.

Bułgaria po raz drugi ma księcia bezżennego. Ks. Ferdynand, jak twierdzą, myśli o ożenieniu, ale chcąc godny kraju zawrzeć związek, nie może wprowadzić żony w fałszywe, dziwaczne położenie, wytworzone zmyśleniem dyplomatycznym. Nader ono jest niewygodne zwłaszcza w stosunku do księcia dla przedstawicieli dyplomatycznych, którzy tu urzędują w niedobrze określonym znaczeniu. Są przytem odcienia w ich stanowiskach. Francya

ma tak dalece podrzędnego ajenta, że się nie liczy. Jak wiadomo Rosya nie ma wcale przedstawiciela, zatem ten odcień jest nicością. I znowu w Zofi widzi się wyraźnie nieć czerwoną, ciągnącą się przez sprawę wschodnią — Rosya po jednej, Europa po drugiej stronie.

Rosya pomimo zawodów i upokorzeń miłości własnej, pomimo doświadczeń i prób, przez które przeszła, dziwnie zdaje się lekceważyć sobie to wszystko i ani zważać, ani też wystrzegać się błędów i fałszywych kroków. Do takich zaliczają tutaj upomnienie się o koszta wojenne; mówią, że nader niemiłą było dla Petersburga niespodzianką, gdy — dzięki pożyczce — Bułgarya natychmiast spłaciła należące się pieniądze, a Bułgarzy upatrz yli w zażądaniu, pośrednie uznanie istniejącego porządku rzeczy. Wkroczenia Rosyan nikt na razie nie przypuszcza, ani obawia się, przecież Warnę i Burgas umocnili i umacniają. Bułgarya postawić może wraz ze zapasowym żołnierzem, przy uruchomieniu, dwa kroć stotysięcy wojska. Nie napadu obawia się ona, ale podstęp. Szereg dalszych prób spiskowych jest nienukniony; ale rząd dobrze się pilnuje, wielka większość społeczeństwa nie sprzyja im. Są — mówią mi — niezaprzeczenie prądy rosyjskie, nawet między oficerami, wychowañcami zakładów rosyjskich, są wielbiciele, rzecz nie dla wszystkich zrozumiała, wojskowych urzędów rosyjskich i armii rosyjskiej; są i w społeczeństwie zwolennicy mniej lub więcej znani Rosyi, ale ta takie wciąż stawia im twarde warunki, że dotąd oni nawet cofają się przed nimi. Panica niewątpliwie spiskował przeciw księciu i Stambułowowi, działał w stosunku pośrednim z ajentami rosyjskimi — prawdopodobnie, dodają, będzie surowo ukaranym.

Na półwyspie Bałkańskim nie potrzeba dla własnego bezpieczeństwa wywoływać sztucznych współzawodnictw i rozdziałów; istnieją one same przez się, są rzeczywistymi i tkwią poniekąd bezwiednie w usposo-



bieniu, w pochodzeniu, w przeszłości i terażniejszości narodów. Nigdy jedność serbska nie dała się skutecznie; Bośniacy, którzy zawsze byli i pozostali pod wielu względami wyższymi od innych Serbów, walczyli przeciw Serbom wraz z Turkami na „Kosowem polu“. — Serbowie nigdy nie byliby podolali zadaniu zajęcia Bośni; wiedziała o tem Rosya, kiedy się zgodziła na austryackie wkroczenie. Czarnogórcy także czują się lepszymi od Serbów — ale niezwykłeni w górach własnych, tracą wartość zeszedłszy z nich w dolinę. Czarnogórzec to ptak drapieżny, Serb kurnikowy. Wszystkie te czynniki, żywioły i odcienia, wytwarzają niesłychane zagniatwanie sprawy wschodniej — przemieniają ją w szachownicę, na której przy grze umiejętnej, wygrać można choćby się już piona straciło.

Dowiaduję się w tej chwili, że konsul niemiecki bar. Wangenheim nie pozwolił był przytrzymać w nocy Wasila Lassina, zapewniając, że nazajutrz sprawdzi zajście; mimo tego Krotew z policją wkroczył do domu rosyjskiego kupca, wskutek czego bar. Wangenheim miał dziś żywą z ministrem spraw zewnętrznych rozmowę.

Wyszedłem przed obiadem raz jeszcze na miasto i zwrócił moją uwagę niezwykle duży, ogromny budynek, jest to rządowa drukarnia, nieodpowiednich rozmiarów, ani do kraju, ani do miasta, ani do państwa. Gmach sobrania jest ciężki — ma jednak piętno swojego przeznaczenia. Nareszcie zaszedłem do pałacu książęcego, aby zobaczyć w przedsionku stół, na którym ks. Aleksander podpisał abdykację. Ks. Ferdynand, podług nadeszłej dopiero co do pałacu wiadomości, jedzie z Filippopolu w góry na głuszcze. Hr. Starzeński udaje się tam także jutro rano przez księcia zaproszony.

Powróciwszy do gospody, spotkałem się z idącym do mnie panem Chadourne, młodym jeszcze byłym sekretarzem ks. Aleksandra, obecnie współpracownikiem *Timesa*. Zajmująca rozmowa, ale raczej o przeszłości

niż o terażniejszości i przyszłości. Ta przeszłość stała się niepowrotną; był to okres bohaterski zmartwychwstałej Bułgary!

Tutaj dopiero należy się przekonać, że można, jak trudnym jest zadaniem rozpoznać się w wiadomościach nadchodzących ze Wschodu i jak należałoby być ostrożnym w przyjmowaniu i umieszczaniu ich. I tak, znalazłem się w krzyżowym ogniu doniesień, plotek, szczegółów, zdań i sprzeczności, oraz najróżnorodniejszych opowiadań o nocnym wypadku.

*Zofia 1 maja w nocy.*

Na obiedzie u państwa O'Connor z baronostwem Wangenheim, przedmiotem rozmowy było nocne zdarzenie. Bar. Wangenheim nie zdaje się wcale brać je do serca; pragnąłby tylko, aby się sprawdziła wieść, iż Wasil Lassin przyjął był obywatelstwo bułgarskie, bo to wszelkich oszczędziłoby mu kłopotów. Wszyscy — a po obiedzie przybyło prawie całe tutejsze, niecałe ciało dyplomatyczne — zgadzali się, że wypadek ten tragiczny nie da powodu do zajścia dyplomatycznego. Jedyne podzielone były zdania, kto i w jakim stopniu zwinął, zwłaszcza panie żywe w tej mierze toczyły spory. Pan Stanbułow ma być zmartwiony, bo komisarz policyi Krotew, zofiski Lecoque, był mu nadzwyczaj oddanym i użytecznym; czynny i gorliwy wziął udział w uwięzieniach z powodu spisku Panicy. Zaręczają przecież, że zajście pozbawione znamienia politycznego.

Panie O'Connor i Wangenheim nie znajdują wcale, aby życie w Zofi było przykrem. Rozrywkami tych pań są przechadzki, jazda konna, przedstawienia amatorskie, nawet niezbyt liczne ale ożywione tańce i podobne jak z Kretowem wypadki — te są najżywszem a pożądanem urozmaiceniem pobytu tutejszego.

Pani O'Connor, która przeniosła pod stopy Witoszu wykwint londyńsko-paryski, podała gościom słynną wodę różaną, zaprawioną jedną kroplą haremowego olejku, wyrabianego w Kazanliku, która wystarcza, aby na długi czas nadać woń raj Mahometa.

Jeżeli trudno tu sprawdzić wypadki zaszłe, jeżeli najrozmaitsze krzyżują się wiadomości, to tem więcej zdania.

Przytoczę te, które oprócz już zapisanych słyszałem w ciągu dnia dzisiejszego.

Położenie niepewne; rządy ks. Ferdynanda nie zapuściły korzeni, nie wiele zdziałał; są tacy, co dodają — że nie. Zasługą jego, że miał odwagę przybyć i że pozostaje na miejscu. Pewien arystokratyczny zakrój, coś w kształcie dawnego dworu francuskiego, szkodzą mu w demokratycznym społeczeństwie, w którym ministrowie spokrewnieni są z praczkami, i zasiadają z nimi wieczór patryarchalnie przy stole. Księżę i jego obejście rażą nawet Stambułowa. Księżę jest jakby zastawem i przedmiotem zamiany w rękach przywódców politycznych. Naród, to jest chłop, czuje potrzebę kniazia i nie chce, aby go uwięziono lub zamordowano. Stambułow nie całkiem jest w zgodzie z księciem, księciu cięży wszechwładza Stambułowa; ale są połączeni i idą razem; Stambułow przez rozum polityczny, księżę, bo nie mógłby się na kim innym oprzeć; jeden potrzebuje drugiego. Radosławiści nie są dynastycznymi, raczej są za powrotem niemożliwym ks. Aleksandra Battenbergskiego tak, że istotnie księcia uznaje i wspiera tylko rząd dzisiejszy i jego stronnictwo. Nie jest wykluczonym w przyszłości zwrot do Rosyi; na teraz stawia ona warunki za ciężkie, Bułgarya musi żądać rękojmi dla swojego bytu — wyrodziła się obawa przed Rosyą, a jest mało zaufania do Europy. Nie można zaręczyć, czyby wobec dobrych warunków ze strony Rosyi i rozumnego jej postępowania nie poświęcono ks. Fer-

dynanda. Austro-Węgiei poczynają się już obawiać handlowo, już przebakują o przewadze i ucisku pieniężnym!? Nawet zakupno przez *Bank Verein* i *Deutsche Bank* papierów kolei wschodnich, zarzucają — Austrii! Dziwny, zawolałem, zaprawdę jest proceder wszystkich tych państwerek bałkańskich: gdy potrzebują pieniędzy, udają się do Austrii, a gdy u niej i przez nią dostaną takowe, zaraz krzyczą i skarżą się na ucisk i przewagę.

Zapewniają, że była chwila, w której nawet Stambulow przemysliwał nad zbliżeniem się do Rosyi. Panicę miały przeważnie zgubić własne zeznania. Oskarżyciel wniesie karę śmierci; sąd może nie zgodzi się na ten wniosek; gdyby się zgodził, niewiedzieć co się stanie.

Zelazna ręka Stambulowa nie przepuszcza do Europy wiadomości dokładnych o stanie rzeczy w Bułgaryi.

Zmiana osób, o której już parę razy slyszalem, a o której zdawał się wspominać pan Stranski, odnosićby się mogła, jak mi opowiadają, do jaskrawego zajścia na radzie ministrów między Sallabaszewem, ministrem skarbu, a Tonczewem, ministrem sprawiedliwości i Stranskim, ministrem spraw zewnętrznych; zamieniono gwałtowne wyrazy, po których trudno będzie razem pozostać, zatem Stambulowowi przyszłoby poświęcić albo Stranskiego i Tonczewa, albo Sallabaszewa; poświęciłby chętniej jednego niż dwóch.

Zgodne są zdania, że duchowieństwo stoi na bardzo niskim stopniu społecznym i wykształcenia. Bułgarzy nie są bezwyznaniowymi, ale obojętnymi w rzeczach religii. Lud wogóle jest biernym, nawet nieczulym, chociaż pracowitym jak wół. Budzić się jednak zaczynają zachcianki zysków, jeżeli nie już gorączka złota. Jest część ludności, która tak samo jak na Zachodzie, dba tylko o wzbogacenie się. Najgłówniejszym jednak znamięm Bułgara jest, iż nigdy nie wyowiada, co w głębi duszy myśli i czuje.

Znaczna liczba Macedończyków posiada w Zofii domy; znaczniejsza jeszcze przebywa jako robotnicy i ci zarabiają dobry pieniądz. W szkole kadetów jest ich także sporo; słowem stosunki niemal prawidłowo już nawiązane, zaostrzają żądzę zaboru.

Jest tu początek uniwersytetu, ale brak profesorów; obecnie nie chcą ich powoływać z Rosyi.

Z tego wszystkiego co slysze i widzę, sądzę, że zmartwychwstałe społeczeństwo bułgarskie, jest jeszcze nieco ruchomym piaskiem, uchwyconym w opłotki przez kilku ludzi zdolnych, zwłaszcza przez Stambulowa. I dziwić się nie można temu w nowo narodzonym narodzie, raczej podziwiać go przychodzi; tem więcej, że brak tu warstw społecznych, że są tylko chłopci, a u góry garstka wykształconych ludzi przeważnie złożona z mecenasów, której częśćka, wyjątkowo uposażona od przyrody.

Być może, że ten naród ma przed sobą przyszłość, ale mniemam, że wszystkiego jeszcze, złego i dobrego spodziewać się można po tem nieukształtowanym społeczeństwie; że na wszystko trzeba być przygotowanym i baczny, tem bardziej, że Bułgarzy mają być nadzwyczaj zmiennymi w zdaniu.

Naród ten ma przymiot, który ochrania od wielu słabości — próżnym nie jest. Zdaje się on wiedzieć, że najwięcej kosztuje, najmniej przynosi — próżność.

W tem społeczeństwie może spisek grasować i psoty wyrządzać, ale ostatnie słowo mieć musi wojsko, bo ono w braku prawidłowych społecznych czynników, jest jedyną urządzoną siłą i ma już w odnowionem życiu przeszłość i tradycję.

Nie dostrzegam nienawiści do Rosyi, lecz miłość niepodległości i samoistności, przy daleko sięgających zachciankach i widokach, może aż po mury Konstantyna. Niezaprzeczenie są między Bułgaryą a Rosyą pokrewieństwo i powinowactwo religijne, obyczajowe, je-

zykowe, wychowania, nawet wdzięczność, lecz to wszystko w dzisiejszym stanie i obrocie rzeczy, mniej można brać w rachubę, niż korzyści lub obawy o narażenie takowych.

Wiadomem jest, że u nas Żydzi nie wymawiają wyrazu — cholera, lecz mówią — „Ta choroba“. Zauważyłem, że Bułgarzy w rozmowie całkiem nie używają wyrazu — Rosya. Mówią: „To mocarstwo“, „Owo mocarstwo“, co najwięcej „Północne mocarstwo“, prawie nigdy Rosya.

Dzień przeszedł — po nocnym zajściu — najzupełniej spokojnie. Młode to państwo nie ma jeszcze w sobie zadania socyalnego i zapewne mieć go nie będzie. Około piętnastu zecerów z olbrzymiej drukarni rządowej, przez naśladownictwo i dla czei czcionkowej chorągwi, chciało urządzać publiczne zebranie. Rząd dał na nie pozwolenie i nie przyszło do skutku. Zapewniają mnie, że w tej chwili w całym kraju zupełny panuje spokój.

*Zofia 2 maja.*

Wszystko tu młode: młodzi oficerowie, młodzi ministrowie, młodzi dyplomaci, młode gmachy i domy i młody ogród; ale znać jeszcze mimo tego grób, z którego się zmartwychwstało i właśnie ten kontrast niezwykle sprawia wrażenie. To jak dziecko, które za kolebkę miałoby trumnę.

*Bank narodowy* w niewielkim budynku podobno rozumnie i roztropnie prowadzony. Banknota włoskiego nie chciano mi w nim zmienić.

Na mieście mówią, że Wasil Lassin umarł w szpitalu wskutek pobicia przez policję, które miało się ponowić w więzieniu; wyrażam wątpliwość, a mój przewodnik Włoch na to odpowiada: „Ach panie to barbarzyńcy“.

Za poradą pana Buriana, a z dodatkowem zaleceniem pana O'Connor, raz jeszcze spróbowałem zapukać do drzwi Stambułowa; każde zajechanie przed jego dom sprawia poruszenie dwóch stojących żandarmów. Tym razem służący nawet mnie nie zapowiedział; oświadczył na progu, że minister leży w łóżku chory, że konsulów, którzy dziś byli zrana u niego nie przyjął. A zatem nie poznam go; to tak samo, oczywiście bardzo *mutatis mutandis*, jak gdybym nie był się dostał na Akropolis w Atenach. Tu niema jak tam pamiątek ani pomników, ani gmachów, ani posągów, ani rzeźb ani starożytności, tu są tylko ludzie; a między nimi Stambułow jest tem, czem Akropolis w Atenach.

Skromną dla mnie pociechą zawodu stała się rozmowa, zresztą bardzo zajmująca, z osobą znaczącą i wysokie zajmującą stanowisko, którą muszę w całości przytoczyć, gdyż daje dokładne pojęcie, jeżeli nie o tem co rząd tutejszy myśli, to przynajmniej o tem co mówi.

„Całem zadaniem i wysileniem rządu jest utrzymać bez zmiany systemat Stambułowa, który ma na celu odrodzenie kraju i to się stanie. Systemat ten polega na podniesieniu dobrobytu w każdym kierunku: gospodarskim, pieniężnym, wychowania i wykształcenia, stąd głównemi naszymi troskami są: drogi, kanały, koleje, zakłady naukowe.

Chcieliśmy pokazać, że umiemy sami się rządzić, że nikogo a nikogo nie potrzebujemy, że możemy być pozostawieni sami sobie. Jeżeli zadanie nie zostało dotąd w całości wykonane, to przecież w znacznej części spełniliśmy je. Dziś już kraj nabral doświadczenia i wytworzyło się pokolenie, które nasze dzieło potrafi przeprowadzić. Ale, powtarzam, zmiany systematu nie będzie. Rząd jest wewnątrz silnym, potrzebujemy wewnętrznego i zewnętrznego pokoju. Wprawdzie są czasem pożałowania godne objawy — jak spisek Panicy — które albo pochodzą z poduszczeń obcego mocarstwa, albo z oso-

bistych współzawodnictw i nienawiści, z żądy władzy; ale wszystkie te zachcianki i próby nie mają w społeczeństwie gruntu. Ciało oficerskie zrozumiało własną korzyść i jest za rządem, a w Ruszczuku ludność rozbroiła garstkę wojskowych oszukanych i obłąkanych.

W sobраниu rząd rozporządza większością prawie  $\frac{4}{5}$ . Karawałow jest z wrodzonego usposobienia niespokojny, niezrównoważony — teraz nie wychodzi prawie z domu; stronnictwa, nawet zwolenników nie ma, tak dalece, że w sobраниu ma tylko jednego, ale ukrytego, który nie śmie się zdradzić, bo i ten obiecał, że pójdzie z rządem — uwaga więc na niego zwrócona i wie z kim ma do czynienia. Zresztą Karawałow człowiek rozumny i nader miły. Zankowiści są najniebezpieczniejszymi; ale po pierwsze, ich naczelnik jest za krajem, powtóre oni stoją na gruncie antidynastycznym, nieprawnym, zatem prawie wywrotowym i nie mogą jawnie się objawiać i działać. Radostawieści i konserwatyści, jak Stoilow i Naczewicz dyplomatyczny agent w Wiedniu, idą z nami. Niema więc niebezpieczeństwa“.

„Pozwolę sobie jednak zauważyć, że ludzie sprzyjający Bułgaryi, że ludzie rozważni i rozumni, upatrują w tem niebezpieczeństwo, iż spiski powtarzają się, że stały się chronicznymi i że prawdopodobnie odnawiać się będą, bo przeciwnik nie mając na razie innego środka, będzie tego wciąż i dalej używał“.

„Być może! ale jesteśmy przygotowani i baczni, a będą to odosobnione usiłowania, które w kraju nie znajdują odgłosu. U nas wielka liczba nie trudni się polityką, trudnią się nią tylko wykształceni i to nie wszyscy“.

„Na szczęście“ — dodałem.

„Jesteśmy narodem demokratycznym ale zachowawczym“.

„I to właśnie, oraz rozumne wasze postępowanie zjednało wam uznanie. Można powiedzieć, że prócz jednego mocarstwa, wszyscy są za wami“.



„Tak jest, mamy za sobą wielką większość“.

„A przecież nieuznanie księcia stwarza położenie sztuczne i trudne, i może zawsze dać powód do kłopotów“.

„Drażliwa to i zarazem zajmująca sprawa. Są dwa sposoby rozwiązania jej. Albo wywarciem czynami dokonanymi silnego na Portę nacisku zmusić ją do uznania; albo poczytać rzecz za nieistniejącą; nie wspominać o niej, nie podnosić jej; zastąpić uznanie, rzeczywistością istnienia obecnego porządku rzeczy i postępować tak, jak gdyby nie było potrzeby uznania. Pierwszy sposób nie byłby właściwym i prawdopodobnie jest niemożliwym, zatem pozostaje tylko drugi. Jest to sposób bardzo prosty i łatwy, bo książę jest tu, rządzi, podpisuje, spełnia należycie swoje zadanie i obowiązki. Wprawdzie stwarza to ze względów dyplomatycznych wadliwe, kłopotliwe położenie, ale bodaj czy nie więcej niemiłe dla dyplomacyi niż dla rządu i księcia. Prawda, że książę nieotwiera podwoi dla dyplomatów, że ich urzędownie nie przyjmuje, ale w zamian zabezpieczony jest przed tysiącami pytań, żądań i zabiegów, z ich strony. Jest w tem coś krotochwilnego, że ajenci dyplomatyczni w godzinach urzędowych nie znają księcia, w innych znają go doskonale. Kiedy przywdzieją mundur, nie kłaniają mu się; kiedy są w tużurku, starają się go spotkać, aby otrzymać zaszczyt uściśnięcia ręki. I powiedz mi pan, czy śmieszność na nas, czy na nich spada?“

„O ile dostrzedz mogłem podczas pobytu w Konstantynopolu, Porta nie ma chęci zapoczątkowania uznania“.

„Wiemy o tem i przekonani jesteśmy, że Porta nigdy tego nie uczyni, a mocarstwa na nią czekają“.

„W Konstantynopolu tureccy dyplomaci kładli nacisk na łączność i tożsamość niebezpieczeństw i korzyści tureckich i bułgarskich, zarazem dodawali: jeżeli bę-

dziesz miał sposobność, zaleć im tam cierpliwość i umiarkowanie. Mniemam, że po części odnosiło się to do poruszanej czasem sprawy: ogłoszenia niepodległości“.

„Zaręczyć panu mogę, że nigdy dotąd nie powstała ona w myśli rządu, ani na jego naradach. Są ludzie, którzy muszą zawsze czemś siebie samych straszyć i straszyć innych. Powtarzam, że takiego zamiaru rząd nigdy nie powziął i nie żywi go. Ogłoszenie niepodległości byłoby błędem już jako zbytęczne. My chcemy i musimy pozostać w związku z Turcją, ogłoszenie niepodległości byłoby zerwaniem ostatniego z nią węzła. Wtrącilibyśmy Portę w ramiona naszych nieprzyjaciół. A zresztą zważ pan, my dotąd jesteśmy tylko częścią narodu bułgarskiego, mamy całe, liczne ludności bułgarskie poza granicami dzisiejszego państwa; tych wyprzeć się, poświęcić i może narazić ogłoszeniem niepodległości nie możemy. A jakąż ogłoszenie przyniosłoby nam korzyść? Mielibyśmy ministrów pełnomocnych za granicą i dwór wspanialszy; to jest nic więcej istotnie jak to, co już mamy, prócz większych kosztów“.

Muszę zapisać, że kiedyś opowiadał dyplomatom tutejszym, treść tej rozmowy, przy powyższym ustępie, nieco niedowierzająco kiwali głową.

„Nie panie — ciągnął dalej dygnitarz — myśmy połączyli dwie Bułgarye, oparli się burzy powstałej wskutek znanych wypadków za czasów ks. Aleksandra; myśmy w jego miejsce ustanowili Regencyę, sprowadziliśmy następnie ks. Ferdynanda, ustaliliśmy jego rządy i przeprowadziliśmy w części zadanie, o którym wspomniałem. To dosyć, jak na nas; trzeba zostawić przyszłym pokoleniom coś do zrobienia“.

„Ten sposób widzenia, zwłaszcza co się tyczy Turcji wydaje mi się słusznym; a roztropne, patriotyczne postępowanie Bułgarów i obecnego rządu zjednało im uznanie i nawet wywołało nieraz podziw. Stałość, do-

dalem, i siła woli pana Stambułowa są przedmiotem zajęcia i pochwał świata politycznego“.

„Tak jest Stambułow jest przejęty temi zasadami i myślami, które wyluszczyłem i pozostanie im wiernym“.

„Uważam, rzekłem wkońcu, że Zofia się przeistacza, że burzą i budują“.

„Wiele już zrobiono, wiele jeszcze się zrobi, to właśnie cząstka rozwoju i postępu. Mamy doskonałego burmistrza, który usilnie pracuje nad rozkwitem miasta. Dzielny to człowiek Petkow, pierwowzorowa postać, bez jednej ręki, którą stracił pod Szypką, ale drugą tem sprężystiej miastem zarządza“.

„I wali i stawia, nazywają go sofijskim Hausmannem“.

„Wszystko się robi podług powziętego przez niego zamiaru. Nietylko nowe powstają ulice, ale będzie także kanalizacya i bruk. Nad oświetleniem toczyły się długie rozprawy. Powzięto postanowienie odrazu oświetlić miasto elektrycznie, aby uniknąć kosztów przejścia z gazowego do elektrycznego przyrzędu — skoro cały świat poczyna rozpędzać ciemności elektrycznością. Na szczęście nie stoją nam na przeszkodzie, jak gdzieindziej, zobowiązania z towarzystwem gazowem; gdyż jak pan widzisz oświetlamy teraz kanfiną“. Przy pożegnaniu usłyszałem słowa: „Bądź pan pewny, że to co powiedziałem jest treścią naszych życzeń i zamiarów, bo potrzebujemy pokoju i spokoju“.

Po tej rozmowie wyjechałem na miasto i za miasto w stronę Witosza. Natrafiam na pomnik z kamienia; nie bez siły w swej prostocie i nagości — ciężka budowla; podobnemi zaznaczali zapewne barbarzyńcy swoje przystanki; żadnych ozdób, gołe upamiętnienie czynu. Orzeł rosyjski u szczytu. *Aleksandrowi II Carowi Wszech Rosyi, Oswobodzicielowi 1877—1878 r.* Po drugiej stronie: *Nie nam, ale Imieniowi Twojemu* — Są ślady kul rewol-

werowych, któremi Bułgarzy dla zabawy, czy wprawy, strzelają teraz do pomnika, wmurowanego w ich ziemię, dla uwiecznienia pamięci oswobodzenia dokonanego przez oswobodzicieli. Opodal ciepłe kąpiele i zakład. Skręcam na prawo przez pola i wjeżdżam do Nowej Zofi. Dają tu grunta tym, których dawne, tureckie domy burzą w starej Zofi. Powstały też w tem miejscu od roku, jak na drożdżach, gorączkowo, liczne, bardzo liczne domostwa dla uboższej ludności, wcale schludne i przystojne; powstała cała dzielnica, całe nowe miasto, a grunta są tu droższe już, niż w starym mieście. To nowe miasto leży nad potokiem Witosz i ma być wystawione na jego wylewy, jeżeli prawda, to dziwaństwo tu właśnie budować; ale widzę, że przeryniają to miejsce dość szerokim kanałem. Przejeżdżam przed nowo wystawionym domem Krotewa, ładny i obszerny, prawie pałacyk; powiewa na nim czarna chorągiew; zaledwie dom wystawił padł od kuli rosyjskiej! Był nadzwyczaj oddanym Stambulowowi, zapalonym do swojego rzemiosła, tego zapалу stał się ofiarą; nie znał oczywiście rady ks. Talleyrand.

Dalej wielki młyn parowy, założony przez Francuzów. Spotykam żandarma — żandarmi kłaniają mi się tutaj — niesie atlasową poduszkę pod ordery Krotewa; pogrzeb odbędzie się o wpół do czwartej. Weiaż twierdzą, że jego zabójca umarł w nocy wskutek ran odniesionych nietylko w sklepie, ale także na policyi; dodają, że i żonę czy też niby żonę, obili policyanci.

Dojeżdżam do wielkiego targu wołowego. Ogromne chłopy, przystojne, nieco dziko wyglądają, ogromne baby, niepiękne, stroje dość bogate i malownicze. Na targowicy widzę dwóch chłopów, którzy zespoleni dłońmi ubijają targ o wołu; machają w powietrzu ściśniętymi rękami najmniej pięć minut. Spotykam jedną tylko Turczynkę, jak widzę przed sobą jeden tylko minaret.

Dużych majątków tu niema, są jednak niektóre po pięćkroć stotysięcy do ośmiukroć tysięcy franków; ale jest średni ogólny dobrobyt. Są wcale dobre wina krajowe i w wielkiej obfitości. Jak już nadmienilem, chłop, chociaż obojętny jest pracowitym.

Temu lat przeszło pięćdziesiąt pisał już Lamartine: w swej *Wschodniej Podróży*: *Ils méprisent et haïssent les Turcs; ils sont complètement murs pour l'indépendance et formeront avec les Serviens leurs voisins, la base des Etats futurs de la Turquie d'Europe. Le pays qu'ils habitent serait bientôt un jardin délicieux si l'oppression aveugle et stupide, non pas du gouvernement, mais de l'administration turque, les laissait cultiver avec un peu plus de sécurité; ils ont la passion de la terre...*

Powróciwszy do gospody, dowiaduję się, że minister Stranski zapewnia, iż nieprawdą jest, aby Wasil Lassin umarł. Policya chciała, mówią, uchwycić u niego papiery odnoszące się do Panicy, może do Hitrowa, rosyjskiego ministra w Bukareszcie, stąd zajście. Prefekt policji Radoslawow, ale nie były minister, rozlepić kazal doniesienie, w którym powiedziano, że Krotew zginął przy spełnianiu urzędowych czynności. Wasil jeżeli nie umarł, co zdaje się nie ulegać wątpliwości, nie będzie przecież skazanym, bo prawo za nim przemawia. Paragraf 35 ustawy policyjnej opiewa, że policya nie może wkraczać do domów bez współdziałania burmistrza i prokuratora.

W krótkim czasie widziałem dużo ludzi, prócz niestety najważniejszego; w Zofi łatwo to dość przychodzi, bo odległości nie są wielkie, a wszyscy wciąż się spotykają. Co krok, począwszy od Aten, natrafiam na ministra lub byłego ministra; już to rosną oni na półwyspie bałkańskim, jak grzyby po deszczu.

Battenbergizm nie istnieje, już wygasł, sam ks. Aleksander go zgasił. Dobry, szlachetny i uroczy, nie umiał niezego nikomu odmawiać i to go zgubiło. Ks. Ferdy-

nand nieco inaczej postępuje. Ks. Aleksander dobry wojskowy, zdaje się stanowczo, bez istotnej żądy politycznej, przecież przez względy polityczne wyłącznie, chciał zaślubić księżniczkę pruską, podczas gdy ona pragnęła tego związku, bo go kochała; zamiana listów między nimi bardzo ożywiona, długo się ciągnęła. Ks. Aleksander znudził się ostatecznie w Zofi, a wskutek zawziętego prześladowania ks. Bismarcka, może także i niewdzięczności niektórych Bułgarów, uczuł niesmak i nabrał chęci do szczęścia mieszczańskiego, do którego ponoś był stworzony, które — jak się zdaje — teraz posiada. Jest prawdą, że cesarzowa rosyjska zapisała mu dwa miliony rubli, ale również niewątpliwem jest, że nigdy grosza jednego z tego datku nie dostał, i nigdy nie upominał się. Obrachunek należitości za pałace tutejsze, prócz drobnych szczegółów, ukończony, ks. Aleksander dostał wskutek niego około dwa miliony franków.

Z jego czasów, z okresu bohaterskiego, miłe tu pozostawił wspomnienie Polak — Piotrowski.

Rządy Stambułowa mają niewątpliwie bismarckowskie znamię, z tą różnicą, że ks. Bismarck rozpoczął jako junkier, pan Stambułow jako radykał, jeżeli nie jako coś więcej. Zupełna tu i ogólna panuje zgodność, co do jego wyjątkowych zdolności — liczy dopiero lat trzydzieści sześć. Ludzi zdolnych jest tu kilku, nawet kilkunastu. Stambułow, i to słusznie, kładzie teraz główny nacisk na wojsko; trzyma je silną dłoń, a Bułgarzy nadzwyczaj podziwiają i w tem także jego spryt i rozum polityczny, iż aby lepiej zapewnić się co do wojska, wydał siostrę za Mutkurowa, ministra wojny.

Zdaniem Bułgarów, cała tajemnica rządzenia Stambułowa polega na tem, iż miał przenikliwości i odwagi dosyć, aby zrozumieć czy odgadnąć, że w obecnym stanie rzeczy i stosunków europejskich, Rosyanie nie wkroczą do Bułgarii. Na tem też oparł całą swoją

politykę. Ta trafność sądu pierwszego ministra niezmiernie podnosi go w oczach Bułgarów i mówią: Raz przyjąwszy ten pewnik, mógł Stambulow zrobić wszystko, co zrobił — to tłumaczy wszystko i jest słowem zagadki.

Co się tyczy ks. Ferdynanda słyszałem, jak Bułgarzy z uznaniem podnosili, iż nauczył się mówić po bułgarsku i że ma zadziwiająco dobrą wymowę. Na onegdajszej uroczystości wojskowej w Filippopolu, przemówił wybornie do oficerów po bułgarsku.

Zagmatwane i zamącone są tu uczucia co się tyczy Rosyi. „Bułgarzy, powiedział mi ktoś, znajdują się względem niej w położeniu człowieka, którego obil ten, co go, gdy tonął, z wody wydobył. Nie wiedzą czy mają pierwiej się gniewać i oburzać, czy też być wdzięcznymi“. Niezręczność Rosyi w postępowaniu z nimi była następstwem istoty i treści rzeczy oraz wypadków. Polityka rosyjska, to kula, która przyrodzoną siłą toczy się, dopóki nie natrafi na przeszkodę i wtedy zatrzymuje się, aż przeszkoda usuniętą zostanie, aby znowu toczyć się pod prawem ciężenia. Widocznem to jest zwłaszcza na Wschodzie. Rosyanie postępowali sobie z Bułgarami, jak starsze osoby, które myślą, że dzieci nie widzą, nie słyszą lub nie rozumieją, co one robią i mówią. Bułgarzy wszystko widzieli, słyszeli i wszystko rozumieli. Budzą oni w sobie dawne tradycye i wspomnienia historyczne, przypominają sobie z dumą, że byli chrześcijanami przed Rosyanami, pamiętają o św. Cyrylu i Metodym, oraz, że staczali nieraz zwycięskie walki. „Co się tyczy terażniejszości, rzekł do mnie Bułgar, już w szkołach, nauczyciele wiejscy uczą dzieci, jakie nam psoty i krzywdy wyrządza Rosya i co nam z jej strony grozi“. A przecież największym byłoby błędem stawać tu w otwartem do Rosyi współzawodnictwie; zdradzać chęć walczenia z jej wpływem lub przeciwważenia go; takie postawienie rzeczy byłoby niezręcznem, może zgu-

bnem. Podejrzliwość bowiem Bułgarów nie pochodzi z obyczaju wschodniego, ani jest skutkiem długiej niewoli; ona jest wrodzoną i tem silniejszą, niezmierną! Nie trzeba nigdy mówić, że się dla nich coś robi z miłości, lecz należy im dowieść, że się to robi dla własnej korzyści. I dlatego, że w Rosyi i Rosyanie, zawiele mówili o poświęceniu się dla szczęścia Bułgarów i o niesamolubnem ich oswobodzeniu, stało się im to podejrzanem, a wciąż przypominany obowiązek wdzięczności sprzykrzył się im. Bułgarzy przytaczają następujące zdarzenie. Był za czasów tureckich rzeźnik, który dostarczał baszy mięsa; oskarżony o sfalszowanie wagi, skazany został na ucięcie ramienia jednego; w niedoli swej udał się do wpływowego człowieka, który uzyskał od baszy ulaskawienie rzeźnika; ten w zapale wdzięczności posłał wybawicielowi najpiękniejszy kawał mięsa. Wybawiciel zachęcony jego szczodrobliwością począł co kilka dni z początku, wreszcie codziennie żądać najlepszych kawalków; rzeźnika drogo to kosztowało i wiedział, że go to zniszczy, ale nie mógł się zdobyć na odmowę, wstydził się nie zadowolić dobroczyńcy; przecież wkońcu tak mu się ten stan rzeczy sprzykrzył, iż uchwyciwszy za siekiere, zamiast odciąć nią kawał mięsa, odciął własne ramię i posłał je natrętnemu laskawcy.

Zresztą mniemają i prawdopodobnie liczą tu na to, że wielką dla Rosyi przeszkodą — nie mówiąc o strategicznych i politycznych — jest uczucie, któreby nie dozwoliło narodowi rosyjskiemu, znieść spokojnie, i bez szemrania wojny Rosyan z Bułgarami.

Kwitną tu chwasty podejrzeń i potwarzy, jeszcze nawet dzisiaj, odnośnie do Austro-Węgier, a podlewają je, aby bujnymi były, wodą z morza Czarnego. Życzyć sobie należy, aby silniejsze zapuściły korzenie ziarna prawdy, a pamiętna, niedawna mowa naszego monarchy przy otwarciu Delegacyi już dobre wywarła tu wra-



żenie. Zresztą z Bułgarami nie trzeba rozumować, ani nawet przeciw baśniom oddziaływać; czynami nie słowami, należy do nich przemawiać, a pod tym względem, polityka hr. Kalnokyego nadaje się do usposobienia Bułgarów i stosunków Bułgaryi.

Były w młodem wojsku zarody pretoryanizmu, przeciw niemu oddziaływają rząd i ludność. Wzajemna złość między Serbami i Bułgarami trwa wciąż, ale rzekł ktoś, tylko waryaci z jednej i drugiej strony, mogliby popełnić teraz do wojny, zwłaszcza pierwszych. Bądź pan przekonany, mówił mi znowu ktoś inny, że gdyby nie austriacko-węgierski minister w Belgradzie hr. Khevenhüller, powiaty koło Pirotu, wyłącznie bułgarskie należałyby do nas; ale ks. Aleksander po zwycięstwie pod Sliwnicą, wobec zapowiedzi Khevenhüllera, że się spotka z wojskiem austriacko-węgierskim, jeżeli dalej się posunie, musiał się zatrzymać. Podobno hr. Khevenhüller przekroczył nieco swoje instrukcye, ale bądź co bądź, wyście Serbów wyratowali, a widzicie jak teraz okazują się wdzięcznymi i przechylają się na stronę Rosyi. No ale w przyszłej wojnie odbierzemy im te powiaty, bo bez nich stolica nasza za blisko granicy“. Trzeba wiedzieć, że obrano Zofię za stolicę jedynie w myśli stania się Piemontem, inaczej bowiem byłoby to bezrozumnem. Istotnie Bułgarya dzisiejsza jest rodzajem Piemontu na półwyspie, który się nie spieszy, ale który ani z Macedonii, ani z powiatów serbskich, ani z okolic Adrianopolu nie spuszcza oka; który w armii swej licznych już ma Macedończyków. Bułgarzy przecież są względnie cierpliwymi, to jest, iż są dziś najmniej niecierpliwymi między ludami wschodnimi.

W obecnem położeniu rzeczy, ks. Ferdynand wnoszący to z tego co tu slysze, jest szczegółem; oto zaś głównie idzie, aby w razie jakiego wypadku, mniej lub więcej tragicznego, systemat się utrzymał, jak się to

stało po porwaniu, następnie po abdykacyi ks. Aleksandra. Podwaliny, zaręczają mi, są i możnaby na nich budować. Ukoronowaniem dzieła, byłoby — cesarstwo bułgarskie.

*Belgrad 3 maja 1890 r.*

Zofia leży w równinie u stóp góry; Belgrad amfiteatralnie na górze, nad Dunajem i Sawą — ślicznie. Jeżeli Zofia przypomina miasta wschodniej Galicyi, to Belgrad podobny do większych zachodniej: nieco do Tarnowa, ale bez Gunnisk.

Na wstępie znać, że tu wszystko starsze niż w Zofi, że zmartwychwstanie było wcześniej, że już grób przewietrzony. Czuje się, że Belgrad był stolicą, kiedy Zofia była konakiem tureckiego baszy gubernatora. Zofia to osada, to wieś dziś przez pół zburzona na to, aby się stać miasteczkiem. Belgrad to już zabudowane miasteczko.

Pani O'Connor ma niezawodnie słuszość, kiedy mówi, że wieś ma więcej wdzięku niż miasteczko, ale ten wdzięk dzisiejszy Zofi, zniknie niebawem niepowrotnie.

Liczne kwitnące kasztany, których gałęzie i kwiaty zagładają do okien mojego pokoju, usposabiają mnie dobrze dla Belgradu. Są istotną a niezwykłą ozdobą miasta.

Odrazu puściłem się w odwiedziny do bawiących tu znajomych i osób którym byłem polecony, do Serbów i członków ciała dyplomatycznego. Złożyłem najprzód uszanowanie ministrowi austro-węgierskiemu pułkownikowi baronowi Thoemmel. Nasz minister pełnomocny mieszka w bardzo ładnym domu, urządzonym doskonale jeszcze przez poprzednika pana Hengelmüllera, jest to *villa*, którą nawet gdzieindziej niż w Belgradzie, na-

zwaćby można palacem a która tutaj, już z zewnątrz odpowiada ważności i znaczeniu poselstwa naszego w tym kraju.

Bar. Thoemmel jest skończonym i bardzo przyjemnym pierwowzorem wojskowego dyplomaty, wskazanym i najodpowiedniejszym do tutejszych stosunków, a dziś człowiekiem najwłaściwszym. Czuć w nim stanowczość i rycerską dzielność, które łączy z rozumną roztropnością i strategicznym umysłem. Były pełnomocnik w Cetynii i minister w Teheranie, zna z doświadczenia bliższy i dalszy Wschód. Mąż zatem zdolny nie tylko unikać błędów, ale może i naprawiać takowe. Stanowisko jego oczywiście, ani wygodnem, ani zbyt przyjemnem nie jest; odpowiedzialność znaczna; lecz zasługa będzie tem większą. Przesady, bajki niesłychane i bezczelne kłamstwa dziennikarskie, utrudniają zadanie i to znacznie; mozolne, nieraz przykre, codzienne sprawy, które zamieniłyby się mogły w niepotrzebne lub szkodliwe zajęcia, stwarzają szereg zawiłych kłopotów, które pociągają za sobą konieczność karlsbadzkiej kuracji, na którą niebawem się uda bar. Thommel. Z drugiej jednak strony, stanowisko przedstawiciela wielkiego, sąsiedniego mocarstwa, rozporządzającego siłą duchową i wojskową, którą co chwila rzucić może na szalę, lecz której nigdy, nadużywać nie pragnie, pod godłem *pouvoir et s'abstenir*, nie jest wcale pożałowania godnem i znaleźć on może w niem obfite zadowolenie patryotyczne i pociechy, w zamian za troski i nudy. Wogóle, tak częste u nas malowanie tutejszego położenia czarną farbą, bynajmniej nie odpowiada istocie rzeczy, że zaś równie jest szkodliwem, jak niezgodnem z prawdą, nie ulega wątpliwości.

Pan Frederik R. A. John, minister pełnomocny królowej Wielkiej Brytanii, ma niezawodnie łatwiejsze i mniej kłopotliwe zadanie, ale też mniej ważne, niż pełnomocny minister cesarza austriackiego i króla węg-

gierskiego. Miły, uprzejmy, spostrzegacz baczny i bezstronny stosunków i ludzi, wypowiada z pewną skromnością wytrawne i doskonale zdanie, posiada także wskutek długiego na Wschodzie pobytu, gruntowną znajomość tych stron i ich zawilych spraw.

Pułkownika Dra Vladan Georgévitcha poznałem w Konstantynopolu na śniadaniu u ambasadora angielskiego, który przez parę lat był ministrem w Belgradzie; pospieszyłem tu do niego i znalazłem uprzejmość, gościnność słowiańską i ochoczą gotowość pomocy w zwiedzeniu miasta i ludzi. Odrazu Vladan Georgévitch zaznajomił mnie z tem, co godne tu widzenia i z tymi, od których mogłem się nauczyć czegoś nie dziennikarskiego, o tutejszych stosunkach. Między innymi odwiedziliśmy prezesa gabinetu jenerala Gruic.

Położenie tutejsze wogóle, zwłaszcza stosunki z Austro-Węgrami wydają mi się być dotąd przynajmniej lepsze, niż można było oczekiwać po abdykacyi króla Milana, a to dlatego, że jeżeli nie jedynem, to głównem zlem jest tylko niewstrzeżliwość i rozpasanie bez granic dzienników — przeciw czemu rząd obecny oddziaływa nieco zwolna, a zaręcza, że oddziaływałby silniej, gdyby miał po temu środki i nie znajdował w bezmiernie wolnomysłnej konstytucyi, trudności i przeszkód.

Wpływ tutejszych stosunków na Bosnię mniejszą ma doniosłość, niżby zdaleka przypuszczać można. Dzieli ją od Serbi, mająca zawsze znaczenie, przez przyrodę stworzona granica, przeciwieństwa między ludnościami historyczne i teraźniejsze, należy także brać w rachubę. Dotąd nie można dopatrzeć się śladów czynnego apostolstwa urzędowego serbskiego w Bosni, aczkolwiek są usiłowania dziennikarskie w tym kierunku, oraz ciągle działanie Serbów, zamieszkujących okolice graniczące z Bosnią. Zachcianki serbskie w tej mierze byłyby historycznie nieuzasadnione, gdyż połączenie dwóch krajów

w przeszłości było przejściowem i trwało tylko kilkanaście lat. Religia w Serbii nierównie ważniejszą jest niż w Bułgarii rzeczęą; Serbowie są na wskrós przywiązanymi do prawosławia i wielką ma ono dla nich ważność narodową i polityczną. W Bośni ludności katolicka i muzułmańska razem wzięte, tworzą większość. Najlepszą przeciw rękojnią spokoju i bezpieczeństwa: wzorowy, wyborny zarząd ministra Kallaya w zajętych krajach. O dobrym tym zarządzie wiedzą tutejsi Serbowie, chociaż niechętnieby to przyznali, dlatego właśnie, że mógłby on posłużyć im za naukę, już tem, że przynosi lepsze o wiele owoce, niż zbyt wolnomyślne ustawy serbskie.

Stosunki handlowe Serbi z Austro-Węgrami są niemalej dla obu stron doniosłości, stwarzają węzły, ale także spory; niepodobna przypuścić, aby odnowienie upływającego w 1891 r. traktatu handlowego, mogło dać powód do poważnych zatargów, lub daleko idących zmian; gdyż jego warunki, jak dotąd tak i w przyszłości, spiszą nie ludzie, ale istota rzeczy i konieczność wzajemna związków handlowych, chociaż i pod tym względem sobkostwo tutejsze nieraz bredzi i stawia zamki na lodzie.

Czuć na każdym kroku w obyczajach, stosunkach, w życiu codziennem i w fizyognomii miasta sąsiedztwo bezpośrednie Austro-Węgier, zatem więcej niż gdziekolwiek na Wschodzie, ich pośredni wpływ, który tłumaczy, o kilka set kroków oddalony Zemlin.

Zacheianki ks. Mikołaja Czarnogórskiego, cesarstwa ogólnoserbskiego, zdają się być marzeniami; jest on poetą, jego w tej mierze polityka poezją. Serbia posiada nierównie wyższy stopień wykształcenia niż Czarnogóra i lepiej jest od niej urządzoną społecznie. Ale Czarnogórzec czuje znowu swoją wyższość nad Serbem, jako wojownik, jako ten który ostatecznie przez Turka nie dał się zgnębić. W Czarnogórze jest jednak

kilkudziesięciu tylko ludzi politycznie wyrobionych; reszta to dzicz, a Czarnogórcy niezwycześni w górach swoich, tracą zeszedłszy w doliny, moc i wartość, wyżyć się nie umieją i nie mogą.

Serbia jest także Piemontem na swoją rękę! A tak w mej podróży, naliczyłem aż trzy Piemonty na półwyspie bałkańskim: grecki, bułgarski i serbski. Wszystkie trzy mają zaostrome żądze do tych samych spornych przedmiotów. Przedewszystkiem rozegrają one między sobą mniej lub więcej krwawo, spór w Macedonii, o której Grecy mówią, że jest przeważnie grecką, Bułgarzy, iż jest wyłącznie bułgarską, Serbowie, że jest w największej części serbską. Nie wspominam o dwóch jeszcze innych Piemontach, których nie widziałem, o czarnogórskim i rumuńskim. Jeżeli jeden zakłócił spokój świata — to czegoż się nie można spodziewać po pięciu na Półwyspie?! Prawda, że może wygodniej i łatwiej mieć do czynienia z pięcioma niż z jednym, a istotnie tu zwłaszcza, co się tyczy Serbii, bardziej niż gdzieindziej współzawodnictwa samorodne i historyczne stawiają i stawiać będą zapory daleko sięgającym żądom i niemal dziecinnej wyobraźni sobkostwa narodowego. Sięga ona wszędzie, gdziekolwiek, kiedykolwiek byli lub przechodzili Serbowie, bodaj, czy nawet nie po Bałtyk — jak ktoś powiedział — tam gdzie Serb podróżował za paszportem. Wszystkie te na Wschodzie dzieci mają apetyty dojrzałych ludzi.

Są różnice między obecną Regencyą rządzącą podczas małoletności króla Aleksandra po abdykacyi Milana, a ministeryum; wynikają one z pochodzenia z odmiennych stronnictw. Regencyi bowiem nadaje znaczenie Risticz, jedyny, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, mąż stanu Serbi. Jest on roztropnym w postępowaniu, raz, bo dba o stanowisko Regenta; powtóre, bo istotnie nie chce pełnić kraju w przygody i narazić go na grę, której stawką stałby się mogła dynastia. Na razie trudności między

gabinetem a Regencyą wygladzonemi zostały, w danych okolicznościach najodpowiedniej. Regencya przecież nie jest dosyć — rządem, ani władzą dość silną. Gabinet zaś musi się dopełnić, bo niepodobna przez dłuższy czas, aby dwie teki — jak obecnie — pozostawały w tych samych rękach. Ministrowie zawsze się znajdują na tej bujnej wschodniej niwie. Chciałem odwiedzić ministra skarbu Vuitcha, w ładnie wśród ogrodu położonym gmachu rządowym; nie zastałem go, bo zastępuje jednocześnie ministra wychowania publicznego i w ministerstwie oświaty dziś przebywa.

Ostatnia skupeczyna uchwaliła wszystko co gabinet chciał, jak najpoddaniej. Powstały były tylko trudności co do dziesięciu milionów na wojsko: „Serbowie bowiem, odezwał się ktoś do mnie, mają się za tak silnych, że zdaje im się, iż nawet wojska nie potrzebują“. Ułożono w ten sposób rzecz, iż uchwalonym został dodatek do podatków na potrzeby wojskowe, który przyniesie coś około ośmiu kroć sto tysięcy franków rocznie. Wojsko od ostatniej wojny, zdaniem Serbów i dyplomatów, jest w upadku i potrzebuje znacznej naprawy oraz przekształcenia.

Kraj robi postępy gospodarcze, ale nie takie jeszcze, jakieby mógł; za mało wogóle jest tu pracowitości. Skarb na razie wzmocnionym zostanie przez Vuitcha, zdolnego ministra, na którego zwrócone są oczy wszystkich i niejedna nadzieja. Spełnił on trzy zamachy: kolejowy, solny i tytoniowy. Dochody z tych trzech przedmiotów napełniają puste skrzynie. Środek był skrajny, ale skuteczny. Powodzenie zatarło wrażenie nadużycia, a strony poszkodowane zostały jako tako wynagrodzone. Serbowie zaś dodają, że poddani austriacko-węgierscy zupełnie uwzględnionymi zostali. „Tak zawsze kończą się wszelkie sprawy i zajścia między nami, a potężnym sąsiadem, ku jego jeżeli nie głośnemu, to cichemu zadowoleniu“.

I tu znowu dziennikarstwo przesadami sprawia nieraz złudzenie optyczne, które zblizka znika. Dziennikarstwo wyśrubowało zajście serbsko-bułgarskie z powodu uczniów; nie przybrało ono nigdy takich rozmiarów, jak w dziennikach, a już zostało załatwionem. Najdzielniej przecież spisał się współpracownik *Daily News*, opisał bowiem rozprawy skupczyny nad zasilkami wojskowymi, które wcale się nie odbyły i przytoczył mowy, które nigdy wypowiedzianemi nie zostały; co mi przypomniało ocenę warszawską o występie aktora Fiszera jako Papkina, który się nie odbył, chociaż był zapowiedziany.

Serbowie sami najlepszymi są sędziami, czy dobrze jest lub szkodliwie, aby królowa Natalia w kraju przebywała. To pewna, że znaczenie jej tutaj jest równie małym, jak jej polityczna wartość; chociaż była i pozostała ogniskiem drobnych zabiegów, żyje obecnie odosobniona. Młody król Aleksander strzelił w górę, raptem znacznie urósł, już się stał młodzieńcem i wcale dobrze, gdy potrzeba, przemawia, jak tego dał dowód podczas pobytu ks. Neapolu; dar wymowy odziedziczył po ojeu. Królowa widuje go tylko za pozwoleniem króla Milana i widziała go dotąd od przybycia tutaj, pięć razy.

Król raczej byłby król Milan, przyjedzie tu we wtorek.

Religijne uczucia społeczeństwa, to jest prawosławie, stwarzają silniejsze węzły między Serbią i Rosją, niż między Bułgarią a nią, a oddalenie pozwala swobodnie igrać z rusofizmem. Ostatecznie jednak stał się on środkiem wyzyskiwania położenia na dwie strony. Wszystkie te ludy wschodnie obdarzone są sprytem i rozumiały, że się wytworzyło położenie, w którym tak co do wielkich spraw przyszłości, jak co do małych terażniejszości, najlepiej i najkorzystniej dla nich, straszyć jednych dobrymi stosunkami z drugimi;



nie zastawiać zaś swej uprzejmości, aby ją mieć zawsze na sprzedaż. Wielkiem jednak byłoby rozczarowanie Serbów, gdyby Rosya znowu zapanowała w Bułgarii; wtedy bowiem, siłą rzeczy, wypadki zwróciłyby się przeciw nim, a słynna karta geograficzna, sporządzona w Petersburgu, dała im przedsmak podobnego zwrotu, wtedy Serbia znalazłaby się na lodzie.

Wogóle wiele jest przesady w tem, co się słyzy, co się mówi i co się myśli o rusofizmie tutejszym; tak dobrze plemiennym, jak politycznym. Przesady tej dopuszczają się czasem sami Serbowie, ale wtedy, gdy im ona dopomódz może do ciągnięcia z dwóch stron korzyści. Istotnie zaś Serbia, jak wszystkie państwa nowo powstałe na Wschodzie, chce pozostać niezależną, jak na teraz ona zwłaszcza w pokoju i spokoju, a na przyszłość, stać się Piemontem i zaspokoić swoje żądze. Kto i co do tego dopomoże, jest jej dobrem i pożądanem, a dopóki tanim kosztem da się prowadzić polityka huśtawki i straszaka — dlaczego nie próbować jej. Będzie zawsze dosyć czasu, aby oświadczyć się w ostatniej chwili za najsilniejszym, za tym co wykazać się potrafi najtęższą wolą i największą potęgą.

Byłoby wielkiem złudzeniem przypuszczać, że oswobodziwszy jakikolwiek naród i dawszy mu byt niezależny, nie zasmakuje on w nim i nie będzie go się starał utrzymać i rozszerzyć. Jeżeli ludy gotowe są na wszelkie ofiary krwi i mienia dla odzyskania niepodległości, to zdobywszy ją tem większe czynić muszą wysilenia, aby ją zachować. Na wdzięczność zaś nikt chyba i Rosya liczyć nie mogła. Ten zaś urok jej w tych stronach, który polegał na posłannictwie oswobodzenia, musiał z chwilą dokonania dzieła zniknąć, jak owa postać poetyczna, co rozplynęła się w powietrzu pod poalunkiem. Od chwili, jak ludy chrześcijańskie Wschodu przestały jęczeć pod jarzmem tureckim i nie drżą przed Ottomanów potęgą, nie widzą one już w Rosyi wyba-

wicielki, a dopatrzećby się mogły w niej niebezpieczeństwa dla własnej niezależności. Są to poprostu następstwa zwrotu rzeczy ludzkich i ludzkiej istoty właściwości.

Niepodobna aby Rosya w tej mierze mogła się była przeliczyć i aby wszystko co się stało i dzieje, było dla niej niespodzianką; raczej znalazłszy się wobec dylemmatu, wybrała znaną drogę, ufna w swoją potęgę, licząc na małoduszność imych, wkońcu ulegając prawom przyrodzonym, które ją pomimo wszelkich powstających przeszkód, pchają ku Bosforowi i Konstantynopolowi. Zresztą, aby zastąpić wobec ludów chrześcijańskich półwyspu grozę od strony Turcyi, która je przykuwała do niej, a którą sama usunęła, łamiąc potęgę turecką, pospieszyła wytworzyć inną dla ich użytku trwożę, któraby dawną zastąpić mogła i uczynić zawsze pożądaną jej opiekę i pomoc. Kogo Rosya wybrała na to straszydło nie potrzebuję mówić, a zapewne zgadzając się na zajęcie Bośni i Hercegowiny, już myślała o wytworzeniu takowego. Odtąd niema sposobów i sposobików, którychby na tle słów Napoleona: *La politique de la maison d'Autriche a été de tout temps envahissante et temporisante* nie używała Rosya nieurzędowa jawnie, urzędowa potakiwaniem lub cicho, aby nadać największe i najbardziej przerażające rozmiary upiórowi, którym pragnie straszyc dzieci i napędzać ich do własnej komory. I dlatego należy się uznanie postępowaniu i polityce, polegającym na szczerem i wytrwałem popieraniu niezależności i rozwoju ludów półwyspu bałkańskiego. One zdolne powoli ale skutecznie przekonac, że upiór jest straszylem wytworzonym, wyrachowaniem, wyzyskiwaniem i złością, że jest sztucznem niebezpieczeństwem wywołanem na to, aby rzeczywiste zakryć; one mają siłę prawdy za sobą, bo niosą na zewnątrz to, o co się wewnątrz opierają i nareszcie odpowiadają zadaniu każdej polityki, które polega na tem, aby działać nie tem,

czemby sobie życzyć można, ale tem, co jest, co się ma pod ręką, danemi czynnikami. Otóż od chwili jak przyszło zerwać z zasadą nietykalności Turcyi, jak w następstwie powstały nowe na półwyspie twory, jedynie w ich ustaleniu się, w ich z kolei nietykalności duchowej i granicznej, szukać można i należy tych warunków bezpieczeństwa, które dawniej przedstawiała nienapoczęta Turcyja.

I dlatego nieraz to, coby się mogło wydawać słabością, jest tylko zastosowaniem raz przyjętego sposobu, jest mniej lub więcej zręczną grą na szachownicy, która często na tem polega, aby stawić czoło obcemu wpływowi, nie dając uczuć własnego. I zabawne zaiste wytworzyło się położenie, w którym ten ma widoki wygranej, kto najmniej stara się zabrać figur. Każdy też tu udaje, że ani ma wpływu, ani go chce mieć, ani też wywiera nacisku, lub wywierać go chce, a subtelność gry doszła do tego, iż nawet, może zwłaszcza w drobnych rzeczach, każdy obawia się choćby pozorów wpływu i nacisku.

Przed domem przedstawiciela Rosyi Persianiego okropny jest stan bruku tak, że co chwila grozi niebezpieczeństwem wywichnięcia nogi; biedny pan Persiani nie śmie się upomnieć u Rady miejskiej o naprawę, aby nie myślano i nie mówiono, że używa i nadużywa wpływu rosyjskiego, ocuczonego po abdykacyi króla Milana.

Ciało dyplomatyczne żyje towarzysko, nieco zamknięte w sobie; ozdobą jego są dwie córki rosyjskich ministrów, jedna spraw zewnętrznych Giersa, zameżna za posłem rumuńskim, druga skarbu Wyszniegradzkiego, która zaślubiła sekretarza poselstwa rosyjskiego. Panie serbskie nie bywają w tem towarzystwie, mężczyźni rzadko; stosunki ograniczają się zwykle na zamianie kart wizytowych.

*Belgrad 3 maja wieczór.*

Pułkownik Dr Vladan Georgewitsch, były minister byłego króla Milana, jest mi bardzo pomocnym w poznaniu w krótkim czasie tutejszych stosunków i miasta. Jest pierwowzorem ostatniego okresu dziejów Serbii i przykładem, jak ludzie muszą się tu mnożyć i podejmować najrozmaitsze zadania. Lekarz, żołnierz pułkownik, burmistrz miasta Belgradu i jako taki twórca dwóch jedynie dobrze wybrukowanych ulic; minister oświaty i handlu, literat i pisarz, obecnie wydawca przeglądu miesięcznego *Otaczina* „Ojczyzna“ Vladan jest ojcem dwudziestu jeden dzieci; jest rozumnym patriotą serbskim i ma wykształcenie ogólnoeuropejskie, zna ludzi i stosunki nie tylko swojego kraju i jest dla mnie najuprzejmiejszym i najgorliwszym, nieznużonym, a łaskawym przewodnikiem. Tylko rozumny człowiek umie obcemu dać poznać miasto, bo on jeden umie wybierać.

Dr Vladan, ulubieniec i lekarz króla Milana i królowej Natalii, popada po Sliwnicy za opisanie wypadków w niełaskę, raptem zostaje mianowany ministrem z dwoma tekami, w końcu dzieli los króla. Opowiada mi ciekawy szczegół, iż kiedyś, dużo dawniej, podróżował po kraju z Milanem i już wtedy władca rzekł do niego: „Wiesz co, przeprawmy się przez Dunaj, ja znużony panowaniem, udamy się za granicę i tam swobodnie żyć będę“ — na co Vladan odrzekł: „Nie panie i władco, nie czyn tego; z takimi jak twoje zdolnościami, bogatymi umysłowymi zasobami uczujesz wielką w życiu próżnię i po krótkim czasie wyślesz mnie do Belgradu, aby zgotować twój powrót“. Milan dał się wtedy odwieść od zamiaru; niestety nie usłuchał rok temu próśb i nalegań Vladana i innych.

*Otaczina* Vladana Georgevitcha, poświęcona literaturze, nauce i życiu towarzyskiemu, liczy dziewięć

lat istnienia, zatem jest dzieckiem wobec naszego *Prze-  
glądu Polskiego*, które jednak nietylko nie rodzica nie  
kosztuje, ale przynosi mu kilka tysięcy franków do-  
chodu, w czem także znaczna z naszym miesięcznikiem  
różnica.

Wszędzie, gdzie z Vladanem zajdę, podają mi po  
wschodniemu konfitury z wodą i kawę. Wszędzie do-  
strzegam jeszcze ślady żalu do Bułgarów, także  
lekceważenie ich. Niepomyślny skutek ostatniej wojny  
jest następstwem błędów strategicznych niepojętych,  
mówią mi tu, a gdyby nie hr. Khevenhüller, bylibyśmy,  
dodają, w końcu zgnietli ich!

Zwiedziliśmy *Wielką Szkołę*. Gmach wcale ładny  
jest darem Misza Antosiewicza, który przeznaczył na ten  
cel milion franków. Wszechnica, która się w nim mieści  
jest zakładem rządowym, na dole znajduje się biblioteka  
narodowa i Muzeum. W bibliotece wiele ciekawych rę-  
kopismów. Jest wielce ważny inkunabuł, pierwsza ewan-  
gelia drukowana po serbsku w Cetynii, kiedy cała  
szlachta, nie chcąc przejść na islam, schroniła się do  
Czarnogóry, a w Serbii nie już nie było, jeno panowanie  
tureckie. Naród ten puścił z pnia; powstał wyłącznie  
z pozostałych chłopów. Już to uczyć się należy w tych  
dalekich stronach, jak trzeba się ułożyć do grobu, aby  
zmartwychwstać. Talizmanem stało się tu posiadanie,  
uprawianie i głębokie przywiązanie do ziemi. Panowanie  
tureckie było rzekomem i znika, bo nie było opartem  
na przywiązaniu do roli i pracy około niej.

Jest tu książka kościelna w serbskim języku dru-  
kowana, nie zaś w cerkiewnym, dziś używanym.

W Muzeum są dzieje Serbii, zwłaszcza ostatnie,  
uosobione w wizerunkach ludzi znaczących; są próby  
pędzla serbskiego od ozdób na ewangelii malowanych  
przez mnichów, do obrazów większych rozmiarów przed-  
stawiających nowoczesne walki o niepodległość; są dość  
liczne wykopaliska z czasów rzymskich. Przejechaliśmy

przez plac, na którym stoi posąg zamordowanego ks. Michała Obrenowicza; prawą ręką wskazuje na Salonikę. Podążyliśmy do ministerium oświaty, gdzie zastaliśmy ministra skarbu Vuitcha. Młody to jeszcze człowiek, liczy zaledwie trzydzieści parę lat, zdolny, sprężysty, bardzo stanowczy; ma zdaniem wszystkich, przyszłość przed sobą; nieco ze szkoły bismarckowskiej co do pojęć i sposobu; w obejściu jest skromnym, w rozmowie chce zachować równowagę; zaczął od tego, iż był profesorem psychologii. Kiedy tym razem objął tekę skarbu — zastał położenie rozpaczliwe, stworzone oplakanyimi, zgubnymi, szalonymi poprzednimi rządami i oświadczył na wstępie, że pod tym tylko warunkiem pozostanie w gabinecie, jeżeli będzie miał swobodę działania co do trzech przedmiotów: kolei, soli i tytoniu. Niezawodnie, że środek był nieco gwałtowny, niezwykle, ale konieczny dla dobra, nawet dla zbawienia kraju; zdaje się, że się rzecz udała, a jej nieprawidłowość złagodzoną została układami ze stronami i wynagrodzeniem. Urzędnicy żyją od roku z kolei, soli i tytoniu, bo podatki prawie nie wpłynęły. Było to — o ile sądzić wolno — spełnieniem obowiązku względem kraju, a nowa pożyczka serbska czterokrotnie pokrytą została w Paryżu, podczas gdy portugalska nie udała się.

Na to odpowiedziećby można, że ze sposobem bismarckowskim zastosowanym w tych trzech wypadkach, ostatecznie rozumowania niema, że tu powodzenie rozstrzyga i jest jedynym dowodem. Co się tyczy szczegółów i przeprowadzenia uznają wogóle pojedynczość młodego ministra skarbu i chwałą sobie z nim stosunki. Niezawodnie, że Serbia pieniądze wiele zyskała na potrójnym zamachu, ale niepodobna zaprzeczyć, że wrażenie nadużycia było złem i pozostało takowem; jednak rzeczą jest młodości śmieć i mieć powodzenie. W każdym razie ten obrót pieniężny lepiej jest uzasadniony, niż zamiana turecka, o której pewien minister

sultana rzekł do mnie, iż potrzebną była dlatego, że w zeszłym roku przekroczyło się nieco preliminarz.

Najgorsze, mówią mi, usługi oddają ci, którzy nieufność sięją; Serbia zna swoje położenie i chce przede wszystkim pokoju. Słowa te slysze od Rzymu do Belgradu, zawsze nieodmiennie na tę samą nutę powtarzane, już nieco automatycznie; przestały też sprawiać na mnie wrażenia i straciły wiele ze swojego znaczenia; są ogólną dziś przyjętą flagą, która zakrywa wszelki towar i nie pozwala rozpoznać ani plodów, ani ich pochodzenia. To pierwsza udała próba *volapückeru*, którą poprzedziło ogólne pomięszanie języków pod nową wieżą Babel. Serbia przecież musi chcieć pokoju; wojsko w tej chwili jest w oplakanyim stanie i potrzebuje gruntownego przekształcenia. Pod tym względem niema dwóch zdań. Uchwalenie pieniędzy na potrzeby wojskowe było koniecznością; wojsko jest w upadku, twierdze wymagają uzbrojenia, składy są wypróżnione.

Rząd serbski cieszy się ilekroć stosunki Serbii z sąsiadami nie pozostawiają nic do życzenia. Właśnie w tej chwili rząd węgierski podał najlepsze warunki co do dostawy soli i takowe — zapewniają mnie — przyjętymi zostaną, a przecież głoszono, że w traktacie z Rumunią jej z góry zapewnioną została dostawa soli, co było — wedle zaręczeń, które slysze — fałszem, puszczoneym w świat na to, aby Serbi przypisać zły zamiar i niechęć, które nigdy nie istniały. Nazwy stronnictw nie określają tutaj wcale ich istoty lub nawet wprost przeciwnie mają znaczenie. W tej chwili rzeczą potrzebną jest, aby gabinet się uzupełnił, na to należy klasć nacisk; nieprawidłowy to stan rzeczy, w którym szuka się ministra skarbu w ministerstwie finansów, a znajduje się go w gmachu oświaty. Gabinet w tych dniach dopelni się z łatwością.

Udaliśmy się do *Kasyna cywilnego*. Przeraziły mnie stosy dzienników serbskich; naliczyć się ich nie

mogłem. Zapewniają mnie, że prawie wszystkie są szalone, wiele z nich jest znikomych, nikną po krótkim żywocie, lecz inne rodzą się i mnożą się jak króliki. Jeden z obecnych zawołał: „To klęska narodowa“.

Skończyłem dzień w piwiarni, w której zastałem posła niemieckiego hr. Bray z żoną, oraz rezydenta rosyjskiego straszego Persianiego, który ponoś zdaleka straszniejszym jest jak zblizka. Był tam także Czech, który służy w serbskiej żandarmeryi; jako prawdziwi Słowianie, aby się zrozumieć, rozmawialiśmy po niemiecku.

Przejeżdżałem przed domem, w którym mieszka królowa Natalia. — „Skromny“, rzekłem. „Sama tego chciała“, odpowiedziano mi.

Królowa, czy też była królowa, nudzi się okropnie w Belgradzie i z nudów lub zwykłym biegiem rzeczy kobiecych, poczyna się bawić w młodość i naiwność; fotografuje się w stroju pensyonarki z rozpuszczonymi włosami. Wielu tu twierdzi, że wszystko popsuka i zgubiła zbytnią dbałością o piękność i świeżość. „Piękna kobieta — rzekł pewien Serb — nigdy szczęśliwą istotnie nie jest, za wiele bowiem poświęca próżności i sobie samej“. Żle, mówią, zrobiła królowa, że powróciła; za granicą otaczał ją urok, tutaj otacza ją plotka i nie wie sama co począć, czy zostać, czy wyjechać. W życiu zaś króla Milana wytworzyła się próżnia, której nie zdołał wypełnić zabawą. Stworzony do niej, zdaje się, iż mu nie wystarczy. „Pelen osobistego wdzięku, mówią mi, porywający nawet, był wspaniałym na sposób zachodnio-wschodni, o czem można było się przekonać przy jego stole, ilekroć nadechodził do Belgradu z Paryża pospieszny pociąg wschodni. Najmniej jednak ma usposobienia do spokojnego nie publicznego życia“.

Są tu usiłowania postępu i pracy narodowej poważnej, ale wciąż słyszę słowa: „Polityka wszystkiemu przeszkadza, wszystko psuje i gubi“.



Belgrad 4 maja.

Jest stary konak, w którym mieszka młody król i nowy pałac obok, wybudowany przez państwo pod kierunkiem króla Milana. Jest portyk z karjatydami, naśladowającymi dziewice Erechtheionu. W urządzeniu wewnętrznym znać rękę Paryżanina, z wyjątkiem jakiegoś dziwnego i krzyczącego nad schodami baldachinu, który zdaleka wygląda na tron, którego chyba przeznaczeniem olśniewać wyobraźnię ludów. Wybryk wschodniego upodobania. Ale ten nowy pałac jest tylko skrzydłem olbrzymiego królewskiego gmachu przeszłości; dokończonym on zostanie, gdy się ziszcza marzenia serbskie, które dziś zaliczyć należy do *Châteaux en Espagne*.

Król Aleksander z powrotem z katedry zajechał wraz z otoczeniem w ładnie, poprawnie zaprzężonych powozach na dziedziniec i wszedł do starego konaku.

Król Milan, który słynny jest z niewstrzeżliwości w mowie, odezwał się kiedyś: „Nie lubię nowego pałacu, bo czuję się w nim, jak w gospodarstwie, nie u siebie, wolę własny w Niżu, który nabyłem od baszy“. Te i podobne słowa wielce mu tu szkodziły. Z powodu baszy zapisać muszę, że widziałem wziętego w niewolę przez Serbów, który tak dalece upodobał sobie Belgrad, że w nim osiadł.

Pyszny jest, nieco za miastem, widok na Belgrad, Dunaj i wpadającą do niego Sawę i tu odwołać muszę co wyżej napisałem, bo Tarnowowi brak Dunaju i Sawy i wszystkich tych piękności, któremi one zdobią Belgrad.

Czuć tu i dawniejszą niepodległość i dawniejszy ustrój polityczny niż w Zofi i więcej społecznych żywiołów i nietylko wojsko, jak w Bułgarii. Co się zaś tyczy Zofi i Belgradu, jako miast, to nie można ich nawet ze sobą porównać. Najważniejszą różnicę stanowi,

przynajmniej stanowićby powinno: pochodzenie niepodległości tych dwóch krajów. Serbowie odzyskali ją sami, niemal o własnych siłach; wspierano ich i dopomagano im w ich rozpaczliwych z Turkami walkach, ale dwóch chłopów serbskich Karageorgewicz i Michał Obrenowicz są istotnymi, samorodnymi wyswobodzicielami ojczyzny i twórcami dzisiejszego państwa serbskiego. Bułgarów wyswobodziła wojna Rosyi z Turcyą.

Przejechaliśmy z Vladanem około wałów Laudona. Dwa nazwiska austryackie pozostały tu w pamięci: Laudona za dzielną obronę przed Turkami owych wałów raczej twierdz i Beusta za zwrócenie ich Serbom.

Zwiedziliśmy dwie pracownie chemiczne, stworzone przez mojego uprzejmego przewodnika za jego rządów. Obydwie są umiejętnie urządzone i stoją na równi z europejskimi. Jedna ma między innymi za zadanie dopomagać kryminalistyce, a na czele stoi uczony zarządca, który w Wiedniu odbył nauki. Właśnie w tej chwili doszedł za pomocą rozkładu chemicznego, że oskarżony o świeży mord na dworcu kolei żelaznej, nie jest winowajcą, gdyż włos znaleziony w paznogciu ofiary, nie jest jego włosem, wobec czego powiedzieć można, że istotnie życie ludzkie na włosku wisi.

Vladan Georgevitch inną jeszcze oddał Belgradowi usługę; za jego staraniem i wpływem zaniechano wscho-dniego zwyczaju obwożenia po mieście umarłych w otwartej trumnie; był on tak dalece zakorzeniony i taką do niego przywiązywano ważność, że Vladan wiele miał trudu nim go wykorzenił i to z narażeniem swego wzięcia, które zresztą nieraz już przyszło mu z lekkim sercem poświęcić. Jadąc dalej spotkaliśmy się ze serbskiem weselem. Huczne i malownicze. Szereg różnego rodzaju powozów w wielkim pędzie, konie ustrojone tkaninami i chustami, które są darami ofiarowanymi przez pannę młodą; w zamian, w tydzień po ślubie — krewni i przyjaciele znoszą do domu zaślubionej pary,

wszystkie potrzebne do nowego gospodarstwa sprzęty. Ładny i patryarchalny obyczaj.

Regent Risticz wyznaczył mi dwumastą, musiałem przerwać moją po i za Belgradem wycieczkę. Sprawia on na wstępie wrażenie poważnego męża stanu, może nieco z zakrojem dygnitarza czy senatora rosyjskiego z czasów nikolajowskich. Wielka łatwość wyrażania się z pewną zarazem wstrzemięźliwością; każde jego słowo ma ważność i znaczenie. Oświadczył mi, iż zwykle po za urzędowemi czynnościami nie przyjmuje nikogo, lecz, że przyjemnem mu było zrobić wyjątek, ze względu na polecające mnie osoby. Odpowiedziałem, że mu wdzięczny jestem, bo byłbym uczuł w mej podróży wielki brak, gdyby mi nie było danem poznać tak znakomitego na półwyspie statystę. Regent oświadczył, iż zawsze cenil i ceni potrzebę dobrych z Austro-Węgrami stosunków tak handlowych jak politycznych, z zastrzeżeniem niezależności handlowej i politycznej kraju, dał tego najlepszy dowód, kiedy, aby nie stwarzać trudności, ustąpił z ministerjum, chociaż król Milan go wstrzymywał, a rozporządzał ogromną większością w skucepzyźnie. „Pamiętam, rzekłem, było to w chwili noty bar. Haymerle“. Nota, jak wiadomo, była dość groźną. „Nie taję, dodałem, że publiczność naszą zaniepokoiła abdykacya króla Milana, lecz liczone na mądrość pana Regenta i przeważny jego wpływ, o ile sądzić mi wolno, nie pomyłono się, gdyż słyszę i widzę, że stosunki są zadawalające, aczkolwiek może w szczegółach trafiają się požalowania godne trudności, które się usuwa i złatwia“. Tu rozwodzić się zaczęliśmy nad zgubnym wpływem na wzajemne stosunki dziennikarstwa. Wywołałem na ustach Regenta uśmiech, przytaczając słowa Manna: „Że gdyby był pewnym, że wszyscy dziennikarze pójdą za jego przykładem, pierwszyby się powiesił“. Tak jest dodałem: „Dziennikarstwo, które na początku drugiej połowy stulecia stało się potęgą, pod

jego koniec przemieniło się w plagę“ — i opowiedziałem jakiego doznałem wczoraj wieczór w *Kasynie* przeżycia na widok tylu dzienników, których doliczyć się nie mogłem. „Są to najczęściej spekulacye“, odparł Regent i przytoczył słowa internuncjusza Prokescha: *Vous êtes payé pour me le dire*; na co odpowiedziano mu: *Vous êtes payé pour me repondre*. Wspomniałem potępiająco o świeżem, gwałtownem wystąpieniu *Pester Lloyd*, które tu wielce oburzyło wszystkich, twierdzi bowiem, iż do tego doszło, że niema już w Serbii bezpieczeństwa dla życia i mienia. „Nie widzę, rzekłem, aby życie i mienie były tu tak dalece zagrożone“. „Wszędzie są zloczyńcy i wszędzie zbrodnie. Niedostateczny rozwój gospodarczy kraju, sprawia ubóstwo i mnoży przestępstwa. Nasz skarb znalazł się w oplakanym stanie, nasze wojsko i zapasy wojenne pozostawiają nie wiele, ale wszystko do życzenia; chcemy pokoju i musimy go chcieć“. „Słowa te slysze nieodmiennie powtarzane od Rzymu do Belgradu i przyznaje, że nieco jako komunał obijają mi się o uszy“. „Prawda! ale powtarzam, my musimy chcieć pokoju“. Tu rozmowa szersze przybrała polityczne rozmiary.

Następnie Regent wypytywał się bardzo pilnie o Bułgarię i odniesione przezemnie wrażenie. Wyznałem, że odbywa się jeszcze w tej mierze praca w mej głowie, że nie mam stanowczo wyrobionego zdania i że może wogóle trudno je mieć; poczyniłem jednak niektóre uwagi i wspomniałem o górującem stanowisku Sтамбулова. „Oświadczałem się zawsze przeciw wojnie z Bułgarią, której nigdy nie rozumiałem — rzekł Regent — bo nie na niej, nawet w najlepszym razie, nie mogliśmy zyskać; w liście do króla, gdy raptem do obozu odjechał, stanowczo przestrzegłem go i odradzałem wojny; byłem jednak pewny zwycięstwa i tylko najokropniejsze błędy strategiczne sprowadziły klęskę“. „Ta wojna — zauważyłem — była tem przykrzejszą,

iż usiłowano niesłusznie zrzucić na nią część odpowiedzialności na Wiedeń“. „Tak jest niesłusznie. Wiedeń nigdy nie pechał do niej; była tylko chwila wątpliwości, kiedy mniemać można było, że ks. Aleksander po powrocie od ministra Giersa z Franzensbadu, działa pod wpływem Rosyi. Jak wiadomo zaś, rzecz miała się przeciwnie“. „Póki ja jestem u władzy — ciągnął pan Risticz — Bułgarya nie potrzebuje się niczego obawiać od strony Serbii; nie na to potępiłem jawnie wojnę z nią, aby w ten sam błąd popaść“. Regent kilkakrotnie wyraził zdanie, że nowa konstytucya serbska niezawodnie za daleko idzie i jest — za wolnomysłną, a słowa te w jego ustach są nowym dowodem, że nazwy stromictw w Serbii nie mają istotnego znaczenia, jest bowiem przewodcą wolnomysłnych. Podczas układania tej konstytucyi w wielkiej komnacie nowego pałacu, Risticz nieraz zwracał uwagę króla na niedogodności i niebezpieczeństwa nowych urzędzeń, chciał nawet opór stawić, ale król go wstrzymywał i prosił, aby dał pokój, że zobaczy, jak on to wszystko dobrze i ładnie ułoży, że nie trzeba mu przeszkadzać. Łatwo było mówić, ale co teraz począć z dziełem niezdrowem i ulomnem? Dla tych, co na miejscu pozostali, zadanie jest trudnem. Mąż stanu tak wytrawny jak Risticz, nie może przyjąć odpowiedzialności za następstwa nowości, których nie pochwałał.

Regent pochlebnie wyrażał się o przedstawicielach Austro-Węgier w Belgradzie; poprzedni minister Hengelmüller był rozumnym, zachodnim, wykształconym na wzorach angielskich; obecny zna dobrze Wschód, nawet mówi po serbsku. Wkońcu rzekł: „Nie wszystko winno zrobić jedno pokolenie — kiedy podczas ośmioletniego mojego poselstwa w Konstantynopolu, rozprawiałem się z w. wezyrem i nieraz napierałem na niego, zwykł był mówić: *Ależ, mój kochany, dosyć zrobiliśmy, zostawmy innym coś do zrobienia*“.

Przytoczyłem powyższe słowa i zdania Risticza, bo dają go poznać i świadczą o jego wytrawnym sędzie, spokojnem a rozumnem zapatrywaniu. Nie ulega wątpliwości, że on wraz z Trikupisem i Stambulowem stanowią trójcę mężów stanu na półwyspie bałkańskim.

Vladan Georgevitch zawiózł mnie do Topsyderu, położonego o godzinę od Belgradu, otoczonego obszernym i malowniczym zwierzyńcem. Jest to słynne mieszkanie starego i wielkiego Miłosza Obrenowicza, prawdziwego twórcy dzisiejszej Serbii, Belgradu i Topsyderu. Dziwna to w dziejach postać i pierwowzór jedyny w swoim rodzaju. Chłop, dzielny wojownik i mądry władca, dyplomatów i Turków w pole wyprawiał, a pisać ani czytać nie umiał. W potrzebie maluczki i uniżony wobec Turka, zaczął od tego, iż nosił turban, skończył na zadaniu klęski Ossmannom i rzucaeniu podwalin pod państwo serbskie. Ten chłop miał poczucie wielkości, nawet piękna; on ozdobił Belgrad kasztanowemi drzewami, a Topsyder posągami greckimi. Gdy przebywał w Wiedniu na chwilowem wygnaniu, po wypadkach, które go na czas jakiś zrzuciły z tronu, był poufałym przyjacielem kanclerza Metternicha i nieraz w kłopot wprowadzał księcia dyplomatów samorodnem zachowaniem się. Pewnego dnia gdy mu przetłomaczono ustęp dziennika, wymierzony przeciw kanclerzowi, kazał zaprządz, podążył do księcia, wręczył mu dziennik i rzekł: „Spodziewam się, że każesz dać dwadzieścia pięć batów temu, który to napisał“. W Topsyder pełno pozostało po Miłoszu pamiątek, aż do butów i skarpetek; przechowują je jako relikwie narodowe. Po powrocie do władzy i Belgradu, kazał na prędce wystawić w ogrodzie topszyderskim dziwaczny nieco pomnik, uwieczniający ponowne objęcie rządów. Zwierzyniec, okalający skromne mieszkanie Miłosza w Topsyder, był widownią zbrodni popełnionej na osobie ks. Michała. Padł od kuli więźniów. W pobliżu

bowiem jest dom karny, w którym znajdowało się kilku skazańców z wyższych warstw, między nimi mecenas oraz sędzia, z których jeden zabił był żonę w szale zazdrości; tym ludziom dawano więcej wolności niż innym; skorzystali z niej, aby zamordować ks. Michała, gdy przechadzał się z ubóstwianą przez niego kobietą; jedna kula utkwiała w piersi książęcej kochanki; nie pozwoliła nigdy jej wyjść. Różne do dzisiaj obiegają przypuszczenia o ręce, która kierowała zbrodniarzami.

Zwiedziliśmy z powrotem gmach skupeczyny, który w okropnym jest stanie. Dziś już tylko do połowy zasiadają tam chłopci. Warstwa wykształcona poszukuje i zdobywa krzesła. Przejechaliśmy około *Zakładu Sawy*. Głównem jego przeznaczeniem apostołstwo serbskie w Macedonii, co dziś już jest polem wyścigów, na którym zmierzają się Grecy, Bułgarzy i Serbowie. Resztki budynków pałacu ks. Eugeniusza Sabaudzkiego przypominają panowanie austriackie. Pałac sam miał przypominać Belweder i był jednym dowodem więcej zamięłowania bohatera do wspaniałych, pomnikowych budowli. Ks. Eugeniusz działał i pojmował wszystko w wielkim kształcie.

Nareszcie zajechaliśmy do słynnych twierdz — tak długo zajmowanych przez Turków, pomimo niepodległości serbskiej, wkońcu oddanych Serbom bezkrwawo, przeważnie za sprawą Beusta, który — jak tu wdzięcznie wspominają — zmienił na korzyść Serbii politykę austriacką i pierwsze położył podwaliny pod porządek rzeczy na półwyspie, przez Austro-Węgry przyjęty a dziś jedynie możliwy. Roku pańskiego 1867 basza, dowódca twierdz, oddał uroczyście na poduszce ich klucze Serbi. „Pojmujesz pan, rzekł do mnie Vladan, jak żywo zabiły nasze serca, gdyśmy na twierdzach ujrzeli sztandar serbski“. Szczęśliwe narody, które takiej doczekały się chwili! Nieszczęśliwe, które takiej doczekać się nie mogą! Prawdziwie wspaniały roztacza się u stóp twierdz

widok na Sawę i Dunaj i na ich ślub. Na walach jest obszerny, cienisty ogród miejski.

Obiad u bar. Thoemmel z członkami naszego poselstwa oraz z uprzejmym naszym konsulem, był dla mnie nauczającym, pozostanie przyjemnem wspomnieniem mojego w Belgradzie pobytu. Jak w całej mej podróży, tak tu spotkałem w szeregach naszej młodej dyplomacyi ludzi zdolnych, oddanych sumiennie zawodowi, którzy śledzą bacznie i z żywym zajęciem bieg wypadków i znają dokładnie wschodnie stosunki. Przedłużyła się rozmowa, nadzwyczaj ożywiona opowiadaniem zacnego gospodarza o Cetynii i Teheranie oraz licznymi zabawnymi, to znowu znamiennymi, zawsze zajmującymi anegdotami o Czarnogórze i Persyi.

Zdażyłem jeszcze na część przedstawienia w *Teatrze Narodowym* Hamleta po serbsku. Teatr zewnątrz i wewnątrz przyzwoity, zupełnie wystarczający, a bez roszczeń. Przedstawienie także przyzwoite. Postacie tragedyi Schakespearea niewolniczo odtworzone wedle przyjętego szablonu. Jeden tylko duch ojca był może nieco przesadnie ucharakteryzowany po wschodniemu i zamiast grozę wzbudzać, tracił prowincjonalną śmiesznością. Trafiłem na spotkanie Hamleta z matką i zabicie Poloniusza, z którego, jak zawsze, tak i tu nie zdałem sobie dobrze sprawy.

Zakończyłem dzień w *Kasynie*, gdzie był wieczorek tańczący, niezbyt liczny, z powodu ulewnego deszczu, lecz gdzie miałem przyjemność poznać miłą żonę mojego opiekuna Vladana Georgevitcha, oraz wykształconą i nieco po dłuższym w Konstantynopolu pobyciu, nie rozpoznającą się już dobrze w Belgradzie, córkę posła serbskiego nad Bosforem.



*Belgrad 5 maja.*

Mam listy polecające do pana Garaszanina, lecz nie mogę mu ich oddać, gdyż wskutek bezrozumnego procesu, który mu wytoczono, bawi w Paryżu. Mówią jednak, iż niebawem powróci, i że bezpodstawny proces, mający wszelkie znamiona politycznej stronniczości, umorzonym zostanie.

Ofiarność na rzecz oświaty narodowej jest tu znaczna i zaćmiwa rozmiarami tę, do której nawykliśmy. Kupiec Hia M. Kolarae zapisał milion franków dla stworzenia wszechnicy, która jego imię nosić będzie. Zanim wejdzie w życie za pomocą nagromadzenia odsetków, dziesięć tysięcy przeznaczonych jest rocznie dla wspierania piśmiennictwa serbskiego.

Jest tu między innymi zapis kapitana artyleryi Cupić, zmarłego przed 15 laty w Afryce, gdzie udał się był dla zdrowia; przeznaczeniem jego wydawnictwo dzieł patriotycznych i obyczajowych. Mówią mi, że podobnych jest ze trzydzieści.

Dawny duch wojskowy podupadł w narodzie, przypisują to pięćdziesięciu latom, które w pokoju upłynęły, między ostatnimi walkami o niepodległość, a wojną wschodnią 1877 r.

Przyznają jedynie, że metropolita Michał jest jawnym zwolennikiem Rosyi, co ma niezawodnie znaczenie ze względu na doniosłość sprawy religijnej w Serbii. Gdy się spytałem dlaczego zezwolono na jego powrót, przyznano, iż tylko dlatego, aby osobiście zadowolić cesarza Aleksandra III, który bardzo dbał o to. Metropolita Michał nie zdaje się używać tutaj wielkiego wzięcia.

Zarzucają nam — mówią tutejsze koła rządowe — ściślejsze od pewnego czasu z Rosyą stosunki, mianowicie podróż do Petersburga Paczyca. Otóż rzecz się

tak miała, że znalazł on właściwem odbyć teraz właśnie tę podróż, nie miał i nie ma stanowiska urzędowego; rząd zatem nie mógł mu zabronić, ale posłannictwa żadnego mu nie powierzył; dopiero gdy dłużej tam zabawiał i widzieliśmy, że dobrze jest przyjęty, daliśmy mu polecenie zbadania pewnego szczegółu, dotyczącego traktatu handlowego i do tego ograniczyło się wszystko z naszej strony. Nadmienić winienem, że to tłumaczenie oddawna wywieszono i że służyło za szyld podróży Paczyca. Zresztą, ciągną dalej, nie mamy powodu być na złej stopie z Rosyą, a zaręczyc możemy najuroczyściej, że od chwili, jak przyszlśmy do władzy, Rosyą, zwłaszcza pan Giers zawsze roztropny i umiarkowany, zaleca nam, aby niczem nie wyzywać, ani też być nieprzyjemnym Austro-Węgrom; z drugiej strony hr. Kalnoky kładzie także na to nacisk, aby nie drażnić Rosyi; są to konieczne warunki polityki pokojowej, a pokoju my przed innymi potrzebujemy: „My, w razie wojny europejskiej, będziemy ostatnimi, którzy staną do boju. A nie zawsze byli tego zdania kierujący dziś sprawami publicznemi ludzie; był czas, w którym nawet Regent Risticz był za wojną, ale wtedy mieliśmy kiesy napelnione dukatami i wojsko dobrze wyćwiczone, bitne. Głównem zatem zadaniem naszej polityki teraz, musi być staranie o dobre z sąsiednimi Austro-Węgami stosunki. Myli się ten, kto upatruje w szczegółach i zarządzeniach bieżących zły, względem potężnego sąsiada zamiar: zaczęliśmy przecież od upaństwowienia kolei żelaznej, chociaż wiedzieliśmy, że tym krokiem narazimy sobie Francję, o którą wedle rozumowania polityków przypisujących nam skłonności rosyjskie, a wstręt austriacki, dbać byśmy powinni. Wszystko co robimy, ma tylko na celu dobro i dobrobyt kraju, „bez zewnętrznej przymieszki lub zamiaru“. Nie mogę jednak tu pominąć uwagi, która nietylko mnie się nasunęła, iż dostrzedz można było, jakby doznanego przez

koła rządowe zawodu, na wiadomość, że rząd węgierski najkorzystniejszą właśnie co był ofiarował dostawę soli.

Zresztą rozumują osoby urzędowe, dla pielęgnowania z sąsiadami prawdziwie dobrych stosunków, a te są właśnie wskutek sąsiedztwa nieraz na szwank wystawione, trzeba umieć zachować w nich miarę; są przyjaciele, którzy stają się niedogodnymi zbytkiem gorliwości; w ten błąd popadł król Milan; był szczerym zwolennikiem i sojusznikiem Austro-Węgier, ale szkodził nieraz wzajemnemu związkowi, zbytними objawami swej przyjaźni, które o ile nam wiadomo — nawet w Wiedniu czasem nabawiały kłopotu. *Il avait — do-rzucilem — l'affection agréssive, de Marie de Medicis.* „To jest obecnie najgorszem i przykrem, mówiono dalej, iż wskutek dawniej popełnionych błędów, może także i nie całkiem właściwego obejścia się z nami, stało się rzeczą ulubioną, co więcej, potrzebną dla pozyskania wzięcia, wygadywać na Austro-Węgry“.

Nie potrzebuję mówić, kto ten obyczaj wytworzył, kto po mistrzowsku tak tu jak na całym Wschodzie takowy rozpowszechnia. Ci sami, co nietylko straszą upiorem przez nich wymyślonym, ale zarazem wskazują na skarby, których on strzeże i w ich stronę zwracają pożądliwości ludów i Piemontów.

Co się tyczy Bułgaryi, słyszałem zdanie Regenta Risticza, iż dla niej istotnem niebezpieczeństwem są i pozostaną jej wychodźcy do Rosyi. „Dopóki nie zakończą z niemi, będzie zawsze niepokój i mogą być niespodzianki“. Niedawno temu, zaręczają mi, miały z trzech stron: od Rumunii, Adryanopolu i Niżu wpaść znowu oddziały wychodźców, o czem nie wspomiano mi zgola w Zofi. Rząd serbski przestrzegł uczciwie bułgarski, wychodźców na ziemi serbskiej rozproszył, a wtedy oddziały idące z Rumunii i Adryanopolu, zaniechały zamiaru. „Bułgarzy, rzekł ktoś, nie są dowcipni, ale są rozumni“.

Zakończę zdaniem, które słyszałem.

„Król Milan jest człowiekiem niesłychanych zdolności, nadzwyczaj uposażonym, wymownym. Może zebrać w swoim pokoju najznakomitszych ludzi Europy, jeżeli zechce i będzie w sztosie, górować będzie nad nimi. Ale brak w nim równowagi i ma wyobraźnię taką, że ona wywołuje szusy i sprawia, że jest nieobliczalnym“. Tak oceniają tutaj króla Milana. Ja widzę dziwne w nim połączenie, *boulevardismu*, barbarzyństwa i trocha królewskości.

Doszedłszy do kresu mojego opowiadania zapiszę, iż odniesione przezemnie wrażenie nie doprowadziło mnie do przekonania, iżby zmartwychwstałe narody i powstałe na półwyspie bałkańskim państwa, nachylały się nieuniknienie, koniecznie do Rosyi i miały stanowić nieodwołalnie jej przednią straż. Czasy się zmieniły, zmieniły się okoliczności i otaczające warunki. Te narody chcą przede wszystkim istnieć, dalej, istnieć niezależnie, wreszcie i zwłaszcza zaspokoić swoje narodowe żądze. Wszystko i każdy dobry, co do tego dopomoże.

Wskutek swej względnej słabości i wzajemnych wrodzonych współzawodnictw, nie są one dla nikogo, ani też dla sąsiadów istotnem w czasach zwykłych i podczas pokoju niebezpieczeństwem. Ich pociągi i wstręty będą burzą w szklance wody. One same niezdolne również zakłócić europejskiego pokoju, dopóki ich sporów i żądz, nie użyje za powód do wojny, jedno z mocarstw.

Ale inna rzecz, coby się stało i jakby postąpiły sobie te narody i państewka oraz ich rządy w chwili starcia europejskiego, lub dwóch ze sobą mocarstw.

Można być przekonanym, że już tylko własną korzyść wzięłyby w rachubę, a ostatecznie, jej zabezpieczenie, widziałyby w połączeniu się ze stroną, przypuszczalnie najsilniejszą. Należałyby wtedy do tego, któryby najszybciej i najsilniej działał, najpotężniej,

czy przez siebie samego, czy przez sprzymierzeńców, wystąpił.

Nie z ich strony niebezpieczeństwo istotne i bezpośrednio.

Ale bądźmy sprawiedliwymi. Europa pobłażała lub nawet zachęcała Rosyę w jej polityce wschodniej i zabierała co mogła, podczas gdy Rosya wyswabadzała chrześcijan. Teraz Europa chciałaby wzbudzać wyłącznie zaufanie na Wschodzie i używać tam wzięcia, zarazem pragnęłaby zwalić na wyswobodzone narody cały ciężar obrony, zasłonić się nimi przed Rosyą i liczyć z pewnością na nie.

To zawiele. Temu zadaniu w żadnym razie nie podołałyby owe narody same.

Trzebaby, żeby Europa śmiała zajrzeć w oczy niebezpieczeństwu jak pod — Maratonem, wtedy liczyłaby mogła na nowo wytworzone na Wschodzie czynniki.





33461 /  
2

1. MAJ 1951